

ROSAMUNDE PILCHER

Kwietniowy śnieg

## Rozdział 1

Karolina Cliburn, z włosami upiętymi pod czepkiem kąpielowym, leżała na wznak w wannie pogrążona w obłokach wonnej pary i słuchała radia. Łazienka była równie przestronna jak wszystkie pomieszczenia w tym luksusowym domu. Poprzednio w tym miejscu znajdowała się garderoba, lecz Diana dawno już doszła do wniosku, że to przeżytek. Sprowadziła więc fachowców, którzy zamontowali różową armaturę łazienkową, a ponadto wyposażyła wnętrze w gruby, biały dywan i długie zasłony z angielskiego kretonu. Niski stolik ze szklanym blatem mieścił sole kąpielowe, ilustrowane pisma i mydła pachnące różami. Motyw róż zdobił także ręczniki kąpielowe i matę łazienkową, na której Karolina zostawiła swój szlafrok, ranne pantofle, radio i książkę.

Radio nadawało akurat walca. Jękliwe dźwięki skrzypiec podsunęły Karolinie wizję wytwornych panów w białych rękawiczkach i starszych dam siedzących na pozłacanych krzeselkach i kiwających głowami w takt muzyki.

- Włożę nowy spodniom - postanowiła.

Po chwili jednak przypomniała sobie, że od zakietu oderwał się złoty guzik i gdzieś przepadł. Zapewne mogłaby znaleźć na jego miejsce inny, nawlec igłę i przyszyć go, ale po co? Lepiej włoży sukienkę turkusową albo czarną aksamitną, w której Hugh porównał ją do Alicji w Krainie Czarów... Tymczasem woda wystygła, więc Karolina dołała trochę gorącej, odkręcając kurek palcami nogi. Najdalej o wpół do ósmej musi wyjść z wanny, wytrzeć się, umalować i zejść na dół. Już będzie spóźniona, ale to nic nie szkodzi. I tak wszyscy będą na nią czekać przy kominku - Hugh w swoim aksamitnym smokingu, który niezbyt się jej podobał, i Shaun przepasany jaskrawoczerwoną, jedwabną szarfą. Przyszli także Haldane'owie. Elaine pewnie popijała już drugie martini, a Parker robił domyślną minę. Zjawili się oczywiście

najważniejsi goście - kanadyjscy wspólnicy Shauna. Jak oni się nazywają? Państwo Ponuraccy czy coś takiego... Potem wszyscy odczekają obowiązkową chwilę i pomaszerują na kolację. Najprawdopodobniej Diana wystąpi ze swymi popisowymi daniami - zupą żółwiową, francuską potrawką z baraniny, nad którą męczyła się całe przedpołudnie, a na deser - płonącym puddingiem! Zaserwuje go przy akompaniamencie achów i ochów oraz okrzyków podziwu w rodzaju: „Diano, kochanie, jak ty to robisz?!“

Na samą myśl o tych wszystkich potrawach Karolinie zrobiło się słabo. Ostatnio często reagowała w ten sposób, co było dosyć niepokojące. Mdłości nie dziwiłyby u osób w podeszłym wieku, bardzo łakomych czy kobiet w ciąży, ale Karolina miała dopiero dwadzieścia lat i trudno byłoby ją zaliczyć do którejsz z tych kategorii. Niby nic konkretnego jej nie dolegało, ale jednak nie czuła się dobrze. Właściwie jeszcze przed wtorkiem przyszłego tygodnia albo nawet w tym tygodniu powinna pójść do lekarza. Wyobrażała już sobie, co mu powie. „Panie doktorze, wychodzę za mąż, ale wciąż jest mi niedobrze!“ Oczami duszy widziała już jego pobłażliwy, ojcowski wręcz uśmiech towarzyszący diagnozie: „To normalne, po prostu jest pani zdenerwowana. Przepiszę pani coś na uspokojenie...“

Tymczasem umilkły tony walca i spiker zapowiedział dziennik radiowy nadawany o dziewiętnastej trzydzieści. Karolina z westchnieniem usiadła w wannie i od razu wyciągnęła korek, aby nie ulec pokusie leniuchowania. Wskoczyła na matę łazienkową, pobieżnie wytarła się ręcznikiem, nałożyła szlafrok i poczłapała bosą do swojej sypialni, zostawiając mokre ślady na białym dywanie. Usiadła przy toalecie i tam dopiero zdjęła czepek kąpielowy, przyglądając się swemu potrójnemu odbiciu w trój skrzydłowym lustrze.

Włosy miała długie, proste i tak jasne, że aż prawie białe. Teraz zwisały jak dwa jedwabne pasma po obu stronach twarzy. Twarz ta była z rodzaju tych, które mogą wyglądać albo okropnie, albo pięknie. Szpeciły ją zbyt wystające kości policzkowe, tępo zakończony nos i szerokie usta. Tylko duże, piwne oczy w oprawie gęstych rzęs dodawały jej uroku nawet wtedy, gdy czuła się tak zmęczona jak dziś.

W tym momencie przypomniała sobie to, co kiedyś powiedział Drennan, ujmując jej twarz w obie dłonie i odwracając ku sobie: „Jak ty możesz mieć równocześnie chłopięcy uśmiech i oczy dojrzałej kobiety? I to kobiety zakochanej!” Siedzieli wtedy w jego samochodzie, na dworze było już ciemno i deszcz bębnił o dach wozu. W środku tykał zegar, a Drennan trzymał ją pod brodę... Wspominała to zdarzenie jak epizod z książki lub filmu; coś, co przytrafiło się komu innemu, a nie jej samej.

Przerwała te rozmyślania sięgając po szczotkę. Sczesła włosy do tyłu, ściągnęła je gumką i zaczęła robić makijaż. W trakcie tej czynności usłyszała kroki na korytarzu, które tłumił gruby dywan. Kroki umilkły przed jej drzwiami i rozległo się delikatne pukanie we framugę.

- Kto tam?

- Mogę wejść? - dał się słyszeć głos Diany.

- Ależ proszę bardzo.

Macocha miała już na sobie suknię wieczorową w odcieniach bieli i złota. Jej popielatoblond włosy, uczesane w kunsztowny kok, spinała złota szpila. Wyglądała jak zawsze pięknie - wysoka, szczupła i zadbana. Opalenizna rodem z solarium w połączeniu z niebieskimi oczami podkreślała jej nieco skandynawski typ urody - często nawet brano ją za Szwedkę. Potrafiła przy tym wyglądać równie dobrze w niedbałych, sportowych ciuchach, jak i w uroczystym stroju wieczorowym.

- Ależ kochanie, jesteś jeszcze w proszku!

- Skąd, mam już przynajmniej połowę roboty za sobą! - zaprotestowała Karolina, precyzyjnie operując spiralką do tuszu. - Przynajmniej tego nauczyłam się w szkole teatralnej. Bylebym tylko zaczęła, a w minutę będę gotowa.

Niepotrzebnie poruszyła ten temat i zaraz tego pożałowała. Diana nie znosiła, gdy wspominała o szkole teatralnej. Od razu zjeżyła się i chłodno przycięła:

- No, to może nie zmarnowałaś tak zupełnie tych dwóch lat.

Karolina nie skomentowała tej wypowiedzi, więc macocha kontynuowała:

- Nie musisz się spieszyć, bo wprawdzie Hugh już jest, ale Lundstromowie trochę się spóźnią. Pani Lundstrom telefonowała, że Johna zatrzymały jakieś pilne sprawy na konferencji.

- Aha, Lundstromowie! Nie mogłam sobie przypomnieć tego nazwiska i w myśli nazwałam ich „Ponurackimi”.

- To nieładnie z twojej strony. Przecież nawet ich jeszcze nie poznałaś!

- A ty?

- Ja tak i przekonałam się, że są bardzo sympatyczni.

Obeszła wokół sypialnię Karoliny, ostentacyjnie porządkując pozostawiony przez nią nieład. Poustawiała buty parami, sweter złożyła w kostkę, a z podłogi podniosła wilgotny ręcznik kąpielowy, który Karolina porzuciła na środku pokoju. Oczywiście złożyła go porządnie i odniosła do łazienki, skąd po chwili doszły odgłosy mycia umywalki, otwierania i zamykania drzwiczek szafki z lustrem. Z pewnością nie zapomniała też o nałożeniu wieczka na słoik z kremem nawilżającym.

- W jakiej konferencji bierze udział pan Lundstrom? - spytała Karolina głośno, by Diana ją usłyszała.

- Słucham? - dobiegło z łazienki. Po chwili Diana wróciła do sypialni, więc Karolina powtórzyła pytanie.

- Jest bankowcem, więc na pewno ma to coś wspólnego z bankowością.

- Czy także z nową inwestycją Shauna?

- Nawet bardzo, bo jest jej udziałowcem. Po to właśnie tu przyjechał, żeby sfinalizować transakcję.

- Pewnie więc musimy zrobić na nim dobre wrażenie? - Mówiąc to, Karolina zrzuciła szlafrok i całkiem nago zaczęła szukać potrzebnych części garderoby.

- Czy to takie trudne? - Diana rozsiadła się w nogach łóżka. - Jakaś ty chuda! Powinnaś nabrać trochę ciała.

- Po prostu jestem tak zbudowana - rzuciła Karolina, wdziękając równocześnie bieliznę, wyciągniętą z przepełnionej szuflady.

- Tere - fere! Można ci policzyć wszystkie zębra, a jesz tyle co ptaszek. Nawet Shaun to zauważył, chociaż zwykle nie jest spostrzegawczy! - Karolina wciągała rajstopy, a Diana perorowała dalej: - I jesteś strasznie blada. Od razu to zauważyłam. Może powinnaś zażywać żelazo...

- A czy od tego nie czernieją zęby?

- Któż ci naopowiadał takich głupstw?

- To wszystko przez te przygotowania do ślubu. Samych listów z podziękowaniami wysłałam aż sto czterdzieści trzy!

- Wiesz przecież, jak brzydko być niewdzięcznym... a propos, dzwoniła Rose Kintyre. Dowiadywała się dyskretnie, co chciałabyś dostać w prezencie ślubnym. Doradziłam jej ten komplet kieliszków z wygrawerowanymi inicjałami, który widziałas kiedyś na Sloane Street... Zaraz, a co chcesz włożyć na dzisiejszy wieczór?

Karolina otworzyła szafę i wyciągnęła pierwszą sukienkę, jaka jej się nawinęła. Przypadkiem była to akurat ta z czarnego aksamitu.

- Może być ta?
- Śliczna, ale do niej pasowałyby ciemniejsze rajstopy.
- To może tę? - Schowała sukienkę na miejsce i wyciągnęła następną. Na szczęście natrafiła na turkusową, a nie spodnium z oderwanym guzikiem.
- Tak, to naprawdę urocze! A do tego złote kolczyki.
- Kiedy je zgubiłam.
- Chyba nie te, które dostałaś od Hugh'a?
- To znaczy nie tyle zgubiłam, ile gdzieś mi się zapodziały. Nie mogę sobie przypomnieć, gdzie je położyłam. Ale to nic, przy tej fryzurze i tak nie byłoby ich widać. - Wrzuciła przez głowę sukienkę z turkusowego jedwabiu, lekką jak mgiełka, i zaczęła zapinać małe guziczki. - A Jody? Gdzie będzie jadł kolację?
- W suterenie, u Katy. Proponowałam, żeby zjadł z nami, ale powiedział, że woli obejrzeć ten western w telewizji.
- Już tam poszedł? - dopytywała się Karolina, rozpuszczając i szczotkując włosy.
- Chyba tak.
- Karolina pokropiła się perfumami z pierwszej butelki, jaka nawinęła jej się pod rękę.
- Czy nie masz nic przeciwko temu, żeby najpierw poszła do niego powiedzieć mu: „Dobranoc”?
- Dobrze, ale nie siedź tam zbyt długo, bo za jakieś dziesięć minut Lundstromowie powinni się już zjawić.
- Zaraz przyjdę.
- Kiedy tylko zeszły do hallu - akurat otworzyły się drzwi od salonu i stanął w nich Shaun Carpenter. W rękę trzymał czerwony pojemnik na lód w kształcie jabłka, którego połączony ogonek tworzył uchwyt.
- Lód się skończył! - wyjaśnił, widząc wchodzące panie. Potem, jakby dopiero teraz zauważył ich wejście, szybko się

zreflektował. - Wspaniale wyglądacie. Cóż za olśniewające damy!

Shaun był mężem Diany, a Karolina, w zależności od sytuacji, nazywała go to „przyszywanym ojczymem”, to „mężem macochy”, lub zwracała się do niego po prostu po imieniu. Z Dianą pobrali się trzy lata temu, ale Shaun chętnie rozgłaszał, że już na długo przedtem starał się o jej względy.

- Znałem ją od dawna - opowiadał znajomym. - Już myślałem, że między nami wszystko uzgodnione, gdy nagle, ni stąd, ni zowąd, wyjechała na jakąś grecką wyspę. Okazało się, że chce kupić tam majątek, ale mało tego - niedługo zastrzeżiła mnie następną rewelacją. Oznajmiła mi, że wychodzi za mąż za jakiegoś Geralda Cliburna, architekta, dzieciatego wdowca bez grosza przy duszy. Myślałem, że szlag mnie trafi!

Dochował jednak Dianie wierności i wiódł żywot dobrze sytuowanego biznesmena do więzienia. Nic więc dziwnego, że robił furorę w londyńskich towarzystwach, a terminarz jego spotkań był wypełniony na kilka miesięcy naprzód.

W tej roli żyło mu się całkiem wygodnie, toteż powrót Diany, owdowiałej i obarczonej dwójką pasierbów, wywołał niemałą sensację. W Londynie wprowadziła się ponownie do swojego starego domu i usiłowała nawiązać dawne kontakty towarzyskie, toteż plotkarze prześcigali się w domysłach, jak Shaun zachowa się w takiej sytuacji. Przypuszczano, iż zanadto przywykł do swobodnego, kawalerskiego życia, aby nawet dla Diany wejść w skórę przykładnego ojca rodziny.

Okazało się jednak, że plotkarze nie docenili Diany. Miała dopiero trzydzieści dwa lata i była piękniejsza niż kiedykolwiek. Shaun początkowo podchodził do niej z rezerwą, ale wystarczyło kilka dni, aby kompletnie go omotała. Po tygodniu poprosił ją o rękę i powtarzał swe



oświadczyły w regularnych, tygodniowych odstępach, dopóki nie uległa.

Zacząła od tego, że zmusiła go, aby sam zawiadomił o tym fakcie pasierbów - Karolinę i Jody'ego. Uczynił to, przechadzając się nerwowo tam i z powrotem po salonie i pocąc się pod ich pozornie beznamiętnymi spojrzeniami.

- Nie mogę zastąpić wam ojca - zaczął niepewnie. - Nie wiedziałbym nawet, jak się do tego zabrać. Chciałbym tylko, żebyście wiedzieli, że zawsze możecie na mnie liczyć... gdybyście się chcieli komuś zwierzyć czy potrzebowali pieniędzy. Zresztą, to jest wasz dom, a ja chciałbym, żebyście...

W duchu był zły na Dianę, że postawiła go w tak niezręcznej sytuacji. Wolałby, żeby pozostawiła sprawy ich własnemu biegowi i pozwoliła mu stopniowo zaprzyjaźnić się z Karoliną i Jodym. Jednak Diana nie lubiła czekać i chciała, żeby wszystko układało się po jej myśli.

Jody i Karolina patrzyli na Shauna ze współczuciem, lecz ani słowem, ani gestem nie dopomogli mu w uporaniu się z kłopotliwą sytuacją. Wprawdzie od razu go polubili, ale z bystrością właściwą młodemu wiekowi wyczuli, że Diana owinęła go już sobie wokół palca. I jak on mógł nazwać Milton Gardens domem, skoro ich prawdziwy dom, biały sześcian przypominający kostkę cukru, leżał aż nad Morzem Egejskim? Cóż, tamten dom należał już do przeszłości, a w tej chwili nie mieli żadnego wpływu na to, co Diana zechce zrobić i za kogo wyjdzie. Jeśli więc miała w ogóle wyjść za mąż, to z dwojga złego lepiej, że jej mężem zostanie ten miły i życzliwy pan.

Teraz stał w drzwiach salonu, wytworny, elegancki, choć namaszczenie, z jakim trzymał pusty pojemnik na lód, wywoływało nieco komiczny efekt. Kiedy Karolina go minęła - owionął ją zapach jego wody po goleniu „Brat” i świeżo

wyprasowanej, nakrochmalonej koszuli. Przez kontrast przypomniała sobie, że jej własny ojciec chodził wiecznie zarośnięty, a koszule ścigał prosto ze sznura, nie zawracając sobie głowy prasowaniem ich. Pamiętała także zażarte spory, jakie toczył z Dianą i zwykle bywał górą. Nie mogła się więc nadziwić, jak jedna i ta sama kobieta mogła kolejno poślubić dwóch tak diametralnie różniących się od siebie mężczyzn.

W suterenie, gdzie mieszkała służąca Katy, zaczynał się już całkiem inny świat. W pokojach na górze pyszniły się wspaniałe dywany utrzymane w pastelowych barwach, kryształowe żyrandole i pluszowe portiery. Natomiast na dole panował uroczy nieład, nic tu do siebie nie pasowało, ale wszystko razem tworzyło barwną całość. Kraciaste linoleum gryzło się z jaskrawymi chodnikami i zasłonami drukowanymi w zygzaki i listki. Na każdym skrawku poziomej powierzchni pełno było zdjęć w ramkach i pamiątek z nadmorskich ośrodków wypoczynkowych - porcelanowych popielniczek, malowanych muszli i flakonów z plastikowymi kwiatami. Na kominku płonął prawdziwy ogień, a przed nim, skulony w zakłęśniętym fotelu i wpatrzony w telewizor, siedział Jody, brat Karoliny.

Miał na sobie dzinsy, granatowy sweter i zdeptane adidas. Do tego, nie wiadomo po co, nałożył podniszczoną żeglarską czapkę, za dużą na niego o kilka numerów. Obejrzał się, gdy usłyszał wejście Karoliny, ale zaraz powrócił do oglądania filmu, aby nie uronić ani jednej sceny. Karolina przysiadła się do niego i przez chwilę razem z nim patrzyła w ekran. Potem spytała: - A ta dziewczyna to kto?

- Ona jest jakaś głupia. Nic, tylko ciągle się z kimś całuje. Pewnie to taka... no, wiesz.

- W takim razie dlaczego po prostu nie wyłączysz telewizora?

Jody rozważył tę propozycję i zdecydował, że chyba to dobry pomysł. Podniósł się więc z fotela i wyłączył aparat, który zgasł, wydając lekki syk. Jody stał teraz na dywaniku przed kominkiem i mierzył siostrę wzrokiem.

Miał jedenaście lat, całkiem dobry wiek. Wyrósł już z lat dzieciennych, ale nie osiągnął jeszcze stadium tyczkowatego, pryszczatego i pyskatego nastolatka. Z twarzy był na tyle podobny do Karoliny, że nieznajomi na pierwszy rzut oka rozpoznawali w nich brata i siostrę. Różnili się tylko kolorem włosów - Karolina była blondynką, a Jody prawie rudy. Oboje mieli piegi, ale u Karoliny skupiały się one tylko na nosie, u Jody'ego zaś pokrywały także plecy i ramiona. Oczy miał szare, a uśmiech zniewalający, choć wolno wpełzał na jego twarz. W tym uśmiechu ukazywał swoje stałe już zęby, które sprawiały wrażenie za dużych w stosunku do reszty twarzy i były lekko krzywe, jakby rozpychały się szukając sobie miejsca.

- Gdzie jest Katy? - spytała Karolina.

- W kuchni na górze.

- Jadłeś już kolację?

- Tak.

- Dostałeś to samo, co my?

- Zjadłem trochę zupy, ale nie miałem ochoty na to drugie danie, więc Katy usmażyła mi jajka na bekonie.

- Chętnie zjadłabym tu razem z tobą... Widziałeś się z Shaunem i Hughem?

- Tak, byłem tam przez chwilę. - Zrobił śmieszoną minę i dodał: - Zła wiadomość dla ciebie: nadchodzą Haldane'owie!

Uśmiechnęli się do siebie porozumiewawczo, bo oboje myśleli o Haldane'ach mniej więcej to samo.

- Skąd wytrzasnąłeś tę czapkę? - spytała Karolina, aby zmienić temat. Jody zdążył już zapomnieć, co ma na głowie, toteż nieco się zmieszał.

- Znalazłem ją w pudle ze starymi ciuchami w pokoju dzieciennym.

- Wiesz, że to czapka taty?

- Tak mi się właśnie wydawało.

Karolina wzięła od niego czapkę i stwierdziła, że jest brudna, pogięta i z plamami zastygłej soli morskiej.

- Tato nosił ją, kiedy pływał na jachcie. Zawsze powtarzał, że odpowiedni strój dodaje pewności siebie. Na przykład kiedy ktoś sztorcował go, że coś źle robi, śmiało odpłacał mu tym samym. - Widząc uśmiech Jody'ego, dodała:

- Pamiętasz, jak tato o tym opowiadał?

- Trochę, ale przede wszystkim pamiętam, że czytał mi książeczkę „Rikki Tikki Tavi”.

- No proszę, miałeś wtedy dopiero sześć lat, a właśnie to zapamiętałeś?

Jody ponownie się uśmiechnął, więc Karolina z powrotem włożyła mu czapkę na głowę. Chcąc go pocałować, musiała się nachylić, aby ominąć daszek.

- Dobranoc, Jody!

- Dobranoc - odpowiedział chłopiec nie ruszając się z miejsca.

Rozstawała się z nim niechętnie, spoglądając w jego stronę jeszcze u podnóża schodów. Zauważyła, że spod daszka czapki uważnie się jej przygląda. Coś w jego spojrzeniu zaniepokoiło ją, więc spytała jeszcze:

- Czy coś się stało?

- Nic.

- No to do zobaczenia jutro.

- Pewnie. Dobranoc! - odpowiedział Jody.

Drzwi do salonu były zamknięte, a zza nich dobiegał gwar rozmów. Katy wieszala właśnie do szafy w przedpokoju czyjeś futro. Na tak specjalną okazję jak uroczysta kolacja wystroiła się w sukienkę koloru świeżych kasztanów i

kwiecisty fartuch. Aż podskoczyła, kiedy nagle dostrzegła Karolinę. - Uch, aleś mnie przestraszyła!

- Kto przyszedł?

- Państwo Haldane'owie. Są już w środku. - Ruchem głowy wskazała w stronę salonu. - Leć tam, bo jesteś spóźniona.

- Właśnie widziałam się z Jodym... - Karolina odwlekała jak mogła moment wejścia do salonu. Wolałaby wrócić do swego pokoju, położyć się do łóżka i czekać, aż Katy przyniesie jej jajko na miękko.

- I co, dalej ogląda ten film o Indianach? - chciała wiedzieć Katy.

- Chyba już nie, bo mówił, że za dużo się tam całują.

- Powiedziałabym, że z dwojga złego lepiej oglądać całowanie niż te wieczne zbrodnie i rozboje! - stwierdziła Katy zamykając drzwi szafy. - Naogląda się jeden z drugim takich głupot, to nic dziwnego, że potem przychodzi im do łba zatłuc jakąś biedną staruszkę jej własną parasolką.

Wygłosivszy tę kwestię, wróciła do kuchni. Teraz Karolina nie miała już żadnej wymówki dla dalszego ociągania się, toteż błyskawicznie przybrała przyjemny wyraz twarzy i przemaszerowała przez hall prosto do drzwi salonu. Tego też nauczyła się w szkole teatralnej - umieć przybierać na zawołanie odpowiednią minę. Kiedy weszła, ucichł gwar rozmów i ktoś z zebranych zauważył:

- O, jest już Karolina!

Salon Diany, oświetlony specjalnie do kolacji, robił wrażenie dekoracji scenicznej. Trzy wysokie okna wychodzące na skwer zdobiły bladozielone, pluszowe portiery. Obicia miękkich kanap utrzymane były w kolorach różowym i beżowym. Świetnie harmonizował z nimi beżowy dywan, jak również obrazy starych mistrzów, meble w stylu chippendale i dla kontrastu - nowoczesny, włoski stół do

kawy ze szkła i metalu. Wszędzie stały ozdobne kompozycje kwiatowe, a w powietrzu unosił się koktajl zapachów hiacyntów, perfum „Madame Rochas” i hawańskich cygar Shauna.

Towarzystwo w salonie ustawiło się tak, jak Karolina przypuszczała - wokół kominka. Każdy trzymał w ręku szklanę ze swoim drinkiem. Jednak, zanim jeszcze zamknęła drzwi, Hugh oderwał się od grupy, odstawił swoją szklanę i wyszedł jej naprzeciw.

- Kochanie! - Otoczył ją ramieniem i nachylił się, aby ją ucałować. Przy okazji spojrzął na swój złoty zegarek, cienki jak listek, ukazując przy tym śnieżnobiały, wykrochmalony mankiet spięty złotą spinką. - Trochę się spóźniłaś!

- Jak to, przecież Lundstromowie jeszcze nie przyszli.

- A cóż cię zatrzymało?

- Wstąpiłam do Jody'ego.

- Jeśli tak, to będzie ci darowane.

Hugh był wysoki, dużo wyższy od Karoliny, a przy tym szczupły i smagły, z zaczątkami łysiny. To sprawiało, że wyglądał poważniej, niż wskazywałyby na to jego wiek, a miał dopiero trzydzieści trzy lata. Ubrany był w ciemnobłękitny, aksamitny smoking i wieczorową koszulę, oszczędnie zdobioną koronkowymi wstawkami. Spojrzenie jego ciemnych oczu osadzonych pod mocno zarysowanymi brwiami wyrażało zarówno zainteresowanie, jak i zdenerwowanie z lekkim odcieniem dumy.

Karolinie przyniosło to pewną ulgę, gdyż czuła się przy nim strasznie zakompleksiona. Hugh Rashley starał się bowiem usilnie przestrzegać pewnego poziomu życia. Z drugiej strony wydawał się odpowiednim materiałem na męża, gdyż odnosił sukcesy w zawodzie maklera giełdowego, zawsze zachowywał się uprzejmie i taktownie. Może czasem

bywał zbyt ambitny, ale tą cechą odznaczała się cała rodzina Diany, a on w końcu był jej bratem.

Parker Haldane zawsze lubił oglądać się za ładnymi dziewczynami. Do takich należała i Karolina, toteż Elaine Haldane odnosiła się do niej z rezerwą. Nie martwiło to specjalnie Karoliny, bo nie widywała Elaine zbyt często. Haldane'owie mieszkali bowiem stale w Paryżu, gdzie Parker pracował we francuskiej filii amerykańskiej agencji reklamowej. Do Londynu przyjeżdżał tylko raz na dwa lub trzy miesiące, kiedy trafiała się jakaś szczególna okazja. Dzisiejsze przyjęcie u Diany było właśnie taką okazją.

Karolina też nie przepadała za Elaine, co denerwowało Dianę, gdyż była to jej najlepsza przyjaciółka. „Dlaczego zawsze jesteś taka nieuprzejma dla Elaine?” wymawiała nieraz Karolinie, na co ta nauczyła się reagować wzruszeniem ramion i zdawkowym: „Przepraszam”. Woląła nie wdawać się w dalszą dyskusję, aby nie prowokować konfliktu.

Elaine była przystojną, elegancką kobietą, choć czasem ubierała się zbyt pretensjonalnie, czego nie oduczył jej nawet pobyt w Paryżu. Potrafiła być również dowcipna, ale Karolina, po paru przykrych doświadczeniach, zorientowała się, że w jej powiedzonkach kryją się złośliwe aluzje pod adresem osób chwilowo nieobecnych. Słuchając jej docinków, człowiek nie mógł przewidzieć, jaką łatkę przypnie z kolei jemu.

Natomiast Parkera, jej męża, nie dało się żadną miarą traktować poważnie.

- Jak się masz, moja śliczna? - pochylił się, aby ucałować dłoń Karoliny. Tylko czekała, kiedy jeszcze trzaśnie obcasami. - Dlaczego zawsze dajesz nam na siebie czekać?

- Musiałam jeszcze życzyć Jody'emu dobrej nocy. - Zwróciła się ku jego żonie. - Dobry wieczór, Elaine. - powitanie musnęły się policzkami, cmokając wargami w powietrzu.

- Witaj, kochanie. Masz uroczą sukienkę.  
- Dziękuję bardzo.  
- Takie luźne rzeczy dobrze się noszą... - Zaciągnęła się papierosem, wypuszczając obłok dymu. - Opowiadałam właśnie Dianie o Elizabeth...

Karolinę aż zatrzęsło w środku, ale z grzeczności zapytała:

- A co słyhać u Elizabeth?

Elizabeth była córką Elaine z pierwszego małżeństwa. Karolina spodziewała się, że usłyszy co najmniej o zaręczynach Elizabeth, jej romansie z Agą Khanem, wyjeździe do Nowego Jorku czy karierze modelki w „Vogue”. Wprawdzie Elizabeth była od niej tylko trochę starsza i Karolina wiedziała o niej chyba więcej niż ona sama, ale w życiu nie widziała jej na oczy. Elizabeth kursowała bowiem między matką w Paryżu a ojcem w Szkocji. W tych rzadkich momentach, kiedy pojawiała się w Londynie, akurat Karolina przebywała gdzieś na wyjeździe. Teraz gorączkowo próbowała przypomnieć sobie, co ostatnio słyszała na temat Elizabeth.

- Zdaje mi się, że jest teraz w Indiach Zachodnich, prawda?

- Była tam, kochanie, ze swoją dawną szkolną koleżanką. Świetnie się bawiły, ale dwa dni temu wróciła do kraju, i trzeba trafu, że ojciec przekazał jej tę straszną wiadomość...

- Jaką wiadomość?

- Wiesz, dziesięć lat temu, kiedy jeszcze żyłam z Duncanem, kupiliśmy majątek w Szkocji... to znaczy Duncan kupił, mimo moich stanowczych protestów... I to była ta ostatnia kropla, która przebrała miarę mojej cierpliwości! - Urwała, zmieszana.

- Ale co z Elizabeth? - delikatnie przypomniiała Karolina.

- Aha, Elizabeth! No więc kiedy Duncan kupił tę posiadłość, Elizabeth od razu zaprzyjaźniła się z dwoma



chłopakami z sąsiedniego majątku. No, może już nie chłopakami... to byli właściwie dorośli mężczyźni, ale z miejsca przygarnęli Elizabeth jak przyszywaną siostrzyczkę. Aniśmy się obejrżeli, jak zadomowiła się u nich. Obaj bracia uwielbiali ją, a szczególnie starszy. I masz tobie - ledwo biedactwo wysiadło z samolotu, dowiedziało się, że właśnie ten starszy zginął w wypadku samochodowym. Podobno szosa była oblodzona i wóz wpakował się prosto na mur.

- Boże, jakie to straszne! - Karolina nie ukrywała przerażenia, choć wolałaby nie uzewnętrzniać swych uczuć.

- Żebyś wiedziała. Miał dopiero dwadzieścia osiem lat, był wzorowym farmerem, świetnym myśliwym i w ogóle uroczym człowiekiem. Możesz sobie wyobrazić, co czuła biedna Elizabeth, kiedy spotkało ją takie powitanie. Zadzwoiła do mnie cała we łzach. Namawiałam ją, żeby przyjechała do nas, to razem może prędzej podnieśliśmy ją na duchu. Ale ona oświadczyła, że tam jest bardziej potrzebna...

- Z pewnością jej ojciec zajmie się nią jak należy. - Parker wykorzystał przerwę w rozmowie, aby przysunąć się do Karoliny, i podał jej szklanekę martini tak schłodzonego, że aż zmarzły jej palce. - Na kogo my właściwie czekamy? - dodał.

- Na Lundstromów. Przyjechali tu z Kanady. On jest bankowcem w Montrealu i udziałowcem w nowej inwestycji Shauna.

- Czy naprawdę Diana i Shaun chcą wyprowadzić się do Montrealu? - wtrąciła Elaine. - Co my tu bez nich zrobimy? Diano, kochanie, jak wytrzymamy bez ciebie?

- A jak długo oni mają zamiar tam zostać? - chciał wiedzieć Parker.

- Jakieś trzy, cztery lata. No, może mniej. Wyjeżdżają zaraz po naszym weselu - odparła Karolina.

- Czy ty i Hugh zostanieie w tym domu?

- Skąd, jest o wiele za duży. Zresztą Hugh ma w sam raz odpowiednie mieszkanie. Diana chce na razie zostawić tutaj Katy do utrzymywania domu w porządku, a z czasem wynająć go, jeśli znajdzie odpowiedniego lokatora.

- A co będzie z Jodym?

Karolina spojrzała na swego rozmówcę, ale zaraz spuściła oczy, patrząc w szklanę.

- Jody pojedzie razem z nimi do Kanady - odpowiedziała.

- Nie masz nic przeciwko temu?

- Owszem, mam, ale Diana chce go zabrać.

„...a Hugh nie chce brać sobie smarkacza na kark” dopowiedziała w myśli. „Co innego, jeśli będziemy mieć własne, małe dziecko, ale jedenastoletni chłopak to nie to samo. Tymczasem Diana zapisała go już do ekskluzywnej, prywatnej szkoły, a Shaun obiecał, że nauczy go jeździć na nartach i grać w hokeja”.

Ponieważ Parker nadal się jej przyglądał, głośno dodała, zmuszając się do uśmiechu:

- Wiesz, jaka jest Diana. Kiedy coś zaplanuje, to zawsze wszystko musi wypaść po jej myśli.

- Ale będzie ci go brakować, prawda?

- Oczywiście, że będzie.

Nareszcie zjawili się Lundstromowie. Przedstawiono ich wszystkim, podano drinki i taktownie włączono w toczącą się właśnie rozmowę. Karolina wycofała się na stronę pod pretekstem szukania papierosów. Z boku obserwowała uważnie nowo przybyłych i stwierdziła, że są do siebie podobni jak wiele par małżeńskich. Oboje byli wysocy, o kanciastych figurach i wyglądali na wysportowanych. Pewnie grywali razem w golfa, a latem żeglowali... Pani Lundstrom miała na sobie suknię o prostym kroju, ale za to imponujące brylanty. Jej mąż z kolei był bezbarwny i nijaki jak większość ludzi sukcesu.

Raptem Karolinie przyszło do głowy, że atmosfera w tym gronie z pewnością by się ożywiła, gdyby pojawił się tu nagle zupełnie nowy element - na przykład biedak, pijak czy nie doceniany artysta lub pisarz. Albo niechlujny włóczęga z trzydniowym zarostem na twarzy... Jej ojciec przeważnie gościł u siebie ludzi tego pokroju. Popijali razem czerwone wino lub retsinę do późna w nocy, a potem zasypiali tam, gdzie siedzieli - na sfatygowanej kanapie albo na tarasie, z nogami przewieszonymi przez balustradę... W tym momencie przypomniała sobie, jak wyglądał w nocy ich stary dom na Aphros - światło księżyca znaczyło na nim białe i czarne smugi, a towarzyszył temu nie milknący szum morza.

- Siadamy już do stołu! - Hugh musiał powtórzyć to po raz drugi, zanim wreszcie do niej dotarło. - Co ty, śnisz na jawie? Kończ drinka, bo już najwyższy czas coś zjeść.

Przy stole Karolina usiadła między Shaunem a Johnem Lundstromem. Shaun zajął się nalewaniem wina, więc siłą rzeczy wdała się w rozmowę z panem Lundstromem.

- Czy przyjechał pan do Anglii po raz pierwszy?

- Ależ skąd, bywałem tu już wiele razy! - Marszcząc się nieznacznie, poprawił ułożenie noża i widelca przy swoim nakryciu. - Nie orientuję się jeszcze w pełni w waszych powiązaniach rodzinnych. Jesteś pasierbicą Diany, prawda?

- Tak, i wychodzę właśnie za jej brata, Hugh'a. Niektórzy uważają, że to nie jest w porządku, ale, o ile wiem, Kościół tego nie zabrania.

- Nie wydaje mi się, aby w tym było coś złego. Odwrotnie, to bardzo ułatwia sprawę, bo wszystko zostaje w rodzinie.

- Czy nie jest to zbyt uproszczone podejście? - Raczej praktyczne. - Uśmiechnął się, przez co wydał się młodszy i bardziej przystępny. Karolina poczuła do niego sympatię. - Kiedy ma być wasz ślub?

- W przyszły wtorek. Chwilami trudno mi w to uwierzyć.
- Chyba oboje odwiedzicie Dianę i Shauna w Montrealu?
- Na razie nie. Może później.
- Pozostaje problem tego chłopca...
- Mojego brata, Jody'ego.
- On jedzie z nimi, prawda?
- Tak.
- Na pewno poczuje się w Kanadzie jak ryba w wodzie.

To wymarzony kraj dla chłopca w tym wieku.

Karolina ponownie przytaknęła.

- Jest was tylko dwoje rodzeństwa?
- Nie, jeszcze Angus.
- To także wasz brat?
- Tak, ale już dorosły. Ma prawie dwadzieścia pięć lat.
- Czym się zajmuje?
- Nie wiemy.

Widząc, że John Lundstrom uniósł brwi w wyrazie uprzejmego zdziwienia, Karolina szybko dodała:

- Naprawdę nie wiemy, co on w tej chwili robi ani gdzie przebywa. Kiedyś mieszkaliśmy wszyscy razem na wyspie Aphros na Morzu Egejskim. Mój ojciec był architektem, ale prowadził agencję kupna i sprzedaży nieruchomości. Przy tej okazji poznał Dianę.

- Zaraz, poczekaj. A więc Diana chciała nabyć tam nieruchomość?

- Tak, działkę budowlaną. Nie doszło jednak do tego, bo wyszła za mojego ojca i zamieszkała z nami w naszym domu na Aphros.

- Ale, jak widać, w końcu wróciliście do Londynu?

- Tak, bo ojciec zmarł, więc Diana zabrała nas ze sobą. Chciała zabrać też Angusa, ale on odmówił. Miał dziewiętnaście lat, więc był już pełnoletni, tyle że bez grosza przy duszy, za to z włosami do ramion. Diana zaproponowała

mu, żeby w takim razie został w domu na Aphros, ale odpalił jej, że może go równie dobrze sprzedać, bo on ma inne plany. Kupił używany samochód i wybierał się w podróż do Indii przez Afganistan. Kiedy Diana spytała go, co ma zamiar tam robić, odpowiedział: „Odnaleźć siebie”.

- Wiesz przecież, że takich jak on były tysiące.

- Wiem, ale mimo to nie jest mi lżej, bo to mój brat.

- Od tamtej pory już go nie widziałaś?

- Tylko raz, kiedy przyjechał tu wkrótce po ślubie Diany i Shauna. Nie zmienił się ani trochę - nie miał nawet jednej porządnej pary butów. Nadal był uparty i zdecydowanie odrzucił wszystkie propozycje Diany. Potem wrócił do tego swojego Afganistanu i więcej nie mieliśmy od niego znaku życia.

- Żadnego?

- No, może raz. Przysłał widokówkę z Kabulu, Szrinagaru czy innego Teheranu... - Próbowła obrócić sprawę w żart, ale zanim John Lundstrom zdobył się na jakąkolwiek odpowiedź, Katy podała ponad jego ramieniem wazę z zupą żółwiową. Automatycznie rozmowa się urwała, więc John odwrócił się w stronę Elaine.

Wieczór upłynął w sztywnej atmosferze, a więc zgodnie z przewidywaniami Karolina nudziła się jak mops. Po kawie i koniaku towarzystwo przeszło do salonu. Panowie skupili się w rogu, rozprawiając zawzięcie o interesach, podczas gdy panie plotkowały przy kominku, czyniły plany w związku z wyjazdem do Kanady i podziwiałały najnowszy haft Diany, nad którym ostatnio pracowała.

Po jakimś czasie Hugh oderwał się od męskiego grona, rzekomo po to, aby nalać koniaku Johnowi Lundstromowi. Zaraz potem jednak podszedł do Karoliny, usiadł na poręczu jej fotela i zagadnął:

- Dobrze się czujesz?

- A dlaczego pytasz?

- Bo chciałbym wiedzieć, czy masz jeszcze ochotę skoczyć ze mną do „Arabelli”.

Kiedy podniosła ku niemu wzrok z głębokiego fotela, widziała jego twarz do góry nogami, co wyglądało dosyć dziwnie. - Która to już godzina? - zapytała. Hugh spojrział na zegarek.

- Jedenasta. Chyba że jesteś już zmęczona...

Zanim zdążyła zareagować, wtrąciła się Diana, która znad swego haftu podsłuchiwała ten fragment rozmowy i odpowiedziała za nią.

- Ależ idźcie, koniecznie!

- Dokąd oni mają pójść? - zainteresowała się Elaine.

- Do klubu „Arabella”, którego Hugh jest członkiem.

- To brzmi interesująco! - stwierdziła Elaine z dwuznacznym uśmiechem, jakby wiedziała wszystko o tego rodzaju klubach. Hugh i Karolina przeprosili więc całe towarzystwo, pożegnali się i wyszli. Karolina skoczyła jeszcze na chwilę do siebie na górę, aby wziąć płaszcz i przyczesać włosy. Zatrzymała się przy drzwiach pokoju Jody'ego, ale nie dochodziły stamtąd żadne odgłosy, a światło było zgaszone, więc wolała go nie budzić. Hugh czekał na nią w hallu. Otworzył drzwi, przepuścił ją przodem i wyszli razem na dwór, gdzie było ciemno i wietrznie.

Przeszli kawałek piechotą do miejsca, gdzie stał samochód Hugh'a. Objechali naokoło skwer, a stamtąd wydostali się na Kensington High Street. Karolina zwróciła uwagę, że księżyc był właśnie na nowiu i coraz to przesłaniały go chmury gnane przez wiatr. Ten sam wiatr targał także bezlistne gałęzie drzew w parku, a światła wielkiego miasta rzucały na niebo pomarańczowy odblask. Karolina otworzyła okno w samochodzie i do środka wpadł chłodny powiew, który wicherzył jej włosy. Pomyślała sobie, że w taką noc

przyjemniej byłoby znaleźć się gdzieś poza miastem, wędrować po drogach oświetlonych tylko blaskiem księżyca i słuchać szumu drzew. Te rozmyślenia sprawiły, że westchnęła.

- Co to miało znaczyć? - zainteresował się Hugh.

- Niby co?

- To dramatyczne westchnienie.

- Nic takiego.

- Na pewno? - indagował po krótkiej przerwie Hugh. - Nic cię nie gryzie? - Ależ nic! - Rzeczywiście, niby nie było nic takiego, co mogłoby ją martwić. Nic albo wszystko, bo właściwie przez cały czas źle się czuła. Tylko że nie wyobrażała sobie, jak mogłaby rozmawiać o tym z Hughem. Przecież on zawsze był w świetnej formie, aktywny, pełen życia i nigdy nie wykazywał oznak zmęczenia. Już sam fakt złego samopoczucia był wystarczająco nieciekawym, a mówienie o tym - nudziarstwem do kwadratu!

Przez chwilę panowała cisza, którą przerwał dopiero Hugh, czekając przed skrzyżowaniem na zielone światło.

- Ci Lundstromowie są przesympatyczni! - zaczął, zmieniając temat.

- Rzeczywiście. Opowiedziałam panu Lundstromowi o Angusie i nawet chętnie słuchał.

- A cóż innego miał zrobić?

- To samo, co większość naszych znajomych. Zademonstrować swoje oburzenie, przerażenie, lub przeciwnie - zachwyty, i szybko zmienić temat. Diana nie cierpi, kiedy o nim mówię. Pewnie dlatego, że był - przepraszam, dalej jest - jedynym człowiekiem, którego nie udało się jej owinać wokół palca.

- Masz na myśli to, że nie wrócił razem z wami do Londynu?

- Owszem, jak również to, że nie obrał takiego zawodu, jaki dla niego planowała - na przykład księgowego lub czegoś w tym rodzaju. Przeciwnie, zawsze robił tylko to, co sam chciał.

- Nie chcę, abyś myślała, że solidaryzuję się z Dianą, ale tobie też to się udało. Mimo sprzeciwów wstąpiłaś do szkoły teatralnej i nawet przez pewien czas grałaś na scenie...

- Raptem przez pół roku.

- To dlatego, że przeszłaś ciężkie zapalenie płuc. Nie miałaś na to żadnego wpływu.

- Tak, ale gdy wyzdrowiałam, mogłam próbować wrócić do zawodu. Po prostu stchórzyłam. Diana zawsze powtarzała, że brakuje mi wytrwałości, i rzeczywiście miała rację. Dobrze jeszcze, że nie dodała: „A nie mówiłam?” - No, ale gdybyś została aktorką - nadmienił ostrożnie Hugh - pewnie nie wychodziłabyś teraz za mnie.

Karolina spojrzała spod oka na jego profil oświetlony z góry światłem latarni ulicznej i lampki na tablicy rozdzielczej. W tym momencie wyraz jego twarzy był ponury i zacięty.

- Pewnie rzeczywiście nie - przyznała.

Sprawa nie była jednak taka prosta. Mogłaby podać tysiące przyczyn, dla których zdecydowała się wyjść za Hugh'a - przyczyn tak zazębiających się wzajemnie, że trudno byłoby je rozdzielić. Najważniejszą spośród nich było chyba uczucie wdzięczności.

Hugh wkroczył w jej życie, kiedy jako chuda piętnastolatka wróciła z Aphros razem z Dianą. Mimo że czuła się wtedy samotna i nieszczęśliwa, potrafiła zauważyć i docenić zalety Hugh'a. Zaimponowało jej, jak sprawnie zajął się zarówno formalnościami celno - paszportowymi, jak i zmęczonym i zapłakany Jodym. Tego właśnie potrzebowała - żeby ktoś nią pokierował i otoczył opieką. Jeśli nawet nie mógł zastąpić jej ojca - to przynajmniej dobrego wujka.



Dzięki niemu mogła szczęśliwie przetrwać trudny okres dojrzewania.

Istotną rolę odegrała tu sama Diana. Od początku przyjęła założenie, że z Hugh'a i Karoliny będzie doskonała para. Ten układ wydawał się jej idealny, więc dyskretnie zaczęła aranżować spotkania. Oczywiście nie robiła tego zbyt ostentacyjnie, rzucała jedynie uwagi w rodzaju: „Hugh podwiezie cię na stację” lub „Kochanie, bądź dziś wieczorem w domu. Spodziewam się Hugh'a na kolacji i chciałabym, żebyś mu dotrzymała towarzystwa”.

Jednak nawet ta presja psychiczna nie poskutkowałaby, gdyby nie romans Karoliny z Drennanem Colefieldem. Po jego nieszczęśliwym finale Karolinie wydawało się, że nic już nie będzie takie samo jak przedtem. Tymczasem, kiedy doszła do siebie na tyle, że mogła spojrzeć na świat bez łez przesłaniających pole widzenia - okazało się, że Hugh się nie zmienił. Trwał przy niej tak jak przedtem, z tym tylko, że teraz chciał się z nią żenić, a ona właściwie nie miała nic przeciwko temu. - Przez cały wieczór prawie się nie odzywałaś - zauważył tymczasem Hugh.

- Coś takiego! A ja myślałam, że mówię za dużo.

- Gdybyś jednak miała jakieś zmartwienie, to powiesz mi o tym, prawda?

- Denerwuje mnie tylko, że wszystko dzieje się tak szybko, a tyle jeszcze jest do zrobienia! Kiedy zobaczyłam tych Lundstromów, pomyślałam sobie, że to tak, jakby Jody był już w Kanadzie i że nigdy więcej go nie zobaczę...

Hugh nie odpowiedział od razu, tylko sięgnął po papierosa. Zapalił go używając zapalniczki samochodowej. Następnie odłożył ją na miejsce i dopiero wtedy zdecydował się odezwać.

- Głowę daję, że to typowe objawy „depresji przedślubnej”, jak nazywają to w kobiecych pismach.

- Ale skąd się to bierze?

- Po prostu przyszła panna młoda musi myśleć o zbyt wielu rzeczach naraz. Musi odpowiedzieć na setki listów, rozpakować setki prezentów, przymierzać suknie, wybierać wzór zasłon, użerać się z dostawcami... To wystarczy, aby najodporniejsza dziewczyna dostała bzika!

- Dlaczego więc pozwoliłeś zrobić nas w takie huczne wesele?

- Ponieważ oboje znaczymy zbyt wiele dla Diany, aby poprzestać na cichym ślubie cywilnym i „miodowym weekendzie” w Brighton. Sprawilibyśmy jej tym dużą przykrość.

- To dlatego mamy dawać się wodzić za nos? Hugh położył rękę na jej dłoni.

- Głowa do góry! Jeszcze tylko do wtorku, a potem polecimy na Wyspy Bahama. Tam już nie będziesz musiała pisać żadnych listów, tylko całymi dniami wylegiwać się na słońcu i jeść pomarańcze. Jak ci się podoba ta perspektywa?

Wiedziała, że to dziecinada, ale nie mogła powstrzymać się od stwierdzenia:

- Wolałabym, żebyśmy pojechali na Aphros!

W głosie Hugh'a zabrzmiała nuta zniecierpliwienia.

- Ależ, Karolino, mówiliśmy już o tym nieskończoną ilość razy!

Coś jeszcze mówił, ale już go nie słuchała. Myślni była znów na Aphros, wspominała gaje oliwne i stare drzewa wśród łąnów kwitnących maków, szafirków i różowych cyklamenów, a wszystko to na tle błękitnej tafli morza. Obrazowi temu towarzyszył dźwięk dzwonek pasących się kóz i zapach rozgrzanych słońcem sosen ociekających żywicą. Dotarło do niej dopiero ostatnie zdanie wypowiedziane przez Hugh'a:

- Zresztą i tak wszystko już jest załatwione.

- Ale kiedyś może wybierzemy się znów na Aphros?
  - Chyba w ogóle nie słuchałaś tego, co powiedziałem.
  - Moglibyśmy, na przykład, wynająć tam domek...
  - Nie.
  - Albo wypożyczyć jacht...
  - Nie!
  - Dlaczego tak bardzo nie chcesz tam jechać?
  - Ponieważ uważam, że powinnaś zachować w pamięci taki obraz tej wyspy, jaką ona była wtedy, a nie, jaka jest teraz, zdewastowana przez przedsiębiorców budowlanych i zeszpecona wieżowcami.
  - Skąd wiesz, że właśnie tak teraz wygląda?
  - Jestem o tym głęboko przekonany.
  - Ależ...
  - Nie! - uciął krótko Hugh.
- Po chwili milczenia Karolina z uporem powtórzyła:
- A jednak chciałabym tam wrócić!

## Rozdział 2

Wrócili do domu, kiedy na zegarze w hallu wybiła już druga nad ranem. Jeszcze brzmiała poważna melodia kurantu, gdy Hugh przekręcał klucz w zamku i otwierał Karolinie drzwi. W hallu świeciło się światło, ale wewnętrzne schody tonęły już w ciemnościach. W całym domu panowała cisza, gdyż przyjęcie dawno się skończyło, a jego uczestnicy poszli spać. - Dobranoc! - pożegnała Hugh'a Karolina.

- Dobranoc, kochanie! - Wymienili pożegnalne pocałunki.  
- Kiedy znów się spotkamy? Jutro muszę wyjechać, więc może we wtorek?

- Oczywiście, najlepiej przyjdź na kolację. Uprzedzę Dianę.

- O, tak, zrób to koniecznie!

Z uśmiechem wycofał się i już sięgał do klamki, kiedy Karolina przypomniała sobie, że wypada podziękować mu za miły wieczór. Potem drzwi zamknęły się już na dobre i została sama. Poczekała jeszcze, aż usłyszy warkot odjeżdżającego samochodu.

Kiedy i ten dźwięk ucichł, skierowała się ku schodom i krok za krokiem, trzymając się poręczy, zaczęła wchodzić na górę. U szczytu schodów zgasiła światło w hallu i dotarła do swojej sypialni. Zasłony były tu już zaciągnięte, łóżko posłane, a w nogach leżała przygotowana nocna koszula. Karolina, idąc w stronę łóżka, po drodze zostawiała na dywanie buty, torebkę, płaszcz i szalik. Teraz rzuciła się w poprzek łóżka, tak jak stała, nie dbając o to, że może pognieść suknię.

Dopiero po chwili zaczęła wolno rozpinać guziczki, ściągnęła przez głowę sukienkę i pozbyła się pozostałych części garderoby. Włożyła nocną koszulę, chłodną i przyjemną w dotyku, po czym boso przeszła do łazienki. Pobieźnie umyła twarz i wyszorowała zęby, co ją nieco

odświeżyło. Była wprawdzie zmęczona fizycznie, ale jej umysł pracował niezwykle intensywnie. Usiadła więc przy toalecie i sięgnęła po szczotkę do włosów, lecz zaraz ją odłożyła. Otworzyła następnie szufladę w toalecie i wyjęła stamtąd obwiązany czerwoną wstążką plik listów od Drennana. Znajdowało się tam także ich wspólne zdjęcie z czasów, gdy karmili gołębie na Trafalgar Square, oprócz tego stare programy teatralne, jadłospisy restauracyjne i różne pozornie bezwartościowe świstki papieru, które Karolina przechowywała jako pamiątkę wspólnie spędzonych chwil.

Hugh pamiętał z tamtego okresu tylko to, że chorowała na zapalenie płuc. Tym też usprawiedliwiał jej rezygnację z kariery aktorskiej. Wszystkim wydawało się to oczywiste, bo nikt, nawet Diana, nie wiedział o jej przygodzie miłosnej z Drennanem Colefieldem. Karolina nie wspomniała o tym nawet wtedy, kiedy wszystko było już skończone i Diana zabrała ją na Antibes, aby szybciej wróciła do zdrowia. Czasem jednak skrycie pragnęła, aby ktoś próbował ją pocieszyć, powtarzając banały w rodzaju: „Czas leczy rany”, „Każda dziewczyna musi przynajmniej raz w życiu nieszczęśliwie się zakochać” czy „Tego kwiatu jest pół świata”.

Minęły miesiące, zanim znów usłyszała jego nazwisko. Miało to miejsce przy śniadaniu, kiedy Diana czytała gazetę. Przeglądała właśnie repertuar teatrów i ponad stołem rzuciła w kierunku Karoliny uwagę:

- Czy kiedy grałaś w teatrze „Repertorium”, nie występowałaś tam niejaki Drennan Colefield?

Karolina ostrożnie odstawiła swoją filiżankę kawy i odpowiedziała obojętnym tonem:

- Tak. A bo co?

- Tutaj piszą, że ma grać rolę Kirby'ego Ashtona w nowym filmie „Wyciągnij rewolwer”. Znam tę powieść, pełno

w niej seksu i przemocy, więc pewnie i film będzie dosyć świński. - Podniosła oczy znad gazety i wróciła do tematu Drennana Colefielda. - Czy on był dobry? Oczywiście jako aktor!

- Chyba tak.

- Tu jest jego zdjęcie z żoną, Michelle Tyler. Wiedziałaś, że się z nią ożenił? Na tym zdjęciu jest cholernie przystojny.

Podawała jej przez stół gazetę i oto Karolina znów zobaczyła Drennana Colefielda, szczuplejszego i z dłuższymi włosami niż przedtem, ale z tym samym błyskiem w oku i papierosem niedbale trzymanym w palcach.

- Co robisz dziś wieczorem? - spytał, kiedy spotkali się po raz pierwszy. Było to w oranżerii, gdzie szykowałą kawę, cała wypačkana farbami po pracy nad dekoracją do sztuki.

- Nic - odpowiedziała mu wtedy.

- To tak jak ja - podchwycił Drennan. - Może byśmy nic nie robili razem?

Od czasu ich pierwszego wspólnego wieczoru świat jakby wypiękniał i nabrał nowych barw. Zaczęła nagle dostrzegać piękno pozornie błahych szczegółów, na które dotąd nie zwracała uwagi, takich jak liść na drzewie, dziecko bawiące się piłką czy staruszek siedzący na ławce w parku. Mało tego - całe dotychczas senne miasteczko ożywiło się, a jego mieszkańcy chodzili uśmiechnięci i wyglądali na zadowolonych. Nawet słońce od tej pory świeciło jakby jaśniej i intensywniej. Wszystko to stało się za sprawą Drennana.

- Na tym właśnie polega miłość - objaśniał jej nie tylko teoretycznie, lecz i praktycznie. - A przynajmniej na tym powinna polegać.

Te piękne chwile nigdy się już nie powtórzyły. Teraz Karolinie pozostał już tylko tydzień do ślubu z Hughem, a przecież nie zapomniała jeszcze o Drennaniu i w głębi serca

nadal go kochała! To rozdarcie wewnętrzne doprowadziło ją do płaczu. Nie szlochała ani nie łkała, tylko łzy bezgłośnie puściły się jej z oczu i niepowstrzymanym strumieniem spływały po policzkach.

Siedziałyby tak do rana użalając się nad sobą, gdyby nie przeszkodził jej Jody. Bezszelestnie przebył odcinek korytarza dzielący ich pokoje i zapukał do jej drzwi. Kiedy nie doczekał się żadnej reakcji, wsadził głowę do środka.

- Dobrze się czujesz? - spytał.

Jego nagłe wtargnięcie podziałało na nią jak kubek zimnej wody. Karolina spróbowała opanować płacz, otarła łzy wierzchem dłoni i narzuciła szlafrok na nocną koszulę.

- Tak, oczywiście. - Zbyła go krótko i zaraz zmieniła temat. - A dlaczego o tej porze nie jesteś w łóżku?

- Nie spałem, kiedy przyszłaś. Słyszałem, jak chodzisz po pokoju, i myślałem, że może źle się czujesz...

Jody zamknął drzwi za sobą i podszedł do Karoliny. Był boso, miał na sobie niebieską piżamę, a rude włosy sterczały mu na czubku głowy.

- Dlaczego płakałaś? - zapytał.

Nie było sensu udawać, że wcale nie płakała. Karolina odpowiedziała więc:

- Och, to nic takiego! - Co też nie miało większego sensu.

- Jak to nic takiego? Nie płacze się bez powodu! - upierał się, przysuwając głowę bliżej i zaglądając jej w oczy. - Może jesteś głodna?

Z uśmiechem potrząsnęła głową.

- Ale ja jestem, więc zejść na dół i poszukam czegoś do jedzenia.

- Pewnie, idź! - zachęciła go, lecz chłopiec nie ruszył się z miejsca. Rozglądał się wokoło, jakby chciał znaleźć powód jej płaczu. Wreszcie jego wzrok zatrzymał się na paczce listów i

leżącym na niej zdjęciu. Sięgnął po nie i trzymając je w ręku powiedział:

- To Drennan Colefield! Widziałem go niedawno w filmie „Wyciągnij rewolwer”. To był właściwie film dla dorosłych, więc musiałem prosić Katy, żeby wprowadziła mnie do kina. Ten Colefield grał Kirby'ego Ashtona i był super! - Spojrzał spod oka na Karolinę. - Znałaś go, prawda?

- Tak, występowaliśmy razem w teatrze w Lunnbridge.

- Ale on się tymczasem ożenił!

- Wiem o tym.

- Czy to dlatego płakałaś?

- Chyba tak.

- Znałaś go aż tak dobrze?

- Jody, to było już dawno temu.

- Więc dlaczego płaczesz?

- Po prostu jestem sentymentalna.

- Ale przecież... - nie chciał użyć słowa „kochasz”, więc inaczej dokończył zdanie - ...wychodzisz za Hugha.

- Tak, ale gdy ktoś jest sentymentalny, to płacze nawet za tym, co już się dawno skończyło, choć to strata czasu. Na tym właśnie polega sentymentalizm.

Jody nadal uparcie się jej przyglądał, ale po chwili odłożył zdjęcie Drennana i wrócił do poprzedniego tematu.

- Zejdę na dół, wezmę sobie kawałek ciasta i zaraz wrócę. Może i tobie coś przynieść?

- Nie, dziękuję. Tylko zachowuj się cicho, żebyś nie zbudził Diany.

Jody wyśliznął się dyskretnie z jej pokoju, a Karolina pośpiesznie schowała listy i zdjęcie z powrotem do szuflady i starannie ją zaniknęła. Potem pozbierała porozrzucane części swojej garderoby, powiesiła suknię do szafy, nałożyła pantofle na prawidła, a inne fatalaszki poskładała starannie i ułożyła na krześle. Zanim Jody wrócił z porcją keksu, zdążyła jeszcze



wyszczotkować włosy i teraz czekała na niego siedząc w swoim łóżku. Postawił więc tacę z ciastem i szklanką mleka na nocnej szafce, a sam przysiadł tuż obok.

- Wiesz, wpadłem na pewien pomysł... - zagaił.

- Mam nadzieję, że dobry?

- Myślę, że tak. Ty pewnie uważasz, że chętnie pojedę do Kanady z Dianą i Shaunem? Otóż wcale nie chciałbym tam jechać. Raczej wszystko inne, byle nie to.

Karolina zrobiła wielkie oczy.

- Ależ byłem pewna, że bardzo cieszysz się na ten wyjazd! Wydawałeś się tym zachwycony.

- To tylko z grzeczności.

- Przecież nie mogłeś podejmować tak ważnej decyzji tylko z grzeczności!

- Jakoś mogłem, ale teraz mówię ci, że nie chcę tam jechać.

- Dlaczego? W Kanadzie może być całkiem fajnie.

- Skąd wiesz, jeśli nigdy tam nie byłaś? A ja nie chcę opuszczać mojej szkoły, moich kolegów ani drużyny piłkarskiej!

Karolina była kompletnie zaszokowana tymi informacjami.

- W takim razie dlaczego mówisz mi o tym dopiero teraz? Czemu, na miłość boską, nie powiedziałeś tego wszystkiego wcześniej?

- Przedtem nie chciałem zwracać ci głowy, bo miałaś masę roboty z listami, prezentami, welonem i innymi takimi rzeczami.

- Wiesz, że dla ciebie zawsze znalazłabym czas. Jody ciągnął dalej swój wywód, jakby nie słyszał ostatniego stwierdzenia Karoliny.

- Mówię ci o tym teraz, bo potem będzie za późno. Chcesz posłuchać, jaki mam plan?

- No, nie wiem... - Nagle zaczęła odczuwać pewien niepokój. - Co to za plan? - Myślę, że lepiej będzie, jeśli nie pojedę do tego Montrealu, tylko zostanę w Londynie. Oczywiście nie z tobą i z Hughem, ale z Angusem.

- Z Angusem? - Karolinę to rozśmieszyło. - Ależ on jest gdzieś na drugim końcu świata, w jakimś Kaszmirze czy Nepalu... Nawet gdybyśmy wiedzieli, gdzie on jest, to w życiu nie uda nam się ściągnąć go do Londynu.

- Nie ma go ani w Kaszmirze, ani w Nepalu - oznajmił Jody, odgryzając duży kęs ciasta. - On jest w Szkocji!

Karolina wytrzeszczyła oczy, niepewna, czy dobrze zrozumiała, bo mówił z pełnymi ustami.

- W Szkocji? Skąd ci to przyszło do głowy?

- Wiem na pewno, bo napisał do mnie list. Dostałem go jakieś trzy tygodnie temu. Pisze, że pracuje w hotelu „Strathcorrie” w miejscowości Strathcorrie w Perthshire.

- Napisał do ciebie? Nic mi o tym nie wspominałeś.

- Wydawało mi się... - Twarz Jody'ego wyrażała skupienie. - ...że lepiej nic nie mówić.

- Gdzie jest ten list?

- U mnie w pokoju. - Jody odgryzł jeszcze większy kęs ciasta.

- Pokażesz mi go?

- Tak.

Zsunął się z łóżka i wybiegł, a po chwili wrócił z listem w ręku.

- Proszę! - wręczył go Karolinie, a sam usiadł na swoim poprzednim miejscu i sięgnął po szklanekę mleka. Karolina zwróciła uwagę, że list był w taniej, żółtej kopercie, a adres napisany na maszynie.

- Wygląda jakoś bezosobowo - zauważyła.

- Rzeczywiście. Kiedy przyszedł, myślałem, że to katalog jakiejś firmy sprzedaży wysyłkowej. Wiesz, takiej, gdzie można zamawiać różne rzeczy.

Karolina wyjęła z koperty arkusik cienkiego papieru używanego w poczcie lotniczej - z pewnością musiał być wielokrotnie czytany, bo zdawał się już rozpadać.

Hotel 'Strathcorrie'

Strathcorrie

Perthshire

Kochany Jody!

Ten list należy do kategorii: „Ściśle tajne - przed przeczytaniem spalić”. Postaraj się więc trzymać go z dala od ciekawskich oczu Diany, bo mogłaby nieźle uprzykrzyć mi życie.

Wróciłem z Indii jakieś dwa miesiące temu razem z kumplem, którego poznałem w Persji. On już wyjechał, a ja dostałem pracę w tym hotelu jako pucybut i palacz. Mieszkają tu przeważnie starszaki, którzy przyjeżdżają na ryby. W przerwach między łowieniem ryb przesiadują jak mumie w fotelach.

Zaraz po przyjeździe do kraju zatrzymałem się przez dwa dni w Londynie. Chciałem wstąpić do Was, ale bałem się, że Diana zaraz by mnie okiełznała, osiodłała, a może i całkiem zajeżdżała!

Ucałuj ode mnie K. Przekaż jej, że powodzi mi się dobrze i że jestem szczęśliwy. Kiedy znów napiszę, dowiecie się więcej. Tęskno mi za Wami!

Angus

- Dlaczego nie pokazałeś mi go od razu? - oburzyła się Karolina.

- Ponieważ bałem się, że zechcesz powiedzieć o nim Hughowi, a on powtórzyłby Dianie.

- Angus nie wie, że wychodzę za mąż? - Karolina powtórnie przebiegła oczami treść listu.

- Chyba nie wie.

- Może do niego zadzwonimy?

- Przecież nie podał żadnego numeru telefonu! - zaoponował Jody. - Poza tym ktoś może nas podsłuchać. Zresztą głupio jest mówić przez telefon, bo nie widzi się tej drugiej osoby, a poza tym w każdej chwili mogą nas rozłączyć.

Karolina wiedziała, że Jody miał awersję do korzystania z telefonu, wręcz bał się tego urządzenia.

- No więc możemy do niego napisać. - On nigdy nie odpisuje na listy.

Było to zgodne z prawdą, ale Karolina czuła, że Jody do czegoś zmierza, tylko nie wiedziała, do czego.

- To co mamy zrobić? - zniecierpliwiła się w końcu. Jody głęboko wciągnął powietrze.

- Musimy oboje pojechać do Szkocji! - wyrzucił z siebie.

- Odnaleźć Angusa i wszystko mu wyjaśnić.

Podniósł głos, jakby mówił do głuchego, i dodał:

- Powiemy mu, że nie chcę wyjeżdżać do Kanady z Dianą i Shaunem.

- A wiesz, co on na to odpowie? Że go to guzik obchodzi!

- Nie wydaje mi się, żeby mógł powiedzieć coś takiego.

Karolinie zrobiło się przykro, więc podjęła przerwany wątek.

- Dobrze więc, pojedziemy do Szkocji, odzujemy Angusa i co mu powiemy?

- To, że musi wrócić do Londynu i zająć się mną. Diana zawsze powtarzała mu, że nie może przez całe życie uciekać przed odpowiedzialnością. Teraz jest odpowiedzialny za mnie.

- Niby jak miałby się tobą zająć?

- Musiałby poszukać jakiegoś mieszkania i rozejrzeć się za pracą.

- Angus?

- Niby dlaczego nie? Przecież wszyscy pracują. Do tej pory nie chciał tylko robić tego, co Diana dla niego wybrała.

Wbrew sobie Karolina musiała się uśmiechnąć.

- A wiesz, że to się trzyma kupy?

- Natomiast myślę, że chętnie zrobi to dla nas. Przecież napisał, że tęskni za nami. Na pewno chciałby, żebyśmy byli razem.

- Dobrze, tylko jak mamy się dostać do tej Szkocji? Przecież bez wiedzy Diany nie wydostaniemy się z tego domu. Wiesz, że ona zaalarmowałaby natychmiast wszystkie lotniska i stacje kolejowe, a gdybyśmy użyli jej samochodu, zatrzymałby nas pierwszy napotkany policjant.

- Wszystko obmyśliłem - uspokoił ją Jody. Dopił do końca mleko i przysunął się bliżej. - Opracowałem dokładny plan!

Choć nazajutrz miał już zacząć się kwiecień - w to ponure popołudnie wcześniej zaczął zapadać zmierzch. Właściwie już od rana było mroczno. Niebo pokrywały niskie, ołowiane chmury, z których siąpił marznący deszcz. Krajobraz wokół był równie ponury. Wzgórza pokrywała tylko wyschnięta, zbrązowiała przez zimę trawa, a na ich szczytach - podobnie jak w zacienionych kotlinach i rozpadlinach gruntu - zalegał zlodowaciały śnieg przypominający biały lukier.

Pomiędzy wzgórzami wiała się dolina rzeki. Wzdłuż niej hulał tego dnia bezlitosny, mroźny wiatr z północy - chyba z samej Arktyki. Targał bezlistnymi gałęzmi drzew, wydmuchiwał z rowów uschłe liście i grał w pniach masztowych sosen, wydając dźwięki przypominające szum morza.

Dziedziniec kościelny nie dawał żadnej osłony przed szalejącym wiatrem, toteż zgromadzeni tam żałobnicy kulili się z zimna. Komża proboszcza wzdymała się i trzepotała jak

źle umocowany żagiel. Oliver Cairney stał z odkrytą głową, nie czuł już policzków ani uszu i żałował, że nie nałożył dodatkowego okrycia.

Skonstatował, że znajduje się w tej chwili w dziwnym stanie umysłu. Na bodźce zewnętrzne reagował wybiórczo. Na przykład słowa modlitw ledwie do niego docierały, podczas gdy całą jego uwagę pochłonał bukiet jaskrawożółtych żonkili, które tego ponurego dnia płonęły niby świeczka w ciemnym pokoju. Z szarego, anonimowego tłumu uczestników pogrzebu wyławiał tylko pojedyncze twarze, jak postaci na pierwszym planie obrazu. I tak, zauważył starego stróża Coopera w odświętnym, tweedowym garniturze i czarnym krawacie z dzianiny, a także potężną postać sąsiada, Duncana Frasera.

Do tego swojskiego tła nie pasowała sylwetka obcej dziewczyny, szczupłej i opalonej, w czarnej futrzanej czapie naciągniętej głęboko na uszy i ciemnych okularach zasłaniających pół twarzy. Widok ten nie dawał Oliverowi spokoju. Któż to mógł być? Czyżby dziewczyna Charlesa? Nieprawdopodobne...

Po chwili dał spokój tym bezproduktywnym spekulacjom i spróbował skupić się na trwającej właśnie ceremonii. Tymczasem jednak podstępny wiatr, jakby za podszeptem szatana, przybrał na sile i gwałtownym porywem wzbiał w górę tumany zeschniętych liści spod stóp Olivera. Odwróciło to jego uwagę od obrzędów pogrzebowych, więc obejrzał się i zatrzymał wzrok na nieznajomej dziewczynie. Akurat zdjęła okulary, więc ze zdumieniem rozpoznał w niej Liz Fraser!

Liz, w tym dniu szczególnie elegancko ubrana, stała obok swego ojca. Przez ułamek sekundy napotkał wzrokiem jej spojrzenie, ale zaraz odwrócił głowę w przeciwną stronę. Nie widział jej już od dwóch lat, a może dłużej. Dopiero teraz, już jako dojrzała kobieta, ni stąd, ni zowąd zjawiła się w Rossie

Hill. Oliver wiedział, że jego brat szalał za nią. W gruncie rzeczy był jej wdzięczny, że przyjechała na pogrzeb. Dla Charlesa znaczyłoby to bardzo wiele.

Ceremonia pogrzebowa nareszcie dobiegła końca. Żałobnicy zaczęli się rozchodzić, pozostawiając świeży grób zarzucony pierwszymi wiosennymi kwiatami. Po dwoje lub troje opuszczali smagany wiatrem dziedziniec kościelny. Także i Oliver znalazł się już na ulicy, ściskając liczne dłonie i powtarzając zdawkowe formułki:

- To miłe, że pan przyszedł... Tak, to rzeczywiście straszne...

Wśród składających kondolencje byli starzy znajomi, farmerzy gospodarujący po drugiej stronie Relkirk, a także ludzie, których Oliver widział po raz pierwszy w życiu. Przedstawiali mu się kolejno, a on uprzejmie ich witaj:

- Jak ładnie z pana strony, że pan przyjechał taki kawał drogi... Może po drodze do domu wstąpi pan do Cairney? Pani Cooper czeka z dobrym podwieczorkiem...

W końcu na placu został już tylko Duncan Fraser. Był to korpulentny, dobrze zbudowany mężczyzna w czarnym płaszczu zapiętym pod szyję, owiniętą kaszmirowym szalikiem. Wiatr zwichrzył jego siwe włosy w komiczny czub. Oliver rozejrzał się, czy nie ma przy nim Liz.

- Ona już pojechała do domu - wyjaśnił Duncan. - Nie nadaje się zbytnio do składania kondolencji.

- Szkoda, ale ty wstąpisz do mnie, prawda? Wypijesz kieliszek na rozgrzewkę? - Pewnie, że przyjdę!

W tym momencie dołączył do nich pastor.

- Dziękuję za zaproszenie, Oliverze, ale niestety nie skorzystam. Żona mi zachorowała, myślę, że to grypa. - Uścisnęli sobie dłonie, co z jednej strony oznaczało wdzięczność, a z drugiej współczucie. - Daj mi znać, kiedy się zdecydujesz, co masz zamiar teraz zrobić.

- Mógłbym powiedzieć księdzu nawet zaraz, ale zajęłoby to za dużo czasu.

- Dobrze, powiesz mi kiedy indziej, nie ma pośpiechu.

Wiatr wydymał sutannę pastora, a jego palce trzymające modlitewnik były obrzękłe i czerwone z zimna. „Zupełnie jak parówki” - pomyślał Oliver. Duchowny pożegnał się i odszedł ścieżką między nagrobkami - w ciemnościach widać było już tylko oddalającą się białą plamę jego komży. Oliver odczekał, aż pastor wejdzie do kościoła, i dopiero wtedy skierował się w stronę swojego samochodu. Wsiadł do niego, zadowolony, że nareszcie jest sam. Dopiero teraz, po pogrzebie, mógł pogodzić się z faktem, że Charles nie żyje. A kiedy już przyjął to do wiadomości - także wszystko inne wydawało się łatwiejsze do zniesienia. Nie uczyniło go to może szczęśliwszym, ale na pewno trochę go uspokoiło, w każdym razie na tyle, że był w stanie odczuć satysfakcję z tak licznego udziału ludzi w pogrzebie brata. Szczególnie zaś cieszył się z przyjazdu Liz.

Po chwili sięgnął niezręcznie do kieszeni płaszcza, znalazł tam paczkę papierosów, wyciągnął jednego i zapalił. Rozejrzał się po pustej ulicy i zdecydował, że czas najwyższy wracać do domu. Ma przecież zobowiązania wobec ludzi, których zaprosił - nie może pozwolić im na siebie czekać. Włączył więc silnik, wrzucił bieg i ruszył. Warstwa lodu na zamarzniętej drodze kruszyła się pod kołami jego samochodu.

Okolo piątej dom Olivera opuścił ostatni gość. No, może raczej przedostatni, bo na zewnątrz stał jeszcze Bentley Duncana Frasera, ale Duncana nie uważano w tym domu za gościa.

Oliver poczekał więc, aż odjedzie ostatni obcy samochód, a potem wrócił do domu, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. W bibliotece na kominku płonął ogień. Na odgłos kroków Olivera stara suka rasy labrador, wabiąca się Lisa, wybiegła



mu naprzeciw. Kiedy jednak przekonała się, że nie jest on tym, na którego czekała, wróciła powoli na swoje miejsce przy kominku. Przedtem należała do Charlesa i teraz czuła się zagubiona i opuszczona. Aż przykro było patrzeć na to biedne stworzenie!

Tymczasem Duncan przysunął sobie fotel bliżej ognia i wygodnie się rozsiadł. Na policzki wystąpiły mu rumieńce, może od żaru płomieni, ale najpewniej to dwie podwójne whisky, które wypił, rozgrzewały go od wewnątrz.

Pokój był zaśmiecony pozostałościami po wspaniałym podwieczorku, przygotowanym przez panią Cooper. Stół przestawiono w drugi koniec pomieszczenia, na białym adamaszkowym obrusie wałały się okruchy keksu, wszędzie stały puste filiżanki po herbacie i szklaneczki po czymś mocniejszym.

Duncan podniósł wzrok, a kiedy dostrzegł Olivera, uśmiechnął się, wyciągnął przed siebie nogi i oznajmił z silnym akcentem swego rodzinnego Glasgow:

- No, to będę się zbierał.

Poprzestał jednak na samej deklaracji, nie czyniąc żadnego ruchu w tym kierunku.

- Posiedź jeszcze trochę! - poprosił Oliver, odkrawając sobie kawałek ciasta. Najwyraźniej pragnął odwlec moment, kiedy zostanie sam. - Chciałbym pomówić z tobą o Liz. Napij się jeszcze.

Duncan przyjrzał się swojej pustej szklance, jakby rozważając tę propozycję.

- No, dobrze - zgodził się w końcu, co było łatwe do przewidzenia, więc Oliver wziął od niego szklanekę. - Ale tylko troszeczkę. I ty też musisz napić się ze mną, przecież jeszcze nic dziś nie piłeś!

- Oczywiście, chętnie się napiję.

Obok szklanki Duncana postawił drugą, czystą, nalał do obydwóch whisky i skapo uzupełnił wodą z dzbanuszka.

- Wiesz, że początkowo jej nie poznałem? - wrócił do podjętego uprzednio tematu. - Nie miałem pojęcia, kto to mógłby być.

Mówiąc to podszedł z napełnionymi szklankami do kominka.

- Rzeczywiście, ostatnio bardzo się zmieniła.

- Długo zostanie u ciebie?

- Chyba ze dwa dni. Stale przebywa w Indiach Zachodnich razem z jakąś koleżanką. Wyjechałem po nią na lotnisko, choć niezbyt mi się chciało, ale... Sądziłem, że lepiej będzie, jeśli sam jej powiem o śmierci Charlesa. Wiesz przecież, jak to bywa z kobietami! - Po jego twarzy przemknął cień uśmiechu. - Trudno wyczuć, co one naprawdę myślą. Duszą wszystko w sobie i nie chcą puścić farby.

- W każdym razie przyjechała.

- Tak. Widzisz, ona pierwszy raz miała do czynienia ze śmiercią, która dotknęła kogoś z jej bliskich, a nie tylko z nazwiskami z gazetowych nekrologów. Okazuje się, że umierają także nasi przyjaciele czy kochankowie... Nic nie obiecuję, ale przypuszczalnie jutro lub pojutrze Liz wpadnie do ciebie.

- Wiedziałaś, że była jedyną dziewczyną, na jaką Charles kiedykolwiek spojrział?

- Tak, nawet wtedy, gdy była jeszcze mała.

- Czekał tylko, aż dorośnie.

Duncan nie skomentował tej ostatniej kwestii. Oliver wziął sobie papierosa, zapalił i przysiadł na krawędzi fotela stojącego po przeciwnej stronie kominka. Duncan nie spuszczał go z oczu.

- I co teraz masz zamiar zrobić? To znaczy, co zrobisz z majątkiem Cairney? - zagadnął.

- Sprzedam go - odrzekł Oliver.  
- Tak po prostu, zwyczajnie sprzedasz?  
- A jak? Nie mam innego wyjścia.  
- To grzech wypuszczać z rąk takie piękne miejsce.  
- Zgoda, ale przecież tu nie mieszkam. Zapuściłem już korzenie w Londynie, mam tam pracę. Zresztą nigdy nie widziałem się w roli szkockiego właściciela ziemskiego. Charles nadawał się do tego bardziej.

- Ale czy ten majątek w ogóle coś dla ciebie znaczy?  
- Jasne, że tak. W końcu tu się wychowałem. - Ty to masz mocne nerwy! I jak dajesz sobie radę w Londynie? Ja bym tam nie wytrzymał!

- A ja bardzo lubię to miasto.  
- Przynajmniej dobrze zarabiasz?  
- Dostatecznie, aby starczyło na przyzwoite mieszkanie i samochód.

- A jak tam sprawy męsko - damskie? - Duncan filuternie przymrużył oczy.

Gdyby to pytanie zadał ktokolwiek inny, oberwałoby mu się za wtrącanie się w nie swoje sprawy. Ponieważ jednak pytanie zadał Duncan, Oliver pomyślał sobie: „Ty obleśny staruchu!”, a głośno odpowiedział:

- W porządku.  
- Na pewno jesteś stale otoczony wianuszkami pięknych pań!

- A ty to potępiasz, czy mi zazdrościsz?  
- Nie rozumiem, jak Charles mógł mieć takiego brata jak ty. Nie myślałeś jeszcze o żeniactwie?

- Ożenię się dopiero wtedy, kiedy będę za stary na cokolwiek innego.

Duncan parsknął śmiechem.

- No, to wszystko jasne. Ale wracając do Cairney... jeśli już koniecznie chcesz je sprzedać, to może mnie?

- Dobrze wiesz, że chętniej sprzedałbym je tobie niż komukolwiek innemu.

- Kupiłbym ziemię, bo przylega do mojej. Także wrzosowisko i jezioro, ale pozostanie ci jeszcze dom. Myślę, że mógłbyś go sprzedać oddzielnie. Nie jest przecież zbyt duży, leży w dobrym punkcie, blisko szosy i ma świetnie utrzymany ogród.

Mówiąc to Duncan pomógł Oliverowi sprowadzić jego problemy do właściwego wymiaru i podjąć odpowiednią decyzję. Zawsze był praktyczny, dzięki czemu szybko dorobił się dużych pieniędzy. Przed laty drogo sprzedał swoją londyńską firmę i mógł nareszcie zrobić to, o czym marzył - wrócić do Szkocji, nabyć tu majątek ziemski i wieść beztroskie życie ziemianina.

Spełnienie tych marzeń nie obyło się jednak bez przykrych zgrzytów. Żona Duncana, Elaine, nie paliła się zbytnio do opuszczenia swoich ojczystych stron - południowej Anglii. Nudziło ją powolne tempo życia na prowincji, brakowało jej dawnych przyjaciół i denerwował klimat Perthshire. Narzekała, że zimy są tu długie, chłodne i suche, a lato krótkie, chłodne i wilgotne. Toteż jej wypadki do Londynu stawały się coraz częstsze i trwały coraz dłużej, aż za którymś razem oznajmiła, że nie ma zamiaru wracać. Tak rozpadło się ich małżeństwo.

Duncan jednak zdawał się tym nie przejmować, a przynajmniej nie dawał tego po sobie poznać. Cieszył się, że została przy nim córka, Liz, i nawet jeśli wyjeżdżała odwiedzić matkę - miał tak rozległe zainteresowania, że nigdy się nie nudził. Na początku, gdy tylko przybył do Rossie Hill, okoliczni mieszkańcy powątpiewali w jego kwalifikacje rolnicze, ale gdy sprawdził się w tej roli, został zaakceptowany przez lokalną społeczność. Mało tego,

przyjęto go do ekskluzywnego klubu w Relkirk i obrano sędzią pokoju. Oliver bardzo go lubił.

- W twoich ustach wydaje się to takie proste i jasne - zauważył. - Wcale nie czuję się tak, jakbym sprzedawał swój rodzinny dom.

- Ale tak to właśnie wygląda. - Starszy pan dopił drinka jednym haustem, odstawił szklanekę i szybkim ruchem wstał z fotela. - W każdym razie przemyśl to jeszcze. Jak długo tu zostajesz?

- Wziąłem dwa tygodnie urlopu.

- Może spotkamy się w Relkirk, dajmy na to w środę? Zjedlibyśmy lunch w moim klubie, a przy okazji od razu obgadalibyśmy sprawę z moim adwokatem. Chyba że wolałbyś jeszcze poczekać.

- Nie. Im prędzej to załatwimy, tym lepiej.

- W takim razie będę się już zbierał.

Kiedy ruszył w stronę drzwi, Lisa natychmiast zerwała się ze swego miejsca i podążyła za nim, trzymając się w pewnej odległości. Słysząc było skrobanie jej pazurów po wyfroterowanym parkiecie hallu. - Jakie to smutne, kiedy pies traci pana! - zauważył Duncan, spoglądając na nią przez ramię.

- Tak, to chyba najgorsze ze wszystkiego.

Suka przyglądała się, jak Oliver pomaga Duncanowi nałożyć płaszcz. Towarzyszyła mu, gdy odprowadzał go do samochodu. Było już zupełnie ciemno, jeszcze zimniej niż za dnia i nadal wiał przejmujący wiatr. Pod nogami obu panów trzeszczała warstwa lodu na zamrzniętych kałużach.

- Jutro spadnie więcej śniegu - stwierdził Duncan.

- Chyba tak.

- Mam coś przekazać Liz?

- Powiedz jej, żeby do mnie wpadła.

- Dobrze, powtórzę. No, to do zobaczenia w klubie w środę, o wpół do pierwszej.

- Będę na pewno. - Oliver zatrzasnął za Duncanem drzwiczki jego samochodu. - Tylko jedź ostrożnie!

Oliver wrócił do domu z Lisą, która deptała mu po piętach. Kiedy zamknął za sobą drzwi, uderzyła go niezwykła cisza panująca w tym domu. Odkąd dwa dni temu przyjechał tu z Londynu, co jakiś czas ta pustka aż dzwoniła mu w uszach. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek do tego przywyknie.

Przez dłuższą chwilę stał nieruchomo w zimnym i pustym hallu, aż zaniepokoiło to Lisę. Podeszła więc i trąciła nosem jego rękę, na co Oliver pochylił się, aby pogłaskać ją po łbie i potarosić jej jedwabiste uszy. Tymczasem nagły poryw wiatru targnął pluszową portierą osłaniającą drzwi frontowe. Oliver wzdrygnął się i szybko przeszedł z powrotem do biblioteki. Po drodze zajrzał do kuchni, z której wychodziła właśnie pani Cooper z tacą. Razem sprzątnęli ze stołu filiżanki, spodeczki i szklanki. Gospodyni złożyła następnie obrus, a Oliver pomógł jej przesunąć stół na środek pokoju, tam gdzie stał poprzednio. Potem otworzył jej drzwi i przytrzymał je, aby mogła zanieść do kuchni pełną tacę, a sam szedł za nią z czajnikiem w jednym ręku i prawie opróżnioną butelką whisky w drugim.

- Proszę to zostawić, na pewno jest pani już zmęczona! - zaprotestował Oliver widząc, że pani Cooper zabiera się do zmywania.

- Co też pan? - nawet nie odwróciła się ku niemu. - Nigdy nie zostawiam brudnych naczyń w zlewie aż do rana!

- No więc niech już pani to skończy, a potem może pani iść do domu.

- Jakże to, przecie muszę naszykować panu kolację!

- Nie trzeba, wystarczająco objadłem się pani pysznym keksem. - Pani Cooper nadal była odwrócona do niego plecami, jakby nie chcąc okazywać swego smutku, uwielbiała bowiem Charlesa. Oliver dodał więc tylko: - Dziękuję pani bardzo!

Pani Cooper nie zmieniła pozycji i wszystko wskazywało na to, że nie zamierza tego zrobić. Oliver zostawił ją więc samą i wrócił do biblioteki przed płonący na kominku ogień.

### Rozdział 3

Na tyłach domu Diany Carpenter w Milton Gardens ciągnął się długi, wąski pas ogrodu przylegającego do brukowanej uliczki, od której dzielił go mur. Po wewnętrznej stronie muru mieścił się duży garaż przeznaczony na dwa samochody. Po powrocie z Aphros Diana postanowiła wykorzystać ten obiekt i dobudowała nad garażem małe mieszkanie do wynajęcia. Wykończenie i urządzenie tego lokalu zajęło jej ponad rok, zanim zjawił się pierwszy lokator - dobrze płacący, amerykański dyplomata. Przebywał on na placówce w Londynie przez dwa lata, potem jednak został odwołany do Waszyngtonu, i Dianie przybył nowy problem - kogo znaleźć na jego miejsce?

Tymczasem na horyzoncie pojawił się dawny znajomy z Aphros, Caleb Ash. Przywiózł ze sobą swoją przyjaciółkę Iris, dwie gitary i syjamską kotkę, i okazało się, że nie ma gdzie mieszkać.

- Kto to taki ten Caleb Ash? - dopytywał się Shaun. - Wiesz, przyjaźnił się kiedyś z Geraldem Cliburnem. To jeden z tych, którzy wiecznie zabierają się do jakiejś roboty, ale nigdy jej nie kończą, bez względu na to, czy próbują napisać powieść, namalować fresk, rozkręcić interes czy zbudować hotel. Przy tym Caleb jest chyba najbardziej leniwym człowiekiem na świecie.

- A jego żona?
- Iris nie jest jego żoną. Żyją na kocią łapę.
- I pewnie nie chcesz wynająć im tego mieszkania?
- Nie.
- A dlaczego?
- Ze względu na Jody'ego. Myślę, że mieliby na niego zły wpływ.
- Czy on może ich jeszcze pamiętać z tamtych czasów?



- Oczywiście. Bez przerwy przesiadywali wtedy w naszym domu.

- Nie lubiłaś ich?

- Tego nie mogę powiedzieć, bo trudno było nie lubić Caleba. Miał w sobie tyle wdzięku... Mimo to nie wydaje mi się, aby mógł ot, tak sobie mieszkać pod naszym bokiem.

- Czy byłby w stanie regularnie płacić czynsz?

- Mówi, że tak.

- A może obawiasz się, że zdewastuje mieszkanie?

- Co to, to nie. Iris jest świetną gospodynią. Zawsze szorowała podłogi i coś pitrasiała w wielkich, miedzianych garach...

- To brzmi raczej zachęcająco. Dajmy im szansę, niech tu zamieszkają. Nie powinno się zrywać starych znajomości, a poza tym nie wydaje mi się, aby ich pobyt mógł wyrządzić Jody'emu jakąś szkodę.

Tym sposobem Caleb wraz z Iris, kotką, gitarami i garnkami wprowadził się do mieszkania nad garażem. Diana wydzieliła im nawet działkę ziemi pod ogródek. Caleb urządził tam brukowane patio w stylu śródziemnomorskim i posadził krzew kamelii.

Jody był zachwycony nowymi sąsiadami, ale Diana od razu przestrzegła go, aby się im nie narzucał i odwiedzał tylko na ich wyraźne zaproszenie. Z kolei Katy odnosiła się do Caleba z nie skrywaną niechęcią, odkąd doszły ją plotki, że żyje on ze swoją partnerką bez ślubu, mało tego - że wcale nie zamierza zalegalizować ich związku!

- Chyba nie powiesz mi, że znowu chcesz iść do tego pana Asha! - zrzędziła.

- Ależ, Katy, on mnie zaprosił, żebym obejrzał kocięta, które urodziła jego kotka.

- Wszystkie takie rasowe jak ona?

- No, nie całkiem. Caleb mówi, że to mieszańce, bo ona puściła się z takim zwykłym, burym kocurem spod ósmego.

- Nie wiem, nie znam się na tym! - burknęła Katy, stawiając czajnik na gazie.

- Może moglibyśmy wziąć sobie jednego?

- O, co to, to nie! Pani zapowiadała, że nie życzy sobie żadnych zwierząt w domu. A kot to też zwierzę, więc nie ma o czym gadać!

Następnego dnia po przyjęciu wydanym przez Dianę Karolina i Jody wymknęli się tylnymi drzwiami, aby przez ogród przejść do małego domku z garażem. Nie musieli się z tym specjalnie ukrywać, gdyż Diany nie było akurat w domu, a Katy szykowała lunch w kuchni, której okna wychodziły na ulicę. Wcześniej upewnili się, że Caleb jest w domu, gdyż zadzwonili do niego i zapowiedzieli się z wizytą.

Ranek był pogodny, ale chłodny i wietrzny. W kałużach, które potworzyły się między brukowcami, odbijało się błękitne niebo i jaskrawe słońce. Zima w tym roku trwała wyjątkowo długo i przez czarną ziemię na grządkach przebijały się dopiero pierwsze kiełki roślin cebulkowych jako jedyny zielony akcent wśród uschłych badyli.

- W zeszłym roku o tej porze kwitło tu pełno krokusów - przypomniała sobie Karolina.

Ogródek Caleba był bardziej nasłoneczniony i osłonięty od wiatru, toteż w pomalowanych na zielono skrzynkach kwitły już żonkile, a u podnóża krzewu migdałowego rosnącego w środku patia - przebiśniegi. Do mieszkania wchodziło się po zewnętrznych schodkach, które kończyły się krytym tarasem, zupełnie jak w szwajcarskim schronisku górskim. Caleb już z daleka usłyszał głosy Jody'ego i Karoliny, więc oczekiwał ich na balkonie. Wyglądał jak szyper lewantyńskiego żaglowca witający gości na pokładzie.

Mieszkając tak długo w Grecji, Caleb sam upodobił się do Greka, tak jak upodabniają się do siebie małżonkowie z wieloletnim stażem. Oczy miał tak głęboko osadzone, że trudno było domyślić się ich koloru, twarz opaloną na brąz i poraną licznymi bruzdami, nos wydatny, a siwe włosy gęste i kędzierzawe. Mówił głębokim, dźwięcznym głosem, który Karolinie zawsze przywodził na myśl smak wytrawnego wina, świeżego chleba i sałaty przyprawionej czosnkiem.

- Witajcie! - Uścisnął ich i wycałował z typowo grecką wylewnością. Na ogół Jody nie znosił, gdy ktoś go całował, najwyżej czasem pozwalał na to Karolinie. Natomiast powitalny pocałunek Caleba traktował jak serdeczne pozdrowienie dwóch równych sobie mężczyzn.

- Co za miła niespodzianka! Wchodźcie, proszę, zaparzyłem już kawę.

Mieszkanie to, w czasie gdy zajmował je amerykański dyplomata, nosiło piętno wytwornego, sterylnie czystego apartamentu. Teraz natomiast Iris nadała mu charakter mniej oficjalny, bardziej indywidualny. Na ścianach porozwieszała nie oprawione obrazy olejne, a pod sufitem zawiesiła fantazyjną lampę z kolorowych, szklanych wisiorków. Obicia z angielskiego kretonu, tak starannie dobrane przez Dianę, Iris niefrasobliwie przyrzuciła greckimi szalami. W mieszkaniu było bardzo ciepło i pachniało świeżo zaparzoną kawą.

- A gdzie jest Iris? - zainteresowała się Karolina.

- Poszła po zakupy. Usiądźcie, a ja zajmę się kawą. Karolina posłusznie usiadła, a Jody podreptał za Calebem do kuchni. Po chwili wrócili - Jody z tacą, na której stały trzy filiżanki i cukierniczka, a Caleb z dzbanuszką kawy. Ustawili to wszystko na niskim stoliku - ławie przy kominku i rozsiadli się naokoło. - Macie jakieś kłopoty? - spytał ostrożnie Caleb, w obawie, aby nie narazić się Dianie.

- Ależ skąd - machinalnie odpowiedziała Karolina, ale zaraz się poprawiła: - To znaczy, mamy, ale nie takie znów poważne.

- Powiedźcie mi, o co chodzi - zachęcił ją Caleb. Karolina wspomniała mu więc o liście od Angusa i o tym, że Jody nie ma ochoty wyjeżdżać do Kanady, a za to chciałby odszukać swego starszego brata.

- ... postanowiliśmy więc już jutro wyjechać do Szkocji. To będzie wtorek.

- Czy macie zamiar poinformować o tym Dianę? - zainteresował się Caleb.

- Och, nie. Zaraz próbowałaby to nam wyperswadować, a wiesz, że potrafi. Zostawimy jej tylko liścik.

- Hughowi też nie powiecie?

- Hugh z pewnością odradziłby to mnie.

- Ależ przecież w przyszłym tygodniu masz za niego wyjść!

- Toteż wyjdę.

- Hm, hm! - mruknął Caleb z niedowierzaniem. Z kolei przeniósł wzrok na Jody'ego: - A co będzie z twoją szkołą?

- Teraz mam ferie.

- Hm, hm! - chrząknął znów Caleb.

- Tylko nie mów, że jesteś temu przeciwny! - zaniepokoiła się Karolina.

- Oczywiście, że jestem, bo to idiotyczny pomysł. Jeśli chcecie porozmawiać z Angusem, możecie zwyczajnie do niego zadzwonić.

- Jody uważa, że to za bardzo skomplikowana sprawa, żeby ją wyjaśniać przez telefon.

- I przez telefon trudno jest kogoś przekonać! - dodał Jody.

- Ach, więc uważacie, że trzeba będzie przekonywać Angusa do waszego pomysłu? - Caleb uśmiechnął się kwaśno.

- Całkowicie się z wami zgadzam. Chcecie przecież zażądać od niego, żeby przeniósł się do Londynu, osiedlił się tam i zmienił cały swój dotychczasowy tryb życia.

- Właśnie dlatego nie możemy załatwić tego przez telefon! - upierał się Jody. - No, a pewnie wymiana listów potrwałaby zbyt długo? Jody przytaknął.

- A nie wystarczyłoby wysłać do niego telegram? Jody potrząsnął przecząco głową.

- W takim razie nie mamy wyboru. Przechodzimy do następnego punktu. Jak macie zamiar dostać się do tej Szkocji?

- O tym właśnie chcielibyśmy z tobą porozmawiać - zaczęła Karolina, próbując nadać swemu głosowi ton jak najbardziej sugestywny. - Widzisz, będzie nam potrzebny samochód, a nie możemy wziąć wozu Diany. Gdybyś mógł pożyczyć nam swojego minivana... I tak rzadko nim jeździsz, a my już zadbalibyśmy o niego.

- Pożyczyć wam wóz? A co powiem, jeśli wtargnie tu Diana i zacznie zadawać kłopotliwe pytania?

- Powiesz, że oddałeś go do naprawy. To będzie tylko takie niewinne kłamstewko.

- Ładnie niewinne! To czyste kuszenie losu! Ten wóz nie był w naprawie, odkąd go kupiłem, czyli od siedmiu lat. Co będzie, jeśli rozsypie się w drodze?

- Zaryzykujemy.

- A wystarczy wam forsy?

- Mamy tyle, ile trzeba.

- Kiedy macie zamiar wrócić?

- W czwartek albo piątek. I przywieziemy Angusa.

- Jesteś optymistką. A jeśli on nie zechce przyjechać z wami?

- O to mamy czas się martwić.

Caleb poruszył się niespokojnie. Wyrzął przez okno, czy nie nadchodzi Iris, aby mógł podzielić się z nią ciężarem trudnej decyzji, której od niego wymagano. Niestety, nigdzie nie było jej widać, spróbował więc wmówić sobie, że robi to dla dzieci swego najlepszego przyjaciela.

- Jeżeli zgodzę się pomóc wam i pożyczyć mój samochód - zaczął z westchnieniem - to tylko dlatego, że Angus powinien nareszcie poczuć się za kogoś odpowiedzialny. Uważam, że powinien wrócić z wami.

Odwrócił się w stronę rodzeństwa i dokończył: - Ale muszę znać miejsce waszego pobytu i wiedzieć, jak długo zamierzacie tam zostać.

- Można będzie nas znaleźć pod adresem „Hotel 'Strathcorrie' w Strathcorrie”. Jeśli nie wrócimy do piątku, możesz powiedzieć o tym Dianie, ale nie wcześniej.

- W porządku - Caleb pokiwał głową z miną człowieka, któremu zakładają stryczek na szyję. - A więc umowa stoi.

Razem ułożyli tekst telegramu do Angusa.

PRZYJEŹDŹAMY WTOREK WIECZOREM DO STRATHCORRIE. CHCEMY OMÓWIĆ Z TOBĄ WAŻNE SPRAWY. UCAŁOWANIA JODY I KAROLINA.

Kiedy się już z tym uporali, Jody wystylizował liścik, który chcieli zostawić Dianie.

Kochana Diano!

Otrzymałem list od Angusa, który jest w Szkocji, więc wybraliśmy się z Karoliną, żeby go tam odwiedzić. Postaramy się wrócić do domu najdalej w piątek. Nie martw się o nas!

Trudniejsze zadanie miała Karolina, której przypadło w udziale napisanie listu do Hugh'a. Biedziła się nad nim przeszło godzinę.

Drogi Hugh!

Jak już na pewno wiesz od Diany, Jody dostał list od Angusa, który właśnie wrócił z Indii i znalazł pracę w Szkocji.

Wydaje nam się, że Jody powinien spotkać się z nim, zanim ostatecznie wyjedzie do Kanady. Kiedy dostaniesz ten list, pewnie będziemy już w drodze do Szkocji, ale mamy nadzieję, że w piątek wrócimy do Londynu.

Wiem, że powinnam była Cię uprzedzić, ale obawialiśmy się, że uznasz za swój obowiązek powiadomienie o tym Diany i oboje wyperswadujecie nam tę podróż. Wtedy jednak może nigdy nie zobaczylibyśmy Angusa, a wydawało nam się, że powinniśmy dać mu znać o tym, co się szykuje. Na pewno to bardzo brzydko z mojej strony, żeby zniknąć bez uprzedzenia na tydzień przed własnym ślubem! Ale jeśli wszystko dobrze pójdzie, w piątek będziemy z powrotem.

Ucałowania od kochającej  
Karoliny.

We wtorek rano spadł pierwszy śnieg, ale zaraz ustał, pozostawiając tylko gdzieniegdzie białe plamki na ziemi. Nie ustał natomiast wiatr, utrzymywało się przenikliwe zimno, a niskie chmury na horyzoncie zapowiadały dalsze pogorszenie pogody.

Oliver Cairney wyjrzał na dwór i stwierdził, że w taką pogodę najlepiej pozostać w domu i uporządkować spuściznę po Charlesie. Robota okazała się całkiem nieuciążliwa, bo Charles wszystko, czego się jął, wykonywał nadzwyczaj starannie i dokładnie. Cała dokumentacja farmy była prowadzona prawidłowo, toteż ostateczne rozliczenie majątku poszło Oliverowi łatwiej, niż przypuszczał.

Trudniejsze było porządkowanie przedmiotów o charakterze osobistym. Wśród rzeczy Charlesa znalazł listy, zaproszenia, zdezaktualizowany paszport, rachunki za hotel, zdjęcia, terminarz, notes z adresami, srebrne wieczne pióro, które otrzymał na swoje dwudzieste pierwsze urodziny, oraz rachunek od krawca. Oliverowi przypomniało to słowa wiersza Alice Duer Miller, który matka kiedyś czytała mu na

głos. Autorka wiersza zapytywała: „Co począć z butami po nieboszczce?”

Zacisnął zęby i z ciężkim sercem podarł stare listy, posortował zdjęcia i bez wahania wyrzucił do śmieci resztki laku, ścinki sznurka, zepsuty zamek bez klucza i buteleczkę wyschniętego tuszu. Zanim na zegarze wybiła jedenasta, kosz na papiery wypełnił się po brzegi. Oliver musiał wstać, aby wynieść śmiecie do kuchni. W tym momencie usłyszał trzaśnięcie frontowych drzwi. Były do połowy oszklone, więc wydały głuchy dźwięk, który rozszedł się echem po całym hallu. Z koszem w ręku Oliver poszedł zobaczyć, kto przyszedł, i w połowie korytarza natknął się na Liz.

- Ach, to ty, Liz!

Miała na sobie spodnie, krótkie futerko i czarną, futrzaną czapkę, tę samą, co na pogrzebie, naciągniętą głęboko na uszy. Akurat zdjęła ją, a drugą, wolną ręką przeczesła swoje czarne, krótko obcięte włosy. Ten nerwowy gest pozostawał w całkowitej sprzeczności z jej skądinąd elegancką aparycją. Z uśmiechem na zaróżowionej od chłodu twarzy wyglądała uroczo.

- Cześć, Oliver! - Podeszła do niego i ponad trzymanym przezeń stosem papierów przechyliła się, aby go ucałować w policzek.

- Jeśli nie chcesz dziś się ze mną widzieć, to tylko powiedz, a zaraz sobie pójdę! - zastrzegła się z góry.

- Kto ci powiedział, że nie chcę się z tobą widzieć?

- Tak mi się wydawało.

- Więc niech ci się nic nie wydaje, tylko siadaj, a ja zaraz zrobię kawę. Też się chętnie napiję, bo mam dość tego siedzenia samemu!

Poszedł pierwszy w stronę kuchni, popychając siedzeniem wahadłowe drzwi. Kiedy przepuścił Liz przodem, owionął go



jej zapach, będący mieszaniną świeżego powietrza i perfum „Chanel Nr 5”.

- Nastaw wodę - poprosił ją. - Ja tymczasem wyrzucę te rupiecie.

Wyszedł tylnymi drzwiami na dwór, aby wysypać zawartość kosza do pojemnika na śmieci. Udało mu się to nawet bez rozsypania zbyt dużej ilości papierów. Zasunął z powrotem pokrywę śmietnika i szybko wrócił do ciepłej kuchni. Liz napełniała właśnie czajnik wodą z kranu. Niezbyt pasowała do niej ta czynność.

- Chryste, ależ ziąb! - stwierdził Oliver.

- Właśnie, a niby to już wiosna! Wystarczyło, że przeszłam piechotą ten kawałek z Rossie Hill, a myślałam, że zamarznię na śmierć!

Postawiła czajnik na kuchence i nachyliła się nad płytą, aby się ogrzać. Oboje z Oliverem spojrzeli po sobie i równocześnie przemówili:

- Skróciłaś włosy? - zauważył Oliver.

- Tak mi przykro z powodu Charlesa... - zaczęła w tym samym momencie Liz. Oboje urwali w pół zdania, aby dać drugiemu możliwość dokończenia. Pierwsza uczyniła to Liz, chociaż wyglądała na zmieszaną.

- Obcięłam je, bo tak wygodniej mi pływać - wyjaśniła. - Mieszkam teraz z koleżanką na wyspie Antigua.

- Dziękuję ci, żeś wczoraj przyjechała.

- A wiesz, że nigdy przedtem nie byłam na żadnym pogrzebie?

W jej oczach, okolonych wytuszowanymi rzęsami i podkreślonych kreską na powiece, zabłyśły łzy. Krótka fryzura uwydatniała jej długą szyję i mocno zarysowany podbródek odziedziczony po ojcu. Kiedy rozpiniała futro, Oliver zauważył, że jej dłonie są opalone, paznokcie opilowane w kształcie migdałów i polakierowane na różowo,

że na palcu ma złoty sygnet, a na przegubie ręki brzęczące, złote bransolety.

- Wyrosłaś na dojrzałą kobietę, Liz! - zauważył ni z tego, ni z owego.

- Dopiero teraz na to wpadłeś? Przecież mam już dwadzieścia dwa lata!

- Kiedyśmy to się ostatnio widzieli?

- Już chyba z pięć lat temu.

- Coś takiego, jak ten czas leci!

- Przez ten czas ty przebywałeś w Londynie, a ja w Paryżu. Ilekroć wpadałam na Rossie Hill, ciebie akurat nie było w domu.

- Za to był Charles.

- Tak, on tu był zawsze. - Bawiąc się pokrywką czajnika, dodała: - Ale ledwo mnie zauważał, a jeżeli nawet, to nie dawał tego po sobie poznać.

- Z pewnością cię zauważał, tylko nigdy nie był zbyt wylewny. Nawet kiedy jeszcze byłaś chudą piętnastolatką w obcisłych dżinsach i z kucykami, patrzył w ciebie jak w obraz.

- Nie mogę uwierzyć, że on już nie żyje.

- Do wczoraj ja też nie mogłem. Wydaje mi się, że ostatecznie pogodziłem się z tym dopiero teraz.

Tymczasem czajnik zaczął już szumieć. Oliver odszedł od kuchenki, wyjął z kredensu filiżanki i słoik z kawą rozpuszczalną, a z lodówki butelkę mleka. - Tato powiedział mi o Cairney - zmieniła temat Liz.

- Masz na myśli to, że chcę je sprzedać?

- Tak, bo nie rozumiem, jak możesz się na to godzić.

- A czy mam inne wyjście?

- Mógłbyś zatrzymać sobie chociaż dom. Czy musisz się go wyzbywać?

- Niby co miałbym robić z takim domem?

- Na przykład spędzać w nim weekendy i urlopy. Choćby po to, żeby nie odcinać się całkiem od Cairney.

- Wydaje mi się to zbytnią ekstrawagancją.

- Nie taką znów wielką. - Zawahała się przez chwilę, a potem pospiesznie zaczęła przekonywać: - Pomyśl, że kiedyś się ożenisz i będziesz miał dzieci. Jakie by to było cudowne, gdyby mogły, tak jak ty w dzieciństwie, biegać, gdzie zechcą, włązić na drzewa i jeździć na kucykach...

- A kto mówi o tym, że mam się żenić?

- Tato powtórzył mi twoje słowa, że się ożenisz dopiero wtedy, kiedy będziesz za stary na cokolwiek innego.

- Twój ojciec w ogóle za dużo ci mówi.

- Cóż to ma znaczyć?

- Ano to, że zawsze za bardzo ci pobłażał i wtajemniczał cię we wszystkie swoje sprawy. Jesteś rozpuszczona jak dziadowski bicz!

- Coś ty taki zły? - Wydawała się raczej rozbawiona jego słowami.

- Nie wiem, jakieś ty się w ogóle uchowała. Jedynaczka, rozpieszczona przez rodziców, którzy nawet nie żyli ze sobą, ale każde z nich miało bzika na twoim punkcie! I jeszcze na dodatek Charles psuł cię do reszty.

Woda zagotowała się, więc Oliver zestawiał czajnik z płyty kuchennej, a Liz przykryła ją na powrót pokrywą.

- Ty za to nigdy mnie nie psułeś! - wytknęła mu.

- Przynajmniej ja miałem więcej oleju w głowie - mruknął, zalewając wrzątkiem kawę w filiżankach.

- Prawie nie zwracałeś na mnie uwagi, przeganiałeś mnie tylko, żebym ci się nie pętała pod nogami!

- Bo wtedy byłaś jeszcze małą dziewczynką, nie taką piękną kobietą jak teraz. Masz pojęcie, że wczoraj początkowo cię nie poznałem? Zorientowałem się dopiero, gdy zdjęłaś ciemne okulary. Aż mnie zatkało!

- Czy kawa jest już gotowa?

- Tak. Pij, póki gorąca.

Oboje usiedli po przeciwnych stronach kuchennego stołu, mierząc się wzrokiem. Liz ścisnęła filiżankę w dłoniach, jakby chciała ogrzać o nią palce. Patrzyła przy tym prowokująco na Olivera.

- O czym to mówiliśmy? Aha, o twoim małżeństwie...

- Może ty, bo ja nie mówiłem o niczym takim.

- A jak długo zostajesz w Cairney?

- Dopóki nie pozalatiwiam wszystkich swoich spraw. A ty?

- Bo ja wiem? - Liz wzruszyła ramionami. - Właściwie powinnam być teraz w Londynie. Mama z Parkerem załatwiają tam właśnie jakieś interesy. Zadzwoiłam do niej jeszcze z lotniska, żeby powiedzieć, co się stało z Charlesem. Prosiła, żebym do nich przyjechała, ale wytłumaczyłam jej, że chciałabym być na pogrzebie.

- Wciąż jednak nie powiedziałaś mi, jak długo zostajesz w Rossie Hill.

- Nie mam żadnych konkretnych planów.

- Więc zostań jeszcze trochę.

- A chciałbyś tego?

- Tak.

Dobrze, że powiedzieli to sobie głośno, bo dzięki temu stopniały ostatnie lody. Rozgadali się w najlepsze nie licząc się z czasem, dopóki zegar w hallu nie wybił dwunastej. Dopiero to zwróciło uwagę Liz. Spojrzała na swój zegarek.

- O rany, to już naprawdę tak późno? Będę musiała lecieć.

- Gdzie ci tak pilno?

- Pora na lunch. Zapomniałeś już, że ludzie jadają taki cudaczny, staroświecki posiłek? A może sam przestałeś go jadać?

- Ależ skąd!

- To chodź ze mną, zjemy go razem z moim ojcem.
  - Chętnie odwiozę cię do domu, ale na lunchu nie zostanę.
  - Dlaczego?
  - Bo przegadałem z tobą pół przedpołudnia, a jeszcze mam roboty do licha i trochę.
  - No więc może przyjdiesz dziś na kolację?
- Oliver rozważał przez chwilę tę propozycję, ale z jakichś powodów jej nie przyjął.
- A nie mógłbym jutro? - zaproponował w zamian. Liz łatwo się zgodziła, z typowo kobiecą elastycznością.
  - Obojętne, kiedy.
  - Jutro byłoby w sam raz. Może być ósma wieczorem?
  - Jeśli przyjedziesz trochę wcześniej, dostaniesz jeszcze drinka.
  - Niech będzie trochę wcześniej. Teraz ubieraj się, to odwiozę cię do domu.

Samochód Olivera był mały, ciemnozielony, o niskim zawieszeniu, osiągający dużą szybkość. Liz usiadła obok kierowcy, trzymając ręce głęboko w kieszeniach i kontemplując monotony krajobraz szkockiej prowincji. Aż do bólu, fizycznie, czuła obecność tego człowieka przy sobie.

Oliver niby się zmienił, a równocześnie wcale się nie zmienił. Oczywiście, przybyło mu lat, a wraz z nimi i zmarszczek na twarzy, których przedtem nie miał. Inny był także wyraz jego oczu, wskutek czego Liz nie mogła oprzeć się wrażeniu, że wdaje się w romans z obcym człowiekiem. Był to jednak ten sam Oliver co dawniej - szorstki, unikający wszelkich zobowiązań, a przy tym trudny do rozszyfrowania.

Dla Liz zawsze liczył się tylko Oliver. Charlesa traktowała wyłącznie jako pretekst dla swoich częstych wizyt w Cairney. Nic dziwnego, skoro sam ją do tego zachęcał, wylewnie manifestując radość z jej odwiedzin. Rzeczywistym jednak powodem tych odwiedzin był Oliver.

Charles - żyłasty chłop, lekko rudawy i piegowaty - w jej ocenie prezentował się pospolicie, podczas gdy Oliver czarował swoim wdziękiem. Wprawdzie to Charles był tym, który miał zawsze czas i cierpliwość dla nieopierzonej nastolatki. To on uczył ją zarzucać wędkę, serwować w tenisie i tańczyć szkockie tańce. On wprowadzał ją w dorosłe towarzystwo, ale ona przez cały czas wpatrywała się tylko w Olivera i tylko z nim pragnęła zatańczyć.

To zaś nie mogło dojść do skutku, gdyż w pobliżu Olivera zawsze kręciła się jakaś dziewczyna - goszcząca akurat w tych stronach dawna koleżanka ze studiów lub inna, poznana kiedyś na przyjęciu. Przez lata tych dziewcząt przewinęło się tyle, że stało się to tematem miejscowych anegdot. Liz jednak wcale to nie bawiło. Przyglądała się im z boku z tajoną nienawiścią i w duchu wyobrażała sobie, jak przekłuwa szpilkami ich woskowe wizerunki.

Po rozwodzie jej rodziców Charles pierwszy napisał do Liz, dzieląc się z nią najnowszymi ploteczkami z Cairney i pragnąc kontynuować tę znajomość. Niemniej jednak w ukrytej przegródce portfela Liz nosiła wszędzie ze sobą amatorskie zdjęcie Olivera!

Także i teraz, siedząc przy nim, rzucała od czasu do czasu ukradkowe spojrzenia w jego stronę. Zwróciła uwagę, że dłonie Olivera, trzymające kierownicę obciążoną skórzanym pokrowcem, miały długie palce i kwadratowo zakończone paznokcie. Blizna u nasady wielkiego palca przypominała, jak to kiedyś skaleczył się w rękę drutem kolczastym. A kiedy Liz powędrowała wzrokiem w górę - dostrzegła także podniesiony kołnierz kożuszka, do którego dotykały jego gęste, ciemne włosy. Dopiero wtedy Oliver poczuł na sobie jej wzrok i uśmiechnął się do niej, a oczy pod czarnymi brwiami miał błękitne jak chabry.

- Następnym razem już mnie na pewno poznasz - powiedział, ale Liz nie zareagowała. W tym momencie przypomniała sobie, jak lądowała na lotnisku Prestwick, a ojciec czekał na nią z wiadomością, że Charles zginął w wypadku. Poczowała wtedy, jakby grunt usuwał jej się spod nóg, a otwierała przed nią ziejąca przepaść. Spytała tylko słabym głosem:

- A co z Oliverem?

- Oliver jest w Cairney, a przynajmniej powinien już tam być, bo wyjechał dziś z Londynu. Pogrzeb odbędzie się w poniedziałek.

W tej chwili dla Liz nie liczyło się to, że ten wyrozumiała, poczciwy Charles nie żyje, ale to, że Oliverowi nic się nie stało i jest teraz w Cairney! Zobaczy go znów po tylu latach... Ani na chwilę nie przestała myśleć o tym, jadąc samochodem do Rossie Hill. Powtarzała sobie, że zobaczy go jeszcze dziś, a potem jutro i pojutrze, i jeszcze później... Po przyjeździe na miejsce zadzwoniła do matki, przebywającej akurat w Londynie, i opowiedziała jej, co się stało z Charlesem. Elaine przekonywała ją wprawdzie, aby przyjechała do niej i zapomniała o całej tragedii, Liz jednak odmówiła. Od razu miała gotową wymówkę.

- Muszę tu zostać. Wiesz, ojciec... i ten pogrzeb...

Przez cały czas jednak napawała się myślą, że zostaje w Rossie Hill tylko ze względu na Olivera.

Jak dotąd, wszystko szło po jej myśli. Widać to było już w momencie, kiedy na dziedzińcu kościelnym Oliver niespodziewanie odwrócił się i spojrzał jej prosto w twarz. W jego wzroku Liz dostrzegła najpierw zaskoczenie, a potem podziw. Wyczuła, że od tego momentu Oliver nie będzie patrzył już na nią z góry. Oboje znajdowali się w tej chwili na równorzędnych pozycjach, a przy tym - co było smutne, lecz znacznie ułatwiało sprawę - nie musieli już dłużej przejmować

się Charlesem. Biedny, kochany Charles zawsze pętał się pod nogami jak stary pies, który czeka, aż ktoś wyprowadzi go na spacer.

Jej trzeźwy, praktyczny umysł wybiegał już daleko w przyszłość. Próbowwała nawet wyobrazić sobie tę przyszłość, bo wszystko tak ładnie się układało, że można było już zawczasu poczynić pewne plany. Ślub weźmie chyba w Cairney... wystarczy cichy ślub w miejscowym kościółku, tylko w obecności kilku świadków... A gdzie spędzi miesiąc miodowy? Najodpowiedniejsza będzie Antigua. Potem wróci do Londynu, bo przecież Oliver ma tam mieszkanie. Przyda się akurat na czas, dopóki nie znajdzie przyzwoitego domu. O, właśnie, to jest myśl! Namówi ojca, aby kupił jej w prezencie ślubnym dom w Cairney! Dzięki temu urzeczywistni się to, co sugerowała Oliverowi dziś rano. Oczami duszy widziała już, jak przyjeżdżają tu na weekendy i wakacje letnie, przywożą ze sobą dzieci, wydają przyjęcia... - Czemuś tak nagle umilkła? - spytał Oliver.

Liz, gwałtownie ściągnięta na ziemię, zorientowała się, że tymczasem znaleźli się już blisko jej domu. Przejechali właśnie pod sklepieniem buków, których nagie gałęzie trzeszczały na wietrze. Wóz zatoczył koło na zwirowanym podjeździe i zatrzymał się przed głównym wejściem.

- Po prostu myślałam o czymś - odpowiedziała Liz wymijająco. - Dziękuję za podwiezienie.

- A ja dziękuję ci, że podniosłaś mnie trochę na duchu.

- Przyjdiesz jutro na kolację, prawda? To będzie środa.

- Już nie mogę się jej doczekać.

- Za piętnaście ósma, dobrze?

- Niech będzie za piętnaście ósma.

Uśmiechnęli się do siebie, radzi z umówionego spotkania. Oliver przechylił się ponad siedzeniem, aby otworzyć drzwiczki. Liz wysiadła z wozu, wbiegła po oblodzonych



schodkach na werandę i stamtąd pomachała ręką na pożegnanie. Oliver jednak nie widział już tego, bo odjechał - tył jego wozu niknął właśnie za zakrętem drogi powrotnej do Cairney.

Wieczorem Liz akurat brała kąpiel, kiedy zadzwonił telefon. Wyskoczyła więc z wanny i owinięta w ręcznik podniosła słuchawkę. Dzwoniła z Londynu jej matka.

- Elizabeth?

- Cześć, mamó.

- Jak się masz, kochanie? Co tam u was słyszać?

- Wszystko w porządku. Tu jest cudownie!

Elaine nie spodziewała się tak entuzjastycznej odpowiedzi, toteż w jej głosie zabrzmiała nuta zaskoczenia.

- Oczywiście byłaś na pogrzebie, prawda?

- Tak, to było naprawdę okropne. Nie cierpię pogrzebów!

- Może więc dla odmiany pobyłabyś z nami na południu?

Zostaniemy tu jeszcze przez kilka dni.

- Na razie nie mogę... - zaczęła Liz, ale urwała w pół zdania. Elaine zawsze uskarżała się na to, że jej córka jest tak skryta i zamknięta w sobie. Właściwie nie miała pojęcia, co ją w danej chwili gryzie i jakimi problemami żyje. Tym razem jednak Liz zdobyła się na niezwykłą u niej wylewność. Tak ją rozpierało podniecenie, że musiała się z kimś podzielić swoimi przypuszczeniami i nadziejami związanymi z osobą Olivera.

- Chodzi o to, że Oliver także zostaje tutaj jeszcze przez jakiś czas, a jutro ma przyjść do nas na kolację.

- Oliver Cairney?

- Oczywiście. Czy znamy jakiegoś innego Olivera?

- Czy to ma znaczyć, że chcesz tam zostać ze względu na Olivera?

- Jasne, że ze względu na niego! Mamó, jak ty ciężko pojmujesz! - Wybuchnęła śmiechem.

- Zawsze myślałam, że bliższy był ci Char...
- Ale nie był! - ucięła szybko Liz.
- A co Oliver na to?
- No, raczej się tym nie martwi.
- Coś podobnego! - W głosie Elaine pobrzmiwało zakłopotanie. - Prędzej bym się śmierci spodziewała, ale jeśli tylko jesteś z nim szczęśliwa...
- Nie masz pojęcia, jaka jestem szczęśliwa. W życiu tak się nie cieszyłam!
- Mam nadzieję, że będziesz mnie informować o dalszym rozwoju sytuacji - zaznaczyła dyskretnie matka.
- No pewnie!
- I daj mi znać, kiedy zdecydujesz się wracać.
- Może nawet przyjedziemy razem... - Liz już widziała to w myślach.

Matka nareszcie odwiesiła słuchawkę. Liz też się rozłączyła, mocniej okręciła się rącznikiem i wróciła do łazienki. Weszła z powrotem do wanny i odkręciła kurek z gorącą wodą, powtarzając w myśli imię Olivera.

Im dalej posuwali się na północ, tym bardziej jakby cofali się w czasie. Wiosna w tym roku była spóźniona, ale w Londynie przynajmniej pojawiły się na drzewach pączki, a w parku kwitły pierwsze krokusy. Na ulicznych straganach sprzedawano żonkile i fioletowe irysy, a na wystawach sklepowych przyciągały oko letnie ubiory, przywołujące na pamięć wspomnienia wakacji, rejsów wycieczkowych, słońca i błękitu nieba.

Tymczasem tereny, które przecinała wstęga szosy, stawały się coraz bardziej szare i monotonne. Robiło się zimno, a na mokrym asfalcie gromadziła się błotnista maź. Stary samochód Caleba wyprzedzały z łatwością wszystkie inne pojazdy, a każda mijająca go ciężarówka rozpryskiwała takie fontanny rzadkiego błota, że wycieraczki minivana pracowały

bez przerwy. Na domiar złego okna w tym gruchocie były nieszczelne, a ogrzewanie albo popsute, albo wymagające jakiegoś szczególnego sposobu uruchamiania, którego ani Jody, ani Karolina nie znali. W każdym razie nie działało.

Mimo tych wszystkich niedogodności Jody'emu dopisywał humor. Podśpiewywał, śledził na mapie trasę podróży, obliczał średnią prędkość ich samochodu (niestety, żałośnie niską) i liczbę przebytych już mil.

- Mamy za sobą jedną trzecią drogi - meldował. Albo: - Jesteśmy już w połowie drogi. Jeszcze pięć mil i będziemy na Szkockim Rogu. Ciekawe, dlaczego to się tak nazywa? Przecież jeszcze nie jesteśmy w Szkocji!

- Może podróżni często zatrzymują się tutaj, aby napić się szkockiej whisky? - podsunęła Karolina.

Jody uznał tę uwagę za świetny dowcip.

- Pomyśleć, że ani ty, ani ja nigdyśmy tu nie byli. Ciekawe, dlaczego Angus wybrał właśnie Szkocję?

- Kiedy do niego dotrzemy, zapytamy go o to.

- O, tak! - Jody ucieszył się na samą myśl o spotkaniu z Angusem. Sięgnął na tylne siedzenie po plecak z zapasami żywności. Otworzył go i zajrzał do środka. - Na co masz ochotę? Jest tu jeszcze kanapka z szynką, jakieś poobijane jabłko i czekoladowe ciasteczka.

- Dziękuję, nie jestem głodna.

- A nie masz nic przeciwko temu, żebym zjadł tę kanapkę?

- Absolutnie nic.

Za Szkockim Rogiem skręcili na szosę A68. Ich sapiący samochodzik z trudem pokonywał wzniesienia terenu wśród ponurych wrzosowisk Northumberland, Otterburn aż do CarterBar. Serpentina wiała się coraz bardziej stromo pod górę, aż wreszcie za ostatnim wzgórzem minęli kamień graniczny i znaleźli się w Szkocji.

- No, jesteśmy na miejscu! - oświadczył z radością Jody. Karolina nie podzielała jednak jego entuzjazmu, gdyż widziała przed sobą tylko szarą, pagórkowatą krainę, a w oddali szczyty pokryte śniegiem.

- Nie uważasz, że może spaść śnieg? - spytała z niepokojem. - Robi się coraz zimniej.

- Śnieg? O tej porze roku?

- No, a co leży na szczytach tamtych wzgórz?

- Tam pewnie utrzymał się śnieg jeszcze od zimy. Po prostu nie zdążył stopnieć.

- Ale popatrz na te ołowiane chmury! Jody ze zdziwieniem uniósł brwi.

- A gdyby spadł śnieg, to co?

- Wiem tylko, że nie mamy zimowych opon i nigdy jeszcze nie prowadziłam samochodu podczas zamieci śnieżnej.

- Och, na pewno wszystko będzie dobrze! - pocieszył ją Jody po chwili wahania i ponownie rozłożył mapę. - Teraz musimy dotrzeć do Edynburga.

Kiedy tam wreszcie dojechali, było już prawie ciemno. Po oświetlonych latarniami ulicach Edynburga hulał wiatr. Oczywiście mieli trudności z wydostaniem się z miasta, ale w końcu trafili na właściwą, jednokierunkową ulicę prowadzącą do szosy w stronę mostu. Zatrzymali się tam, by po raz ostatni zatankować paliwo i uzupełnić olej. Karolina wysiadła z samochodu, aby rozprostować nogi, podczas gdy pracownik stacji benzynowej sprawdzał temperaturę wody w chłodnicy i przecierał zachlapaną przednią szybę wozu. Przyglądał się z zainteresowaniem sfatygowanemu pojazdowi, a potem przeniósł wzrok na jego pasażerów.

- Państwo z daleka? - spytał.

- Z Londynu.

- A daleko jeszcze jedziecie?

- Do Strathcorrie, w Perthshire.
- To macie kawał drogi przed sobą. - Wiemy o tym.
- I będziecie mieli paskudną pogodę do jazdy!
- Naprawdę?
- Aha. Właśnie słyszałem przez radio, jak zapowiadali dalsze opady śniegu. Musi pani uważać, bo w tym wozie są już łyse opony! - Czubkiem buta uderzał kolejno w każde koło.
- Jakoś damy sobie radę.
- Daj Boże, ale jeśli pani utknie w śniegu, to proszę pamiętać o żelaznej zasadzie, żeby nie opuszczać wozu.
- Będę pamiętać.

Karolina zapłaciła mu, podziękowała za ostrzeżenia i ruszyli w dalszą drogę. Pracownik stacji długo jeszcze patrzył w ślad za nimi, kiwając głową nad lekkomyślnością tych Anglików.

Przed nimi zabłyśły światła zezwalające na wjazd na most nad Zatoką Forth. Znaki ostrzegawcze głosiły: „Uwaga! Silne wiatry!” Karolina zapłaciła rogatek i ostrożnie przejechała przez most, choć wiatr mocno dawał się we znaki wysłużonemu samochodowi. Na drugim brzegu szosa skręcała pod ostrym kątem na północ - przednie światła wozu ledwo przebijały się przez ciemną i pochmurną noc.

- Po czym mamy poznać, że jesteśmy w Szkocji, skoro nic nie widać? - narzekał Jody.

W tej chwili jednak Karolina nie mogła się zdobyć nawet na uśmiech. Była zmęczona, zmarznięta i obawiała się zapowiadanych opadów śniegu. Raptem cała ta eskapada wydała się jej nie wspaniałą przygodą, ale raczej kompletnym szaleństwem.

Śnieg zaczął padać, gdy tylko minęli Relkirk. Wiatr nawiewał ku nim z ciemności oślepiająco białe smugi.

- Wygląda to jak wystrzały z działka przeciwlotniczego, które widziałem na filmie wojennym - zauważył Jody.

Początkowo śnieg nie utrzymywał się na nawierzchni szosy, ale im wyżej pieli się w górę, tym grubszą tworzył warstwę. Pełno go było w rowach przydrożnych, a wiatr nawiewał coraz większe zaspę. Śnieg osiadał także na przedniej szybie samochodu. Wkrótce pod wycieraczkami zgromadziło się go tyle, że całkowicie uniemożliwił ich pracę. Karolina musiała zatrzymać samochód, a Jody wysiadł i starą rękawiczką oczyścił szybę. Kiedy wrócił do wozu, był przemoczony i drżał na całym ciele.

- Pełno śniegu naleciało mi do butów - poskarżył się. Teraz można było ruszyć w dalszą drogę.

- Jak daleko jeszcze? - spytała Karolina wyschniętymi ze strachu wargami, kurczowo zaciskając palce na kierownicy. Przejeżdżali teraz przez całkowicie odludne tereny, wokół nie widać było żadnego śladu bytności ludzkiej - ani światła, ani jednego samochodu, ani nawet koleiny wyjeżdżonej w śniegu...

Jody zapalił latarkę i wpatrując się w mapę, zakomunikował:

- Do Strathcorrie mamy jeszcze około ośmiu mil.

- A która to już godzina?

- Wpół do jedenastej - odpowiedział, spoglądając na zegarek.

Wjechali właśnie na wzniesienie i od tego miejsca szosa zaczęła opadać, wijąc się między okalającymi ją murkami. Karolina zredukowała bieg, a kiedy na pochyłości samochód zaczął przyspieszać, zahamowała, lecz chyba zbyt gwałtownie, gdyż wóz wpadł w poślizg. Przez chwilę, która wydawała się jej wiekiem, miała świadomość, że nie panuje nad pojazdem. Tuż przed maską wozu wyrósł przydrożny murek, ale gdy przednie koła zaryły się w zaspę śnieżną, silnik

zgasł. Karolinie mimo lęku udało się włączyć go ponownie i wyprowadzić samochód z zasy na szosę. W dalszą drogę ruszyli już żółtym tempem.

- Czy to może być niebezpieczne? - dopytywał się Jody.

- Raczej tak, szczególnie że nie mamy zimowych opon.

- Caleb nie założyłby takich opon, choćby nawet mieszkał na Dalekiej Północy!

Wjechali teraz w wąwóz obrzeżony drzewami, biegnącymi równolegle do urwistego parowu, z którego dobiegał szum i plusk rzeki. Na tym odcinku drogi znajdował się łukowato sklepiony most. Podjazd do niego był stromy i nie oświetlony, toteż Karolina w obawie, żeby nie utknąć przy zjeździe, nieco dodała gazu. Za późno zorientowała się, że zaraz za mostkiem szosa ostro skręca w prawo. Przed maską wozu wyrosły nagle potężne zasy, a za nimi gładka płaszczyzna kamiennego muru.

Słyszając przyspieszony oddech Jody'ego Karolina gwałtownie skręciła kierownicą, ale o ułamek sekundy za późno. Nagle samochód zaczął poruszać się jakby niezależnie od jej woli, gdyż sunął już prosto na mur. Na szczęście wcześniej zarył maską w wypełniony śniegiem rów i momentalnie w nim ugrzązł. Tylne koła znajdowały się jeszcze na szosie, podczas gdy przednie światła i chłodnica utknęły pod kątem czterdziestu pięciu stopni w zaspie.

Od razu zrobiło się ciemno. Karolina drżącą ręką wyłączyła nieużyteczne już światła, a także silnik.

- Nic ci się nie stało? - zwróciła się do Jody'ego.

- Nie, tylko lekko stuknąłem głową.

- Tak mi przykro!

- Przecież to nie twoja wina.

- Może powinniśmy byli wcześniej przerwać jazdę, na przykład zatrzymać się w Relkirk.

Jody wyjrzał na zewnątrz we wszechogarniającą ciemność i zuchowatym tonem oświadczył:

- To chyba jest prawdziwa zamieć, wiesz? Nigdy jeszcze nie widziałem z bliska prawdziwej zamieci! Ten pan na stacji benzynowej mówił, żeby w takim wypadku zostać w wozie.

- Nie możemy, bo jest strasznie zimno. Poczekaj tu, a ja się rozejrzę.

- Żebyś się tylko nie zgubiła!

- Daj mi latarkę.

Zapięła kurtkę pod samą szyję i odważnie wyszła z wozu, od razu wpadając po kolana w zaspę. Jakoś wygramoliła się na twardą nawierzchnię szosy, ale wąty snop światła latarki niewiele mógł pomóc wśród oślepiającej zawiei. Łatwo można było stracić orientację w terenie.

Karolina przeszła kawałek szosą wzdłuż muru, oświetlając go latarką. Po jakichś dziesięciu metrach zauważyła, że mur tworzy załom kończący się drewnianym słupkiem od bramy. Była otwarta, a nad nią wisiała tablica z napisem. Karolina poświeciła tam latarką i mimo sypiącego w oczy śniegu odczytała: „Posiadłość Cairney. Teren prywatny”.

Zgasiała latarkę i próbowała dostrzec coś w ciemnej przestrzeni za bramą. Wyglądało to na aleję wysadzaną drzewami, słyszała bowiem trzeszczenie gałęzi targanych wiatrem. Za zasłoną wirujących płatków śniegu w oddali migotało pojedyncze światełko.

Odwróciła się na pięcie i pospiesznie wróciła do samochodu. Otworzyła drzwiczki, komunikując Jody'emu:

- Mamy szczęście!

- Jak to?

- Ten mur to ogrodzenie jakiegoś majątku ziemskiego. Jest w nim brama, przez którą widać światło, nie dalej jak pół mili stąd.



- Ale ten pan ze stacji benzynowej mówił, żeby nie wychodzić z wozu!

- Jeżeli nie wyjdziemy, zamrzniemy na śmierć. Wprawdzie napadało dużo śniegu, ale powinniśmy dać sobie radę, to niedaleko. Plecak zostaw, zabierzemy tylko torby. I zapnij dobrze kurtkę, bo mało tego, że zamrzniemy, to jeszcze przemokniemy.

Jody posłusznie wygramolił się z unieruchomionego w niezwyklej pozycji samochodu. Karolina zdawała sobie sprawę, że nie mają zbyt wiele czasu do stracenia. Oboje ubrani byli odpowiednio do panującej już w Londynie wiosennej pogody, ale żadne z nich nie spodziewało się, że nagle znajdą się w samym środku zimy. Mieli na sobie tylko dżinsy i lekkie pantofle, poza tym Karolina zamszową kurtkę i bawełnianą chustkę na głowę, a Jody - niebieski skafander.

- Może dać ci chustkę, żebyś sobie zawiązał na głowie? - zaproponowała, choć wiatr wręcz wyrywał jej słowa z ust.

- O, nie, nie chcę! - zaprotestował ostro Jody.

- Dasz radę nieść swoją torbę?

- Oczywiście, że dam radę!

Karolina zamknęła więc drzwiczki samochodu, na którym nagromadziła się już spora warstwa śniegu. Wkrótce przysypie go całkiem.

- Czy nikt na niego nie wjedzie? - zatroskał się Jody.

- Nie przypuszczam. Zresztą nie mamy innego wyjścia. Nawet gdybyśmy zostawili zapalone światła, śnieg i tak je zasypie. Chodźmy szybciej, szkoda czasu na gadanie!

Wzięła Jody'ego za rękę i poszła z nim po własnych śladach do bramy w murze. Za nią rozciągała się ciemna przestrzeń jak czarny tunel, u końca którego błyszczało światło, z tej odległości małe jak główka szpilki. Trzymając się za rękę, z wysiłkiem zaczęli iść pod wiatr w tamtym kierunku.

Drogę mieli ciężką, jakby wszystkie żywioły sprzysięgły się przeciw nim. Nie trwało długo, a oboje przemokli do nitki i zmarzli na kość. Ich podręczne torby, które początkowo wydawały się lekkie, z każdym krokiem ciążyły im coraz bardziej. Z drzew spadał na nich mokry, ubity śnieg i przylepiał się do odzieży. Nad ich głowami szumiały i skrzypiały złowieszczo gałęzie szarpane wiatrem. Coraz to któraś łamała się z trzaskiem i spadała.

- Mam nadzieję... - Jody spróbował wydobyć z siebie te słowa, choć wargi zdrętwiały mu z zimna, a zęby szczękały. - Mam nadzieję, że żadne drzewo nie zwali się na nas.

- Też na to liczę.

- A moja kurtka miała być przeciwdeszczowa! - narzekał ze złością. - Tymczasem przemokła doszczętnie!

- Przecież zamieć śnieżna to nie to samo co deszcz.

Światelko wciąż jaśniało w oddali, jakby wyraźniejsze i nieco bliższe, aczkolwiek Karolinie wydawało się, że będą tak szli w nieskończoność. Wyglądało to tak, jakby gonili błędny ogień, który zawsze w ostatniej chwili wymykał się z ręki... Zaczęła już tracić nadzieję, że kiedykolwiek tam dojdą, gdy wtem ciemność zaczęła z lekka rzednąć. Umilkł trzask łamanych wiatrem gałęzi, co oznaczało, że aleja się skończyła. Na krótką chwilę światło skryło się za tajemniczą, ciemną bryłą, która okazała się kępą różaneczników. Gdy obeszli ją dookoła - światło pojawiło się znowu, tym razem już całkiem blisko. Jody potknął się o jakiś wystający krawężnik, ale Karolina go podtrzymała.

- Chyba weszliśmy właśnie na trawnik lub coś w tym rodzaju - wytłumaczyła. - Pewnie jesteśmy już w ogrodzie.

- Chodźmy! - wydyszał Jody. Tyle tylko był w stanie wyrzucić z siebie.

Światło przybrało teraz konkretny kształt odsłoniętego okna na piętrze domu, do którego się właśnie zbliżali. Śnieg

zamazywał jego kontury, ale z bliska widać było także i inne światła, przebijające się przez zasłony w oknach na górze.

- Ależ to duży dom! - wyszeptał Jody.

- Tym więcej miejsca znajdzie się dla nas! - odpowiedziała mu Karolina, choć nie była pewna, czy Jody ją słyszy. Wypuściła jego dłoń ze swojej i zeszywniałymi z zimna palcami namacała w kieszeni latarkę. Zapaliła ją i wątła wiązka światła oświetliła najpierw oczyszczone ze śniegu schodki, później framugę drzwi i rączkę od dzwonka z kutego żelaza. Odstawiła więc torbę na ziemię i pociągnęła za rączkę. Najpierw nie dało to żadnych efektów, dopiero kiedy użyła większej siły, z oddalonej części domu dał się słyszeć głuchy dźwięk dzwonka.

- W każdym razie to działa! - ucieszyła się, mimowolnie kierując snop światła latarki na pobladłą twarz Jody'ego. Włosy miał mokre i przyklepione do czaszki, a z zimna szczekał zębami. Zgasila latarkę i przygarnęła chłopca do siebie.

- Wszystko będzie dobrze! - pocieszyła go.

- Mam nadzieję... - Jody próbował mówić wyraźnie, choć z nerwów drżał mu głos - ...że to nie będzie coś takiego jak w filmach grozy. Wiesz, kiedy pojawia się upiorny lokaj i pyta: „Jaśnie pan dzwonił?”

Karolina też wolałaby nie przeżywać czegoś takiego. Już miała ochotę powtórnie pociągnąć za uchwyt dzwonka, gdy usłyszała z wnętrza domu kroki, szczekanie psa i głos człowieka, nakazujący mu ciszę. W wąskich okienkach po obu stronach wejścia rozbłysło światło, odgłos kroków jeszcze bardziej się przybliżył i po chwili drzwi rozwarły się na oścież. Stał w nich mężczyzna, a tuż za nim złocisty labrador ze zjeżoną sierścią.

- Spokojnie, Lisa! - uciszył psa i zwrócił się do przybyszów: - Słucham?

Karolina otworzyła już usta, żeby coś powiedzieć, ale nie przyszło jej do głowy nic sensownego. Stała tylko w milczeniu, obejmując ramieniem Jody'ego. Może to i lepiej, bo bez zbędnych słów gospodarz domu wciągnął do środka najpierw jej torbę, potem ich oboje, i zamknął za nimi drzwi, odgradzając od szalejącej na zewnątrz zawieruchy.

Skończyła się ich nocna droga przez mękę. Znaleźli schronienie w ciepłym domu. Byli uratowani.

## Rozdział 4

Właściwie najbardziej zaskoczył Olivera młody wiek niespodziewanych gości. Cóż tych dwoje młodych ludzi, właściwie dzieci, mogło tu robić o tej porze i w taką pogodę? Skąd się wzięli, wyposażeni tylko w nieduże, podręczne torby, i dokąd, u Boga Ojca, się wybierali? Wiedział jednak, że na razie nie doczeka się odpowiedzi na te pytania. W tej chwili najważniejsze było to, aby ci dwoje jak najprędzej zrzucili mokrą odzież i wzięli gorącą kąpiel, zanim poważnie się rozchorują. Nie tracił więc czasu na wyjaśnienia, tylko zakomenderował:

- Chodźcie za mną, szybko!

Pierwszy skierował się ku schodom i wbiegł na nie, przeskakując po dwa stopnie naraz. Po chwili wahania dołączyli do niego także Jody i Karolina. Oliver w biegu przypominał sobie, że na górze są dwie łazienki. Wszedł najpierw do tej, której sam używał, zapalił tam światło, zatkał korkiem odpływ wody w wannie i odkręcił kurek z gorącą wodą. Na szczęście system podgrzewania wody działał w tym domu prawidłowo, toteż zaraz łazienka wypełniła się kłębamii pary.

- Ty wejdź tutaj - wskazał łazienkę Karolinie. - Właż do wanny i siedź, dopóki się porządnie nie rozgrzejesz. A ty pójdziesz tam dalej - ujął Jody'ego za ramię i lekko popchnął w kierunku korytarza. Na jego drugim końcu znajdowała się łazienka przylegająca do dawnego pokoju dziecinnego. Od dłuższego czasu nikt jej nie używał, ale rury doprowadzające gorącą wodę utrzymywały w tym pomieszczeniu odpowiednią temperaturę. Oliver zaciągnął stare zasłonki drukowane w wyblakłe motywy z bajek i odkręcił kurek. - Dasz sobie radę? - spytał, widząc, że chłopiec już rozpina kurtkę.

- Tak, dziękuję panu bardzo.

- Zaraz tu wrócę.

- Dobrze.

Kiedy Oliver zostawił Jody'ego samego w łazience, zamknął drzwi i przez chwilę zastanawiał się, co ma dalej robić. Jasne było, że ktokolwiek przybył do jego domu o tak późnej porze, musi zostać do rana. W związku z tym udał się do zapasowej sypialni, pełniącej funkcję pokoju gościnnego. Panowało w niej piekielne zimno, więc przede wszystkim zaciągnął portiery i włączył elektryczny piecyk. Ściągnął kapę z małżeńskiego łóża i stwierdził z ulgą, że pani Cooper powlekła świeżą pościel, zdobną w mereżki.

Z sypialni następne drzwi prowadziły do małego pokoiku, który kiedyś służył jako garderoba. Stało tam jedno łóżko, również świeżo zasłane. Także i tu ziab był przeraźliwy, więc Oliver zaciągnął zasłony i włączył drugi piecyk. Potem zszedł na dół, zabrał pozostawione w hallu torby i wrócił z nimi do biblioteki. Ogień na kominku przygasał, bo Oliver miał już zamiar kłaść się spać, gdy usłyszał dzwonek u swych drzwi. Teraz jednak dołożył do paleniska świeżych drew i ustawił przed kominkiem ekran dla ochrony przed iskrami.

Otworzył jedną z przyniesionych toreb i znalazł w niej niebieską piżamę w białe paski, szary wełniany szlafrok i kapcie. Wszystkie te rzeczy były wilgotne, więc Oliver jak troskliwa niania rozwiesił je przed kominkiem, aby wyschły. W drugiej torbie dla odmiany znajdowało się wiele tak niepraktycznych przedmiotów, jak rozmaite buteleczki i słoiczki, szczotka do włosów, para złotych pantofelków i jasnoniebieska nocna koszula bogato zdobiona koronkami, z dobranym do niej peniuarem. Oliver rozwiesił także i tę koszulę przed kominkiem, myśląc w duchu, że to bardzo seksowny ciuszek. Uśmiechnął się do własnych myśli i skierował się do kuchni, aby przygotować jakiś posiłek dla niespodziewanych gości.

Pani Cooper nagotowała mu na kolację cały garnek krupniku, z którego zjadł zaledwie połowę. Resztę postawił teraz na kuchence, aby odgrzać. Przyszło mu jednak do głowy, że mali chłopcy często nie lubią krupniku, więc na wszelki wypadek otworzył puszkę zupy pomidorowej, przelał do rondelka i też postawił na kuchence. Przygotował tacę, nakroił chleba, dołożył do tego masło, kilka jabłek i dzbanuszek mleka. Obrzucił spojrzeniem ten skromny posiłek i po namyśle postawił na tacy jeszcze butelkę whisky (w najgorszym razie sam chętnie się napije), syfon z wodą sodową i trzy szklanki.

Zagotował wodę w czajniku i nalał wrzątku do dwóch termoforów, które znalazł w jakiejś zapomnianej szufladzie. Wsadził je sobie pod pachę i zszedł do biblioteki, aby zabrać nocną bieliznę, która tymczasem wyschła. Wygrzane rzeczy, wydzielające teraz zapach staroświeckiego pokoju dzieciennego, zaniósł do sypialni, a wraz z nimi termofory, które powkładał do łóżek. Potem zajrzał do swego pokoju, gdzie znalazł sweter z wełny szetlandzkiej, ciepły szlafrok i dwa duże ręczniki kąpielowe.

Zastukał w drzwi pierwszej łazienki.

- No, jak ci tam idzie?

- Tak tu cudownie ciepło! - dobiegł go głos dziewczyny.

- Zostawiam ci pod drzwiami ręcznik i parę rzeczy do ubrania. Ubierzesz się, kiedy już całkiem się rozgrzejesz.

- Dobrze.

Do drzwi drugiej łazienki nawet nie pukał, tylko bezceremonialnie wszedł do środka. Chłopiec leżał w wannie napelnionej wodą, pluskając w niej nogami. Spojrzał w kierunku Olivera, wcale nie speszony jego nagłym wejściem.

- No i jak się teraz czujesz? - spytał Oliver.

- Dziękuję, dużo lepiej. Jeszcze nigdy w życiu tak nie zmarzłem!

Oliver przysunął sobie krzesło i usiadł przy nim.

- Cóż się wam takiego przydarzyło? - zaczął wypytywać. Jody usiadł w wannie, dzięki czemu Oliver dostrzegł, że chłopak miał całe plecy, ramiona i twarz pokryte piegami, a włosy rude jak liście buka jesienią.

- Samochód wpadł nam do rowu - odpowiedział. - I pewnie ugrzązł w śniegu?

- Tak. Ledwie przejechaliśmy mostek; w tej zamieci nie było widać, że zaraz za nim jest ostry zakręt.

- Ten zakręt jest niebezpieczny nawet przy najlepszej pogodzie. Co się stało z samochodem?

- Został w tym rowie.

- Dokąd jechaliście?

- Do Strathcorrie.

- A skąd?

- Z Londynu.

- Z Londynu? - Oliver nie mógł pohamować zdumienia. -

W ciągu jednego dnia?

- Wyjechaliśmy dziś wczesnym rankiem.

- A ta panienka to twoja siostra?

- Tak.

- I ona prowadziła samochód?

- Tak, przez całą drogę.

- Było was tylko dwoje?

- Ależ świetnie sobie radziliśmy! - odparł chłopiec tonem urażonej godności.

- Oczywiście! - uspokoił go pospiesznie Oliver. - Chodzi mi tylko o to, że twoja siostra jest chyba za młoda, aby samodzielnie prowadzić samochód.

- Ona ma już dwadzieścia lat!

- W takim razie nie jest wcale za młoda.

Nastąpiła krótka chwila ciszy, podczas której Jody wziął do ręki gąbkę, dokładnie ją wyżał i przycisnął sobie do



twarzy, odgarniając z czoła kosmyk mokrych włosów. Kiedy zza gąbki znów ukazała się jego twarz, oświadczył:

- Już chyba porządnie się rozgrzałem. Myślę, że mogę wyjść z tej wanny.

- No to wylaż! - Oliver narzucił na Jody'ego ręcznik i gdy tylko chłopiec postawił nogi na macie łazienkowej, zaczął go delikatnie wycierać. Stał przy tym twarzą do niego, tak że ich spojrzenia się spotkały.

- Jak się nazywasz? - spytał.

- Jody. - A jak dalej?

- Jody Cliburn.

- No, a jak na imię twojej siostrze?

- Karolina.

Oliver końcem ręcznika osuszał włosy Jody'ego.

- Czy mieliście jakiś specjalny powód, aby jechać do Strathcorrie?

- Tam mieszka mój brat.

- On też nazywa się Cliburn?

- Tak, Angus Cliburn.

- Czy powinienem go znać?

- Nie przypuszczam. Jest tu dopiero od niedawna. Pracuje w hotelu.

- Aha, rozumiem.

- Będzie się teraz martwił! - zauważył Jody.

- Dlaczego? - spytał Oliver, podając mu bluzę od piżamy.

- Ona jest ciepła! - zdziwił się chłopak.

- Bo wygrzałem ją przy kominku. Więc dlaczego wasz brat miałby się martwić?

- Wysłaliśmy mu telegram, że dziś przyjeżdżamy. Pewnie czeka na nas, a myśmy nie dojechali.

- Przecież wie, jaka tu szalała zamieć. Na pewno domyślił się, że coś się musiało stać.

- Nie mieliśmy pojęcia, że spadnie śnieg. W Londynie kwitną krokusy, a na drzewach są pączki.

- Jesteśmy na mroźnej północy, drogi chłopcze. Nie należy nigdy za bardzo liczyć na pogodę.

- W życiu jeszcze nie byłem w Szkocji - wyznał Jody, nakładając spodnie od pizamy i zawiązując troczki w pasie. - Karolina też nie.

- To macie pecha, że trafiliście na taką psią pogodę.

- Ale to naprawdę była wspaniała przygoda!

- Przygody są wspaniałe wtedy, gdy jest już po wszystkim. Przystają być dobre, kiedy trwają za długo. Myślę, że z waszej wyszliście obronną ręką.

- Mieliśmy szczęście, że trafiliśmy na pana. - Chyba rzeczywiście mieliście.

- Czy to pana dom?

- Tak.

- I pan tu mieszka całkiem sam?

- W tej chwili tak.

- Jak się nazywa to miejsce?

- Cairney.

- A pan?

- Tak samo. Oliver Cairney. Ale mów mi Oliver.

- O rany!

- Trochę to skomplikowane, prawda? - uśmiechnął się Oliver. - No, jeśli już jesteś gotowy, to pójdziemy poszukać twojej siostry, a potem coś zjemy. A skoro już o tym mowa, to wolisz krupnik czy zupę pomidorową?

- Wolałbym zupę pomidorową, jeśli masz.

- Tak też myślałem.

W tym czasie Karolina wyszła z łazienki. Ledwo było ją widać w obszernym szlafroku Olivera - wyglądała na jeszcze drobniejszą i szczuplejszą niż na początku. Włosy miała

mokre, a golfowy kołnierz swetra zdawał się podtrzymywać jej delikatną głowę na smukłej szyi.

- No, teraz czuję się zupełnie inaczej... Dziękuję panu bardzo.

- Chodźcie teraz coś zjeść.

- Narobiliśmy chyba panu straszego kłopotu...

- Narobicie kłopotu dopiero wtedy, kiedy się pochorujecie i będę musiał was pielęgnować.

Oliver pierwszy zszedł po schodach na dół i usłyszał za swoimi plecami, jak Jody z satysfakcją informuje Karolinę:

- On mówi, że ma zupę pomidorową!

Przy drzwiach kuchni Oliver zatrzymał się i powiedział do swoich gości:

- Wejdźcie tam, do biblioteki, i rozgośćcie się, a ja przyniosę wam kolację. Możecie dołożyć do ognia, żeby się dobrze palił.

Tymczasem obie zupy już perkotały w rondelkach. Oliver napełnił dwa głębokie talerze, ustawił je na przygotowanej już tacy i zaniósł do biblioteki. Zastał tam swoich gości grzejących się przy ogniu - Jody siedział na podnóżku, a Karolina klęczała na dywaniku przed samym kominkiem, usiłując wysuszyć włosy. Suka Lisa usiadła między nimi, trzymając głowę na kolanach Jody'ego, który drapał ją za uszami. Na widok wchodzącego Olivera chłopak uniósł głowę i spytał:

- Jak ten pies się wabi?

- Lisa. Już się z tobą zaprzyjaźniła?

- Chyba tak.

- Coś takiego! Zwykle nie zaprzyjaźnia się z nikiem tak szybko! - zadziwił się, stawiając tacę na niskim stoliku - ławie. Wcześniej musiał odsunąć na bok stertę starych gazet i czasopism, aby zrobić miejsce.

- To twój pies? - indagował dalej Jody.

- Chwilowo tak. A ty masz w domu jakiegoś psa?

- Nie - odpowiedział chłopiec tonem tak smutnym, że Oliver szybko zmienił temat. - No, jedzcie tę zupę, zanim wystygnie!

Podczas gdy jedli, dołożył następne polano do ognia, nalał sobie whisky z wodą sodową i usiadł w starym fotelu przy kominku.

Zapanowała zupełna cisza. Jody błyskawicznie pochłonał zupę, najadł się chleba z masłem, popił to dwiema szklankami mleka i zabrał się do jabłek. Natomiast jego siostra zjadła tylko trochę zupy i odłożyła łyżkę, jakby już miała dość.

- Nie smakuje ci zupa? - zapytał Oliver.

- Skądże, jest pyszna, ale nie mogę już więcej.

- Ona nigdy nie ma apetytu - wtrącił się Jody.

- Więc może napijesz się czegoś?

- Nie, dziękuję.

Po wyczerpaniu tego tematu Oliver przeszedł do następnego.

- Porozmawialiśmy sobie z twoim bratem, kiedy się kąpał. Nazywacie się Jody i Karolina Cliburn, prawda?

- Tak.

- A ja Oliver Cairney. Pewnie Jody już ci o tym powiedział, a także o tym, że macie zwracać się do mnie po imieniu?

- Tak, właśnie mi to powiedział. - Przyjechaliście z Londynu?

- Zgadza się.

- I wasz samochód utknął w rowie pod bramą mojego majątku?

- Tak właśnie było.

- A wybieraliście się do Strathcorrie?

- Tak. Nasz brat pracuje tam w hotelu.

- I spodziewa się waszego przyjazdu?

- Wysłaliśmy mu telegram. Pewnie zastanawia się, co mogło nam się przytrafić.

Oliver spojrział na zegarek.

- Dochodzi już północ, ale jeśli chcesz, mogę zadzwonić do tego hotelu. Na pewno ktoś pełni tam nocny dyżur w recepcji.

- Naprawdę, zrobiłbyś to? - spojrzała na niego z wdzięcznością.

- Przynajmniej spróbuję. - Niestety, okazało się, że telefon był głuchy. - Widocznie ta wichura pozrywała łącza telefoniczne.

- I co my teraz zrobimy? - przeraziła się Karolina.

- Co możecie zrobić? Zostaniecie tutaj.

- Ale Angus...

- Powiedziałem już Jody'emu, że Angus na pewno domyśli się, co się stało.

- To może jutro...

- Jeśli nie zawiąło szosy, spróbuję jakoś dostać się do Strathcorrie. W najgorszym razie mam landrovera.

- A jeśli szosa będzie zawiana?

- Wtedy mamy czas się martwić.

- Tak, ale... widzisz, nie mamy za dużo czasu. W piątek mieliśmy być z powrotem w Londynie.

- A czy macie tam kogoś, kogo można by w razie czego zawiadomić? - Oliver, mówiąc to, nie podnosił wzroku znad szklanki, którą kołysał w dłoni.

Jody i Karolina wymienili znaczące spojrzenia. Po chwili dziewczyna odpowiedziała wymijająco:

- Przecież telefon nie działa! - Dobrze, ale gdyby działał?

- Nie musimy nikogo zawiadamiać.

Oliver był pewien, że Karolina kłamie. Przyjrzał się jej uważnie, taksując wzrokiem jej wystające kości policzkowe, tępo zakończony nos, szerokie usta, długie, jasne włosy i

podkrążone oczy. Napotkał przy tym jej spojrzenie, ale Karolina zaraz odwróciła wzrok w inną stronę. Oliver wolał więc nie poruszać dalej tego tematu i zrezygnując się wycofał, mówiąc oględnie:

- Tak tylko pytałem.

Następnego dnia Karolinę obudziła oślepiająca biel śniegu, rzucająca odblask na biały sufit w sypialni. Wylegując się w puchowej pościeli, słyszała szczekanie psa i warkot nadjeżdżającego ciągnika. Sięgnęła po swój zegarek i stwierdziła, że minęła już dziewiąta. Wstała więc z łóżka, podeszła do okna, rozsunęła różowe zasłony i aż zamrugła oczami, tak jasne światło wdarło się do pokoju.

Dookoła leżał śnieg, którego biel kontrastowała z błękitem nieba. Biały puch zamazywał wszystkie kształty, wygładzał kanty, tworzył okiść na gałęziach sosen i czapy na kołkach w płocie. Karolina otworzyła okno, wychyliła się na zewnątrz i wdychała rześkie, świeże powietrze, które działało tak ożywczo, jak dobrze schłodzone wino.

Wspominając koszmar minionej nocy, spróbowała ustalić, gdzie się właściwie znajduje. Przed domem rozciągał się kawałek pustej przestrzeni, gdzie prawdopodobnie w lecie rosła trawa. Wokół trawnika biegł okrężny podjazd. Stanowił on zakończenie tej samej alei, po której wczoraj z Jodym tak mozolnie pięli się pod górę. Pomędzy trawiastymi pagórkami wiała się w oddali główna szosa, odgraniczona kamiennymi murkami. Z daleka widać było jadący bardzo powoli samochód.

Traktor, którego warkot przedtem słyszała, podjeżdżał właśnie aleją pod górę. Na chwilę schował się za kępą różaneczników, potem wynurzył się zza niej, okrążył trawnik i znikł z pola widzenia.

Było stanowczo za zimno, aby wychylać się na zewnątrz!

Karolina cofnęła się więc w głąb sypialni i zaniknęła okno. Pomyślała o Jodym i uchyliła drzwi wiodące do garderoby. Jody wciąż smacznie spał - w ciemności i ciszy słycać było tylko jego równy oddech. Zamknęła drzwi z powrotem i rozejrzała się za czymś, w co mogłaby się ubrać. Niestety, pod ręką miała tylko sweter i szlafrok pożyczone jej wczoraj przez Olivera. Nałożyła je na siebie i boso wyszła na korytarz w poszukiwaniu kogoś, kto powiedziałby jej, co ma dalej robić.

Dopiero teraz zorientowała się, jak przestronny jest ten dom. Korytarz dochodził do podestu schodów, przykrytego dywanem. Stała tam wysoka komoda, kilka krzeseł i stół, na którym leżał stos świeżo wyprasowanych koszul. U szczytu schodów Karolina zatrzymała się, nadsluchując głosów dochodzących z parteru. Zeszła tam i idąc śladem tych głosów, doszła do drzwi, za którymi przypuszczalnie znajdowała się kuchnia. Gdy je otworzyła, dwoje rozmawiających wewnątrz ludzi natychmiast umilkło.

Oliver Cairney, w grubym, kremowym swetrze, siedział przy kuchennym stole i pił herbatę. Oprócz niego w kuchni była też siwowłosa kobieta w średnim wieku, z podwiniętymi rękawami bluzki, przepasana wpół kwiecistym fartuchem. Stała przy zlewie i obierała kartofle, rozmawiając równocześnie z Oliverem. W tej ciepłej, pachnącej świeżym chlebem kuchni Karolina poczuła się jak intruz. Zaczęła więc od słów:

- Przepraszam bardzo...

Oliver, który akurat siedział beczynn timer, odstawił filiżankę i wstał z krzesła.

- Ależ nie masz za co przepraszać! Myślałem, że będziecie spali do południa.

- Jody jeszcze śpi.

- Panie się poznają. To jest pani Cooper, a to Karolina Cliburn. Opowiadałem właśnie pani Cooper o tym, co wam się przydarzyło.

- Niech ja skonam, co to była za paskudna noc! - zawtórowała mu kucharka. - I kable telefoniczne też pozrywało!

- To znaczy, że na razie nie będziemy mogli się stąd wydostać? - Karolina z lękiem spojrzała na Olivera. - Obawiam się, że jeszcze przynajmniej przez pewien czas. Na razie usiądź z nami i napij się herbaty. A może byś coś zjadła? Na przykład jajka na bekonie?

Karolina jednak nie miała na nic ochoty.

- Dziękuję, chętnie napiję się herbaty. - Oliver podsunął jej krzesło, więc usiadła przy czystym, wyszorowanym stole. - Czy jesteśmy odcięci od świata?

- Częściowo. Droga do Strathcorrie jest nieprzejezdna, ale można dostać się do Relkirk.

- A co z naszym samochodem? - wyszeptała ze strachem.

- Właśnie Cooper pojechał tam traktorem sprawdzić, co się z nim dzieje.

- Czy to może taki czerwony traktor?

- Tak.

- Widziałam, jak przed chwilą wjeżdżał na górę.

- No więc zaraz się wszystkiego dowiemy. - Oliver postawił na stole filiżankę i spodeczek, sięgnął po brązowy czajniczek z esencją i nalał Karolinie herbaty. Piła ją z przyjemnością, bo była gorąca i mocna.

- Nie mogłam rano znaleźć swoich rzeczy - przypomniała sobie.

- Ja się nimi zajęłam - wyjaśniła pani Cooper. - Wsadziłam je do suszarki. Do tej pory powinny już wyschnąć. Ale musieliście chyba przemoknąć do suchej nitki, żebyśmy tak zdrowa była!



- Ma pani rację - zgodził się z nią Oliver. - Wyglądali jak zmokłe kury.

Zanim Karolina ubrała się i wróciła do kuchni, zdążył już przyjść Cooper z informacjami na temat ugrzęźniętego w rowie samochodu.

- Ano, wyciągniem go jak trza - mówił miejscową gwara, którą Karolina czasem nie do końca rozumiała. - Ino ten silnik za cholere nie zapali.

- Dlaczego?

- Widzi mi się, co woda w chłodnicy zamarzła na kamień.

- Nie wlałaś do niej płynu? - Oliver zwrócił się do Karoliny. Ponieważ w odpowiedzi zrobiła tylko niemądrą minę, spróbował jej pomóc: - No, płynu, takiego, który nie zamarza. Stosuje się go w zimie. Nie słyszałaś o tym?

Potrząsnęła głową, więc Oliver ponownie zwrócił się do Coopera:

- Ma pan rację, na pewno zamarzła woda.

- A powinnam była wlać taki płyn? - upewniała się Karolina.

- Dobrze byś zrobiła.

- Nie miałam pojęcia, co tam było w chłodnicy, bo to nie mój samochód.

- Czyżbyś go ukradła?

Pani Cooper ze świstem wciągnęła powietrze przez zaciśnięte zęby, co miało oznaczać dezaprobatę. Karolina nie była pewna, czy to dotyczyło jej, czy Olivera, ale na wszelki wypadek z godnością zaprzeczyła.

- Ależ skąd, tylko go pożyczyłam.

- Dobra, wszystko jedno, czy ten wóz jest pożyczony, wyżebrany czy kradziony. W każdym razie musimy tam pojechać i zobaczyć, co się da zrobić.

- Jakby tak pan wzion landrovera... - poradził Cooper, nakładając czapkę i cofając się ku drzwiom - to może ten młody Geordie by mi pomógł i wzięliby my go na hol?

Kiedy wyszedł, Oliver spojrział na Karolinę i zapytał:

- Pojedziesz z nami?
- Oczywiście.
- Ale musisz nałożyć gumowce.
- Kiedy nie wzięłam nic takiego ze sobą...
- Zaraz ci jakieś znajdę.

Poszedł pierwszy, a Karolina za nim, do dawnej pralni pełniacej obecnie funkcję graciarni. Przechowywano w niej nieprzemakalne płaszcze, buty gumowe, koszyki dla psów i zardzewiałe rowery, choć znalazła się tam i całkiem nowa maszyna do szycia. Oliver pogrzebał w rupieciach i wydobył stamtąd parę gumowców mniej więcej pasujących na Karolinę. Znalazł dla niej również czarną, nieprzemakalną kurtkę. Karolina ubrała się w te rzeczy, rozpuściła swoje długie włosy i już była gotowa do wyjścia na dwór. - Śnieg jak w zimie, ale słońce już całkiem wiosenne - zauważył z zadowoleniem Oliver, kiedy po dziewiczym śniegu szli w stronę garażu.

- A długo taki śnieg się utrzyma? - zainteresowała się Karolina.

- Może nie bardzo długo, ale potrzeba trochę czasu, zanim stopnieje. Tej nocy napadało go dziewięć cali.

- A w Londynie już wiosna!
- To samo powiedział mi twój brat.

Oliver odryglował dwuskrzydłowe drzwi garażu, w którym stały dwa samochody - ciemnozielona, sportowa limuzyna oraz landrover.

- Weźmiemy landrovera - oznajmił. - Żebyśmy nie ugrzęźli w śniegu.

Kiedy Karolina wsiadła już do samochodu, Oliver wycofał go z garażu i skierował w dół, na szosę, trzymając się śladów pozostawionych przez traktor Coopera. Tego ranka wokoło panowała cisza, jakby wszystkie odgłosy stłumił śnieg. Tu i ówdzie widać było jednak ślady życia - pod jednym drzewem trop zająca, pod innym drobne, gwiazdziste ślady ptasich łapek... Wysoko nad głowami stykały się korony buków okalających aleję, a ich poszczepiane gałęzki rysowały się na tle jasnoniebieskiego nieba jak koronka.

Wyjechali przez bramę na główną szosę, prosto w oślepiający blask słońca. Oliver zaparkował landrovera przy krawężniku i oboje wysiedli. Widać stąd było łukowato wzniesiony mostek, z którego wczoraj tak nieszczęśliwie stoczył się minivan Caleba. Widoczny był także ów nieszczęsny pojazd, sterczący ukośnie z rowu, gdzie zarył się głęboko w śnieg. Wokół niego pełno było śladów pozostawionych przez ogromne buciory Coopera. Widok ten wzbudził w Karolinie poczucie winy, gdyż samochód sprawiał wrażenie unieruchomionego na wieki.

Oliver ostrożnie otworzył drzwiczki minivana i wsunął się na siedzenie, pozostawiając dla pewności jedną nogę na zewnątrz. Przekreślił kluczyk, lekkomyślnie pozostawiony przez Karolinę w stacyjce. Odpowiedzią było tylko jedno jedyne, rozpaczliwe stęknienie maszyny i silny smród spalenizny. Bez słowa komentarza Oliver wysiadł z wozu, zatrzasnął drzwiczki i mruknął pod nosem: „Ciężka sprawa!”. Słyszając to, Karolina poczuła się nie tylko winna, ale też jak ostatnia idiotka.

- Nie wiedziałam, że do chłodnicy trzeba wlać jakiś płyn - powtórzyła, rozpaczliwie próbując się usprawiedliwić. - Mówiłam ci, że to nie mój wóz.

Oliver nie zwrócił uwagi na jej słowa, tylko obszedł samochód naokoło, strącając nogą śnieg z jego tylnych kół.

Potem przykucnął na krawędzi rowu, aby sprawdzić, czy nie zaklinowała się w nim tylna oś wozu.

Karolinie zbierało się na płacz. Jakoś nic się jej nie udawało! Nie dość, że ugrzęzła tu razem z Jodym, to jeszcze trafiła na tego antypatycznego faceta. Samochód Caleba nie nadawał się do użytku, do Strathcorrie nie można było się dodzwonić, a szosa była nieprzejezdna... Mrugając oczyma, aby powstrzymać łzy, wpatrywała się w dal, śledząc zakręty szosy, która to wznosiła się, to opadała. Ubity śnieg wypełniał grubą warstwą przestrzeń między kamiennymi murkami. Dziś powiewał zaledwie lekki wietrzyk, w niczym nie przypominający wichury z poprzedniej nocy. Unosił on z pól tylko zwiewną mgiełkę śniegu, która osiadała na utworzonych już zaspach i w załomach murów. W pewnym momencie z wysoka spikował w dół kulik, rozdzierając ciszę poranka swoim przenikliwym krzykiem. Zaraz potem jednak powietrze znów zastygło w bezruchu.

Karolina usłyszała za sobą kroki Olivera skrzypiące po śniegu. Obróciła się ku niemu, trzymając ręce głęboko w kieszeniach kurtki.

- Obawiam się, że złapało go na amen - stwierdził.

- Czy to się da naprawić? - spytała Karolina z przerażeniem w głosie.

- Oczywiście. Cooper wyciągnie go z rowu i doholuje do najbliższego warsztatu. Jest tam dobry mechanik, więc jutro albo najdalej pojutrze będziesz miała sprawny samochód. - Widząc wyraz jej twarzy, dodał jakby na pocieszenie: - Zresztą nawet gdyby wóz był na chodzie, nie dojechałabyś w tej chwili do Strathcorrie. Szosa jest nieprzejezdna. - A kiedy będzie przejezdna? - rozglądała się dookoła.

- Gdy tylko pług śnieżny utoruje drogę. Zamieć o tej porze, pod sam koniec zimy, może pokrzyżować wszystkie plany. Musimy po prostu czekać.

Otworzył drzwiczki landrovera i czekał, aż Karolina wsiądzie. Kiedy powoli usadowiła się w wozie, zatrzasnął drzwiczki, obszedł samochód naokoło i usiadł za kierownicą. Karolina sądziła, że zaraz odwiezie ją z powrotem do domu - tymczasem Oliver zapalił papierosa i siedział w milczeniu, jakby nad czymś rozmyślając.

Sytuacja stawała się nieprzyjemna, bo samochód jest dobrym miejscem, gdy dzielimy go z kimś sympatycznym. Natomiast niezbyt miłym towarzyszem jest ktoś, kto zadaje masę pytań, na które nie mamy ochoty odpowiadać.

Obawy Karoliny stały się jeszcze bardziej uzasadnione, gdy Oliver zadał pierwsze pytanie:

- Mówiłaś, że kiedy musisz być z powrotem w Londynie?
- Obiecałam, że wrócimy do piątku.
- Komu to obiecałaś?
- Calebowi. To znaczy temu panu, od którego pożyczyliśmy samochód.
- A co na to wasi rodzice? - Nasi rodzice nie żyją.
- A nie macie żadnej innej rodziny? Nie wierzę, żebyście mieszkali sami, tylko we dwoje w całym domu. - Uśmiechnął się na samą myśl o tym. - Pakowalibyście się wtedy ciągle w kłopoty.

Karolinie wcale nie wydało się to śmieszne, więc odrzekła chłodno:

- Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, to mieszkamy z macochą.
- Aha, rozumiem! - Oliver znacząco pokiwał głową.
- Co takiego rozumiesz?
- Zła macocha, prawda?
- Ona wcale nie jest zła. Jest nawet bardzo miła.
- A czy ona wie, gdzie jesteście?

- W zasadzie tak... - wydusiła Karolina ze świadomością, że nie mówi całej prawdy. Zaraz więc dodała, z większym przekonaniem: - To znaczy wie, że jesteśmy w Szkocji.

- Czy wie także, po co tu przyjechaliście? Wie o Angusie?

- To też wie.

- Przejechaliście taki kawał drogi, aby odnaleźć Angusa. Czy mieliście jakiś specjalny powód, czy tylko chcieliście się z nim przywitać?

- Niezupełnie.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

- Czyżby?

Nastąpiła dłuższa chwila ciszy, po której Oliver odezwał się z ostentacyjną delikatnością: - Słuchaj, rozumiem doskonale, że poruszam drażliwy temat. Wierz mi, że naprawdę mało mnie obchodzi, co tam oboje knujecie. Czuję się tylko w pewnym sensie odpowiedzialny za twego braciszka. W końcu on ma dopiero ile?... jedenaście lat, prawda?

- Już ja całą odpowiedzialność biorę na siebie.

- A zdajesz sobie sprawę, że ta noc mogła was kosztować życie? - Mówił cicho, lecz Karolina z wyrazu jego twarzy wywnioskowała, że mówił serio.

- Zdecydowałam się pozostawić samochód, ponieważ zobaczyłam światło! - upierała się dalej. - Gdyby nie to, przeczekalibyśmy zamieć w wozie.

- W tej części świata należy się liczyć z możliwością zamieci. Mieliście szczęście.

- A ty byłeś dla nas bardzo dobry, wprost nie wiem, jak ci dziękować. Wydaje mi się jednak, że im szybciej przestaniemy ci się plątać pod nogami, tym lepiej.

- Zobaczymy, jak sprawy się potoczą. Na razie będę musiał zostawić was samych w domu, gdyż umówiłem się na lunch w Relkirk. Pani Cooper was nakarmi, a tymczasem

może oczyszcza drogę do Strathcorrie i będę mógł was tam zawieźć.

Karolina rozważyła ten wariant, lecz niezbyt jej się uśmiechała konfrontacja Olivera Cairneya z Angusem Cliburnem.

- Może mogłabym jakoś... - zaczęła, ale Oliver przerwał jej, gasząc papierosa.

- Innej drogi do Strathcorrie nie ma, chyba że samolotem. Macie siedzieć kamieniem w Cairney i czekać na mnie, zrozumiano?

Karolina otwierała już usta, żeby zaproponować, ale jego spojrzenie zmusiło ją do zamilknięcia.

- Dobrze - odparła niechętnie. Myślała, że Oliver jeszcze coś powie na ten temat, ale na szczęście pan Cooper przyjechał właśnie traktorem, przywożąc ze sobą młodego chłopca we włóczkowej czapce. Oliver wysiadł z landrovera i podszedł, aby im pomóc. Robota była żmudna, ale w końcu oczyszczono samochód Caleba, podsypano żwiru pod koła, a na tylną oś założono liny. Za drugim czy trzecim szarpnięciem udało się go wydobyć. Dochodziła już jedenasta, kiedy ruszyli w stronę warsztatu - Cooper za kierownicą traktora, a Geordie w holowanym samochodzie. Karolinie zrobiło się strasznie głupio.

- Mam nadzieję, że da się coś z tym zrobić - odezwała się do Olivera, gdy znów usiadł obok niej. - Mniejsza o to, gdyby to był mój wóz, ale obiecałam Calebowi, że będę o niego dbała.

- Nie ma w tym twojej winy. To się mogło zdarzyć każdemu. Myślę, że po remoncie będzie sprawniejszy niż kiedykolwiek. - Spojrzał na zegarek i dodał: - Jedziemy, bo o wpół do pierwszej mam być w Relkirk, a muszę się jeszcze przebrać.

W drodze powrotnej nie rozmawiali już, dopóki Oliver nie zaparkował wozu przed głównym wejściem. U podnóża schodów zatrzymał się i spojrzał na Karolinę.

- Dasz sobie sama radę?

- Oczywiście.

- No to do zobaczenia!

Karolina odprowadzała go wzrokiem, jak sadząc po dwa stopnie naraz wbiegał na górę. Kiedy już znikł jej z oczu, zrzuciła kurtkę i gumowce, i udała się na poszukiwanie Jody'ego. W kuchni nie było nikogo, bo pani Cooper odkurzała ogromny turecki dywan w rzadko używanym pokoju jadalnym. Widząc wchodzącą Karolinę, wyłączyła odkurzacz.

- I jak tam panienki maszyna, już na chodzie? - zapytała z ciekawością. - Pani mąż był tak miły, że zaholował wóz do warsztatu. Widziała pani może Jody'ego?

- A jakże, to kochane dziecko, wszędzie go pełno. Był już u mnie w kuchni i grzecznie zjadł ze mną śniadanie, dwa jajka, bułeczkę z miodem i szklankę mleka. Potem zaprowadziłam go do starego pokoju dzieciennego, gdzie jeszcze nasi chłopcy się bawili. Pewnie ma używanie, tyle tam różnych klocków, samochodzików i Bóg wie czego jeszcze!

- Gdzie jest ten pokój?

- Panienka pozwoli ze mną, to pokażę.

Przerwała odkurzanie i poprowadziła Karolinę tylnymi schodami przez drzwi, za którymi znajdował się następny korytarz, pomalowany na biało i wyłożony niebieskim chodnikiem.

- Kiedyś to całe skrzydło było przeznaczone tylko dla dzieci. Teraz już nikt go nie używa, ale napaliłam tam, żeby chłopaczek miał ciepło - objaśniała pod drodze pani Cooper. Gdy doszła na miejsce, otworzyła drzwi i przepuściła Karolinę przodem. Pokój dziecienny był przestronny, z oknem



wychodzącym na ogród. W kominku, przed którym stał wysoki ekran, płonął ogień. W pokoju tym znajdowały się ponadto stare fotele, wgnieciona kanapa, półki z książkami i wiekowy koń na biegunach pozbawiony ogona. Pośrodku pokoju na wytartym dywanie siedział Jody, otoczony murami twierdzy, którą sam zbudował z klocków. Budowla ta zajmowała prawie całą podłogę, a wokół roiło się od miniaturowych samochodzików, figurek żołnierzy, kowbojów, rycerzy w zbrojach i zwierząt gospodarskich. Jody podniósł wprawdzie wzrok ku wchodzącej Karolinie, ale był tak pochłonięty zabawą, że nawet się nie spieszył, iż przyłapano go na tak dzieciennym zajęciu.

- O rany! - nie wytrzymała Karolina. - Ile trzeba ci było czasu, żeby to wszystko zbudować?

- Siedzę nad tym już od śniadania. Uważaj, żebyś nie zwała wieży!

- Uchowaj Boże! - Karolina ostrożnie przekroczyła fortyfikacje, kierując się do kominka, gdzie stanęła przy ekranie.

Pani Cooper natomiast nie szczędziła słów podziwu.

- Jak żyję, jeszcze czegoś takiego nie widziała! Nawet uliczki tam porobiłeś! Musiałeś chyba zużyć wszystkie klocki, jakie były?

- Prawie wszystkie! - oświadczył z dumą Jody, uśmiechając się do gosposi. Najwyraźniej zdążyli już się zaprzyjaźnić.

- No, to bawcie się tu sami. Lunch będzie o wpół do pierwszej. Upiekłam szarlotkę, a i trochę śmietanki też się do niej znajdzie. Lubisz szarlotkę, skarbie?

- Uwielbiam!

- No to świetnie. - Kiedy wyszła, jeszcze zza drzwi słysząc było, jak mruży coś do siebie.

- Czy ona nie jest miła? - zauważył Jody, ustawiając dwa wysokie klocki tak, aby tworzyły bramę wjazdową do twierdzy.

- Rzeczywiście, jest przesympatyczna. Wypałeś się dobrze?

- Za wszystkie czasy. Ten dom jest cudowny! - Jody dołożył dalsze dwa klocki, aby brama była jeszcze wyższa.

- Pan Cooper pomógł nam odwieźć wóz do warsztatu. Okazało się, że w chłodnicy nie było płynu, tylko woda, która zamarzała.

- Co ten głupi, stary Caleb narobił! - podsumował Jody, wieńcząc słupki bramy gotowym portalem. Potem położył się płasko na dywanie, zaglądając do środka budowli. Pewnie wyobrażał sobie, że sam jest taki mały jak figurka siedzącego na pięknym, siwym koniu rycerza z pióropuszem na hełmie i proporcem na kopii.

- Słuchaj... - przypomniała sobie Karolina. - Czy wczoraj podczas kąpieli, kiedy rozmawiałeś z Oliverem, wspominałeś mu coś o Angusie?

- Tylko tyle, że chcemy go odszukać.

- A o Dianie lub Hughu?

- Nie pytał mnie o to.

- W każdym razie nic mu nie mów.

- A jak długo jeszcze mamy tu zostać? - chciał wiedzieć Jody.

- Mam nadzieję, że jak najkrócej. Byleby tylko można się już było dostać do Strathcorrie i odnaleźć Angusa.

Jody pozostawił to bez komentarza. Karolina widziała, jak z otwartego pudełka wyjął figurkę konia i rozejrzał się, aby dopasować doń odpowiedniego jeźdźca. Wybrał wreszcie jednego z miniaturowych rycerzy, usadowił go w siodle i przez chwilę przyglądał się swemu dziełu, oceniając efekt.

Potem z wyjątkową precyzją ustawił rycerza wraz z koniem w otworze zbudowanej dopiero co bramy.

- A pani Cooper jeszcze coś mi powiedziała! - zaczął z innej beczki.

- Cóż takiego?

- Że to wcale nie jest dom Olivera!

- Jak to nie jego? A czyj?

- Oliver stale mieszka w Londynie, a to jest farma, która należała do jego brata.

- I co się stało z tym bratem?

- Zginął w zeszłym tygodniu w wypadku samochodowym - oświadczył Jody.

Karolina przypomniała sobie, że niedawno słyszała już to zdanie: „...ten starszy zginął w wypadku samochodowym”. Teraz jednak to samo stwierdzenie, wypowiedziane z pozornym chłodem przez Jody'ego, wprowadziło ją w przerażenie. Przyłapała się na tym, że zakryła dłonią usta, jakby chciała wtłoczyć tam słowo, które samo cisnęło się na wargi: „...zginął”.

- Dlatego właśnie Oliver tu przyjechał - wyjaśniał dalej Jody. Ton jego głosu stał się teraz wręcz opryskliwy, co świadczyło niezbitnie o zdenerwowaniu. - Chodziło o pogrzeb i w ogóle. Musi uporządkować wszystkie sprawy, jak powiedziała pani Cooper. A potem sprzeda ten dom, farmę i nigdy więcej już tu nie wróci!

Chłopiec ostrożnie wydostał się spomiędzy murów swojej twierdzy, podszedł do Karoliny i przysunął się blisko niej. Wyczuła, że pozorną obojętnością maskuje silną potrzebę psychicznego oparcia. Otoczyła go więc ramieniem i powiedziała:

- I przy tym wszystkim jeszcze my wpakowaliśmy się biedakowi na kark! - Pani Cooper mówiła, że dobrze się stało,

bo to pozwala mu oderwać się od smutnych myśli. - Spojrzał na siostrę i zmienił temat: - To kiedy pojedziemy do Angusa?

- Jeszcze dziś - obiecała mu bez wahania Karolina. Oprócz szarlotki pani Cooper podała na lunch mielone

kotlety z pieczonymi kartoflami i puree z rzepy. Karolinie początkowo wydawało się, że jest głodna, ale szybko stwierdziła, że jednak nie. Natomiast Jody najadł się do syta.

- I co teraz będziecie robić? - zainteresowała się pani Cooper. - Pan Cairney wróci dopiero na podwieczorek.

- Mogę iść pobawić się do pokoju dziecinnego? - zapytał Jody.

- Oczywiście, skarbie. - Pani Cooper spojrzała pytającym wzrokiem na Karolinę. - A panienka?

- Pójdę się przejść - zdecydowała Karolina. Pani Cooper nie tuiła zdziwienia.

- Jeszcze panience nie dosyć tego zimna?

- Lubię przebywać na świeżym powietrzu, a dziś na dworze jest bardzo ładnie.

- Gdzież tam dziś ładnie. Już się chmurzy!

- Mnie to nie przeszkadza.

- A nie pogniewasz się, jeśli nie pójdę z tobą? - Jody najwyraźniej był w rozterce.

- Ależ skąd.

- Widzisz, chciałbym jeszcze zbudować taką trybunę, z której widzowie przyglądali się turniejom.

- Możesz śmiało to zrobić.

Jody przeprosił więc obydwie panie i ulotnił się, aby przystąpić do dzieła. Karolina zaproponowała pani Cooper swoją pomoc przy zmywaniu, ale gospoia stanowczo się sprzeciwiła. Poradziła jej, że skoro ma wyjść, niech to zrobi, zanim zacznie padać. Karolina wyszła więc do hallu, nałożyła tę samą kurtkę i gumowce, które miała rano, zawiązała na głowie chustkę i wyszła z domu.

Pani Cooper słusznie przewidywała, że pogoda się pogorszy. Od zachodu nadciągnęły chmury, za nimi schowało się słońce, a powietrze jakby znieruchomiało. Karolina wsunęła ręce głęboko w kieszenie, zeszła bukową aleją w dół ku bramie, wyszła na szosę i skierowała się w stronę Strathcorrie.

Oliver przykazał im obojgu, aby nie ruszali się z Cairney i czekali na niego. Pewnie się wścieknie, gdy nie zostanie jej po powrocie, ale na dobrą sprawę mało ją to obchodziło. Przypuszczalnie i tak nigdy więcej go nie zobaczy, co najwyżej napisze do niego list z podziękowaniem za gościnę.

Wydawało się jej, że spotkanie z Angusem po latach rozłąki nie powinno mieć miejsca w obecności obcego, dość krytycznie nastawionego człowieka. Angus był chyba najbardziej nieobliczalnym osobnikiem na kuli ziemskiej i trudno było przewidzieć jego reakcje. Od początku dziki pomysł nagłej eskapady do Szkocji budził jej wątpliwości, ale udzielił się jej entuzjazm Jody'ego. Chłopiec był święcie przekonany, że Angus przywita ich z otwartymi ramionami i chętnie przyjdzie im z pomocą. Zanim wyjechali z Londynu, zdołał przekonać o tym także Karolinę. Teraz jednak, w zasypanej śniegiem Szkocji, wątpliwości powróciły ze zdwojoną siłą. Na pewno Angus będzie fizycznie obecny w hotelu „Strathcorrie”, ponieważ tam pracuje. Ale to, że czyści buty gościom i pali w piecach centralnego ogrzewania, nie oznacza wcale, że przestał nosić długie włosy i brodę tudzież chodzić boso i że zaczął się interesować losami swego rodzeństwa. Karolina mogła sobie wyobrazić, co pomyślałby o nim Oliver, toteż wołała, aby nie był obecny przy spotkaniu.

Do tego doszła jeszcze wiadomość o niedawnej śmierci brata Olivera. Karolina czuła, że ich obecność w jego domu wypadła całkiem nie w porę i że nie powinni nadużywać jego gościnności. Była pewna, że im prędzej uwolnią go od swego

kłopotliwego towarzystwa, tym lepiej. A najlepszym sposobem na to wydawało jej się odnalezienie Angusa na własną rękę. Wmawiała to sobie uparcie, wędrując szosą i brnąc w śniegu.

Szła tak już ponad godzinę, nie mając najmniejszego pojęcia, ile mil już uszła. W którymś momencie minął ją samochód z pługiem śnieżnym, powoli torujący drogę pod górę. Po obu jego stronach piętrzyły się zwały śniegu odrzucane lemieszem na boki, jak pienne smugi kilwateru pozostawiane przez statek. Karolina zeszła mu z drogi, wskazując na przydrożny murek. Najwidoczniej operator pługa zauważył to, gdyż pojazd zatrzymał się, a on otworzył drzwiczki i zawołał na nią:

- A dokąd to, paniusiu?
- Do Strathcorrie.
- To ma pani jeszcze sześć mil. Może podwieźć?
- O, tak, bardzo proszę!
- No to siadaj pani do kabiny.

Podał jej sękatą dłoń, pomagając wsiąść do szoferki. Posunął się nawet, aby zrobić jej więcej miejsca. Jego towarzysz, kierujący samochodem, dorzucił ponuro:

- Ale to trochę potrwa, bo od tej strony nawaliło kupę śniegu.

- To nic, mnie się nie spieszy, najważniejsze, że nie będę musiała iść piechotą.

- Pewnie, w taką psią pogodę!

Ze zgrzytem wrzucił bieg, zwolnił hamulec ręczny i pojazd powoli ruszył. Rzeczywiście posuwali się naprzód dosyć wolno, bo co jakiś czas obaj mężczyźni musieli wysiadać i podsypywać pod koła żwir z przygotowanych na poboczach pryzm. Przez okno szoferki wdzierало się wilgotne powietrze i Karolina czuła, że jej nogi w niezbyt pasujących na nią gumowcach zamieniają się w bryły lodu. W końcu

jednak pokonali ostatecznie wzniesienie i sympatyczny robotnik drogowy oznajmił:

- Jesteśmy w Strathcorrie.

Przed nimi rozciągała się dolina, na której dnie leżało jezioro o poszarpanych brzegach i stalowoszarej tafli wody.

Na przeciwległym brzegu jeziora też wznosiły się wzgórza, na których zboczach czerniały kępy sosen i jodeł. W oddali, poza ich szczytami, widoczny był łańcuch górski położony bardziej na północ. Natomiast wokół węższego końca jeziora skupiły się zabudowania miasteczka Strathcorrie. Z tej odległości widać było kościół, wąskie uliczki, małe, szare domki i przystań żaglówek, z jedną łódką wyciągniętą na brzeg.

- Jak tu pięknie! - zauważyła Karolina. - Aha, a letnią porą co tu narodu! Wynajmują kwatery, łódki, nawet przyczepy campingowe...

Zjeżdżali teraz w dolinę i mogli rozwinąć większą szybkość, gdyż po tej stronie pagórka śnieg nie osiadł tak grubą warstwą.

- Gdzie mamy panią wysadzić? - zapytał kierowca.

- Przy hotelu „Strathcorrie”. Wie pan, gdzie to jest?

- Gdzieżbym zaś nie wiedział!

Ulice miasteczka były mokre, bo śnieg topniał w rynsztokach i pluszcząc ściekał z okapów. Wóz z pługiem przejechał główną ulicą i pod łukiem triumfalnym w stylu gotyckim, wybudowanym z okazji rocznicy jakiegoś wydarzenia z czasów wiktoriańskich. Zatrzymał się przed budynkiem otynkowanym na biało, z brukowanym podjazdem i tablicą nad wejściem: „Hotel 'Strathcorrie' wita miłych gości”. Nigdzie nie było jednak widać żywego ducha.

- Czy ten hotel jest czynny? - spytała z niepokojem Karolina.

- Jakżeżby, czynny przez okrągły rok. Tylko w te pore nie ma tu ruchu.

Karolina podziękowała obu mężczyznom za podwiezienie, wygramoliła się z szoferki i kiedy wóz ruszył w swoją drogę, przeszła na drugą stronę ulicy prosto w obrotowe drzwi hotelu. W hallu unosił się ciężki zapach dymu papierosowego i gotowanej kapusty. Na ścianie wisiał smętny kicz przedstawiający jelenia na rykowisku, w głębi stało biurko z tabliczką: „Recepcja”. Nie było tam jednak żywej duszy, ale był dzwonek, który Karolina nacisnęła. Na jego dźwięk zjawiała się kobieta w czarnej sukni i okularach w oprawce ozdobionej diamencikami. Wyglądała na niezadowoloną, że przerwano jej poobiednią sjęstę, tym bardziej że intruzem okazała się dziewczyna w dżinsach, ortalionowej kurtce i czerwonej, bawełnianej chustce na głowie.

- Czym mogę służyć? - zapytała.

- Przepraszam, że panią trudzę, ale chciałabym zobaczyć się z Angusem Cliburnem.

- Ach, z nim? - zareagowała żywo kobieta. - W tej chwili go tu nie ma.

Karolina nie powiedziała słowa, tylko wbiła w nią tak uporczywe spojrzenie, że recepcjonistka aż poprawiła okulary. Ciszę przerywało jedynie dźwięczne tykanie zegara, a z zaplecza dobiegał śpiew jakiegoś mężczyzny.

- To znaczy, był tutaj jeszcze całkiem niedawno - dodała kobieta w czerni, jakby przyznając, że Karolinie należy się wyjaśnienie. - Czy to może pani przysłała mu ten telegram? Niestety, nadszedł już po jego wyjeździe.

Otworzyła szufladę biurka i wyjęła z niej pomarańczową kopertę.

- Przepraszam, że ją otworzyłam, ale myślałam, że znajdę tam adres zwrotny. Niestety, nie znalazłam.

- No tak, rzeczywiście.



- Angus pracował u nas od ponad miesiąca. Dużo nam pomógł, bo nie mamy zbyt wiele personelu.

- Dobrze, ale gdzie on jest teraz?

- Nie powiem pani dokładnie, bo towarzyszy takiej starszej Amerykance w podróży po kraju. Ta pani zatrzymała się u nas i potrzebowała kierowcy, więc kiedy tylko znaleźliśmy innego pracownika na miejsce Angusa, oddelegowaliśmy go do tej pracy. Jako kierowcę, rozumie pani - dodała, jakby Karolina pierwszy raz w życiu słyszała o czymś takim.

- Dobrze, ale kiedy oni wrócą?

- Chyba za dzień lub dwa. Pani Mc Donald powiedziała, że gdzieś pod koniec tygodnia.

- Pani Mc Donald?

- No, ta Amerykanka. Podobno przodkowie jej męża pochodzili z tych stron, więc wynajęła samochód z Angusem jako kierowcą, aby je dokładnie zwiedzić.

Wrócą pod koniec tygodnia... To znaczyło, że w piątek lub w sobotę. Tymczasem w piątek Karolina i Jody mieli już być z powrotem w Londynie. Nie mogła czekać do końca tygodnia, bo w przyszły wtorek ma się odbyć jej ślub z Hughem. Na poniedziałek Diana zaplanowała próbę generalną tej uroczystości i pewnie już odchodziła od zmysłów. A jeszcze cały ten kram z prezentami...

Karolina przeżywała teraz obłądną gonitwę myśli, ale próbowała wziąć się w garść i podejść do sprawy praktycznie. Cóż z tego, skoro nie była w stanie zdobyć się na żaden praktyczny pomysł. Teraz już rozumiała, co to znaczy, gdy ktoś mówi, że jest u kresu wytrzymałości. To było właśnie to, co w tej chwili odczuwała.

- Aż tak bardzo pani zależy na spotkaniu z Angusem? - spytała z pewną dozą niecierpliwości kobieta zza biurka.

- Tak, bo jestem jego siostrą. To ważna sprawa.

- A skąd pani przyjechała?  
- Z Cairney - odpowiedziała bez namysłu Karolina.  
- Przecież to kawał drogi, całe osiem mil, a szosa jest nieprzejezdna.

- Trochę szłam pieszo, a potem podwiózł mnie kierowca, który jechał z pługiem śnieżnym.

Pewnie więc będzie czekać w tym hotelu na powrót Angusa. Szkoda, że nie zabrała z sobą Jody'ego.

- Czy miałyby pani dwa wolne pokoje?  
- Dlaczego aż dwa?  
- Mam jeszcze jednego brata, tylko w tej chwili nie ma go ze mną.

- Proszę chwileczkę poczekać - odpowiedziała recepcjonistka, patrząc na nią podejrzliwie. Potem wycofała się na zaplecze, pewnie aby przejrzeć książkę gości. Karolina czekała oparta o biurko i powtarzała sobie, żeby się nie denerwować. Od tego wszystkiego robiło się już jej niedobrze...

I rzeczywiście, zaczęła znów odczuwać dobrze znane mdłości. Tylko że tym razem ból brzucha nasilał się, przeszywając ją jak nożem. Próbowwała nie myśleć o tym, ale ból narastał błyskawicznie, i wkrótce nie była już w stanie myśleć o czymkolwiek innym. Cała była jednym wielkim bólem, który przepęśniał ją, jak powietrze wypełnia napompowany balon. Kiedy zamknęła oczy, wydało się jej, że gdzieś daleko włączył się alarmowy dzwonek.

Już myślała, że nie wytrzyma tego ani chwili dłużej, gdy nagle ból zaczął słabnąć. Po niedługim czasie, kiedy mogła już otworzyć oczy, pierwszą rzeczą, jaką zauważyła, była przerażona twarz recepcjonistki. Spróbowała więc uświadomić sobie, jak długo mogła stać w tej pozycji przy biurku. - Czy pani dobrze się czuje? - spytała zatroskana urzędniczka.

- Dziękuję, już dobrze - próbowała się uśmiechnąć, ale twarz miała moką od potu. - To taka przejściowa niedyspozycja, miewałam już ją nieraz. Poza tym zmęczyłam się tym marszem...

- Proszę usiąść, przyniosę pani szklanek wody.

- Ależ ze mną już wszystko w porządku!

Równocześnie jednak Karolina odniosła wrażenie, że coś jest nie w porządku z twarzą recepcjonistki, bo na przemian to przybliżała się, to oddalała. Kontury jej zamazywały się, widać było, że porusza ustami, ale Karolina nie słyszała żadnego dźwięku. Wyciągnęła rękę, aby przytrzymać się biurka, ale to nic nie dało. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętała, był wzorzysty dywan w hallu, który nagle jakby uniósł się w górę i trzepnął ją w głowę.

## Rozdział 5

Oliver wrócił do Cairney dopiero o wpół do piątej, zmęczony, bo Duncan Fraser nie tylko uraczył go obfitym lunchem, ale też wymagł pytaniami o finansowe i prawne aspekty przejęcia w posiadanie Cairney. Nie pominął niczego i teraz w głowie Olivera kłębiły się bezładnie liczby dotyczące powierzchni użytków rolnych, wydajności z hektara, obsady inwentarza, wartości budynków mieszkalnych i gospodarczych... Oczywiście było, że należało omówić te sprawy, ale wprowadziło to Olivera w stan głębokiej depresji. Wracając o zmierzchu do domu, próbował przyjąć do wiadomości przykry fakt, że wraz z Cairney pozbywa się jakby części siebie samego i przecina ostatnie więzi łączące go z czasami swojej młodości.

Rozdarty wewnątrz, czekał tylko, kiedy odpocznie w ciszy swego domu, usiądzie spokojnie w głębokim fotelu przy kominku i ukoji skołataną nerwy filiżanką herbaty. Dom jawił mu się teraz jako oaza spokoju i bezpieczeństwa. Wprowadził landrovera do garażu i wszedł tylnym wejściem do kuchni. Zastał tu panią Cooper - stała wprawdzie przy desce do prasowania, ale z oczyma utkwionymi w drzwi. Na widok Olivera wydała z siebie westchnienie ulgi i z impetem odstawiła żelazko.

- Chwała Bogu, że pan nareszcie wrócił! Kiedym tylko usłyszała samochód, miałam nadzieję, że to pan!

Wyraz jej twarzy sprowokował go do zadania pytania:

- Czy coś się stało?

- Ano, siostra tego chłopca wyszła niby to na spacer i do tych pór nie wróciła, a już się ściemnia!

Oliver zatrzymał się, jeszcze w płaszczu, aby powoli przetrwać tę niemiłą wiadomość.

- Kiedy wyszła? - próbował dowiedzieć się szczegółów.

- Zaraz po lunchu. I nawet nie najadła się porządnie, ledwo skubnęła to i owo jak ptaszek!

- Już jest wpół do piątej.

- No właśnie!

- A gdzie jest Jody?

- W pokoju dzieciennym. Z nim wszystko w porządku, zaniósłam mu tam podwieczorek.

- Ale dokąd ona mogła pójść? - Oliver zmarszczył czoło.

- Nie mówiła, dokąd. Powiedziała tylko, że idzie się przejść. - Na twarzy pocziwej niewiasty malował się niepokój. - Myśli pan, że mogło jej się coś stać?

- Nie zdziwiłbym się, gdyby tak było. Ta idiotka wiecznie pakuje się w kłopoty.

- Biedactwo!

- Żadne biedactwo, tylko postrzelona dziewczucha! - uciał brutalnie Oliver. Skierował się ku tylnym schodom wiodącym do pokoju dzieciennego, gdyż liczył, że dowie się czegoś od Jody'ego. W tym momencie zadzwonił telefon.

Pierwszą reakcją Olivera była radość, że telefony już działają. Natomiast pani Cooper złapała się za serce i jęknęła:

- Może to już policja...

- Miejmy nadzieję, że nie - uspokoił ją Oliver, ale szybciej niż zwykle pobiegł do biblioteki, gdzie znajdował się aparat telefoniczny.

- Tu Cairney, słucham! - powiedział burkliwie.

- Czy to posiadłość Cairney? - dopytywał się subtelny, kobiecy głosik.

- Tak, Oliver Cairney przy telefonie.

- Dobry wieczór panu, moje nazwisko Henderson, dzwonię z recepcji hotelu „Strathcorrie”.

Oliver zebrał się na odwagę, aby zadać dalsze pytanie:

- Tak, słucham?

- Jest u nas w tej chwili taka młoda pani. Przyjechała do swego brata, który pracował u nas...

Pracował? To ciekawe. Oliver zachęcał panią z drugiej strony drutu do dalszych wynurzeń, powtarzając:

- Tak?

- Ta pani mówiła, że chwilowo zatrzymała się w Cairney.

- Zgadza się.

- Wydaje mi się, że powinien pan po nią przyjechać, bo chyba coś z nią niedobrze. Zasnęła tu u nas i dostała... - to ostatnie słowo ledwo przeszło jej przez gardło, jakby to było coś nieprzyzwoitego - ...mdłości!

- A w jaki sposób dostała się do Strathcorrie?

- Powiedziała, że przeszła kawałek drogi piechotą, a potem podwiózł ją kierowca pługu śnieżnego.

To oznaczało, że przynajmniej szosa jest już oczyszczona!

- I gdzie ona teraz jest? - pytał dalej.

- Zaprowadziłam ją do łóżka, bo źle się czuła.

- Czy ona wie, że pani dzwoni do mnie?

- Uważałam, że lepiej jej o tym nie mówić.

- Więc niech pani nadal nic nie mówi, tylko proszę ją zatrzymać, dopóki nie przyjadę.

- Dobrze, proszę pana. Przepraszam, że pana niepokoję.

- Nic nie szkodzi. Bardzo dobrze, że pani zadzwoniła, bo to my zaczynaliśmy się o nią niepokoić. Dziękuję bardzo, przyjadę najprędzej, jak będę mógł.

Kiedy Oliver przybył na miejsce, Karolina spała, a właściwie drzemała, pogrążona w błogim stanie między snem a jawą. W miękkiej pościeli było jej ciepło i wygodnie, ale głos Olivera momentalnie wyrwał ją z miłego półsnu i przywrócił do rzeczywistości. Przypomniała sobie, że nieostrożnie zdradziła recepcjonistce chwilowe miejsce swego pobytu i była wściekła na siebie. Ponieważ jednak nie odczuwała już bólu, a drzemka nieco ją odświeżyła, była

gotowa na spotkanie z Oliverem. Kiedy wtargnął do niej bez pukania, z miejsca przyjęła postawę zaczepno - odporną.

- Doprawdy, niepotrzebnie się trudziłeś! Ze mną wszystko w porządku.

Usiadła na łóżku i wtedy zauważyła jego czarny krawat. Przypomniało jej to o tragicznej śmierci jego brata, więc zaczęła się pospiesznie usprawiedliwiać:

- Wszystko przez to, że szłam taki kawał drogi piechotą... No, może nie aż tak wielki, bo podwieźli mnie ci mili panowie z pługiem...

W odpowiedzi Oliver tylko zatrzasnął drzwi od wewnątrz i podszedł do jej łóżka, opierając się o jego mosiężną poręcz.

- Czy Jody przyjechał z tobą? - błyskawicznie zmieniła temat. - Moglibyśmy tu zostać, w tym hotelu są wolne pokoje. Poczekalibyśmy na Angusa, bo akurat wyjechał na kilka dni z jakąś Amerykanką...

- Zamknij dziób! - przerwał jej Oliver. Natychmiast umilkła, gdyż nikt dotąd nie odezwał się do niej takim tonem.

- Kazałem ci zostać w Cairney i czekać na mnie, prawda?

- Tak, ale nie mogłam.

- Dlaczego?

- Ponieważ Jody dowiedział się od pani Cooper, co się stało z twoim bratem. W takiej sytuacji uznałam, że nie mamy prawa siedzieć ci na karku.

- W tej chwili to nie ma już żadnego znaczenia - odrzekł szorstko Oliver. - Jak się teraz czujesz?

- Zupełnie dobrze.

- Ale zemdlałaś! - Zabrzmiało to w jego ustach jak oskarżenie. - Tak głupio wyszło. Nigdy mi się to jeszcze nie zdarzyło.

- Musisz się jednak liczyć z taką możliwością, jeśli nadal nie będziesz jeść jak człowiek. Teraz ubieraj się i jedziemy do domu.

- Przecież ci mówię, że zostaniemy tu i poczekamy na Angusa.

- Możesz czekać na Angusa w Cairney. - Oliver zdjął z poręczy krzesła jej czarną kurtkę.

- A może nie chcę jechać z tobą? - zbuntowała się Karolina. - Zmusisz mnie, czy co?

- A może byś tak nareszcie przestała myśleć tylko o sobie, a pomyślała też o tym, co czują inni? Pani Cooper już odchodziła od zmysłów, kiedy zamartwiała się, co mogło się z tobą stać.

Karolina odczuła pewne wyrzuty sumienia, więc szybko spytała:

- A Jody?

- Z nim wszystko dobrze. Zostawiłem go przed telewizorem. No, więc jak, jedziemy?

Karolina nie miała już innego wyjścia jak tylko wstać, pozwolić podać sobie kurtkę, wsunąć stopy w gumowce i posłusznie zejść na dół. Pani Henderson na dźwięk głosu Olivera wyszła ze swego biura i stanęła za pulpitem recepcyjnym jak usłużna ekspedientka za ladą.

- Ach, jak to dobrze, że pan odnalazł panią! - rozczuliła się, wychodząc do nich zza biurka. - Jakże się pani czuje, kochana?

- Już dobrze. Dziękuję! - powiedziała Karolina po pewnym namyśle, choć trudno jej było darować pani Henderson, że zadzwoniła do Olivera.

- Nie ma za co. A kiedy Angus wróci...

- ... powie mu pani, że jego siostra czeka na niego w Cairney - dokończył Oliver.

- Oczywiście. I cieszę się, że pani lepiej się czuje.

Podczas gdy Oliver jeszcze dziękował pani Henderson, Karolina skierowała się już do wyjścia. Po chwili oboje znaleźli się na zewnątrz i Karolina z poczuciem klęski wsiadła



do landrovera. Większą część drogi przebyli w milczeniu. Nadeszła wreszcie odwilż i śnieg na poboczach zamienił się w wodnistą breję, ale nawierzchnia szosy była prawie zupełnie czysta. Zachodni wiatr rozpędził chmury, ukazując płaty szafirowego nieba. Przez otwarte okno landrovera wpadał zapach wilgotnej ziemi i torfu. Znad obrzeżonego trzciną jeziora podrywały się do lotu kuliki. Od razu łatwiej było uwierzyć, że nagie drzewa wkrótce pokryją się pączkami i że nadchodzi już wyczekiwana wiosna.

Karolinie przypomniało to pamiętny wieczór w Londynie, kiedy Hugh wiózł ją do klubu „Arabella”. Wtedy też otworzyła okno samochodu, czuła powiew wiatru na włosach i marzyła, żeby znaleźć się gdzieś za miastem... Działo się to zaledwie trzy lub cztery dni temu, a wydawało się, jakby minął już wiek i jakby zdarzyło się to nie jej, lecz komu innemu.

Oczywista nieprawda, gdyż to właśnie ona, Karolina Cliburn, miała teraz na głowie setki nie rozwiązanych problemów. To ona musiała wrócić na czas do Londynu, zanim rozpętałaby się tam burza, a w przyszły wtorek to ona miała wyjść za Hugh'a Rashleya.

Taka była prawda, którą jeszcze bardziej uwiarygodniało wnętrze domu na Milton Gardens, pękające od prezentów ślubnych. W szafie wisiała już biała suknia, a wynajęci kelnerzy szykowali rozkładane stoły i adamaszkowe obrusy. Karolina wyobraziła sobie jeszcze kieliszki w kształcie baniek mydlanych, bukiet białych gardenii, strzelające w powietrze korki od szampana i sztamkowe teksty przemówień. Pozostawał jeszcze Hugh, troskliwy i uważający, który nigdy jeszcze nie podniósł na nią głosu, a już na pewno nie kazał jej zaniknąć dzioba...

To wspomnienie wciąż jątrzyło, toteż Karolina w duchu dała upust wszystkim swoim pretensjom. Miała żal do

Angusa, że akurat wtedy, kiedy go najbardziej potrzebowała, musiał ulotnić się w niewiadomym kierunku, asystując jakiejś amerykańskiej wdowie! Czuła też urazę do pani Henderson, usłużnej urzędniczki w okularach z diamentami, która musiała zawiadomić Olivera Cairneya w chwili, kiedy Karolina najmniej w świecie pragnęła jego interwencji! Największą pretensję żywiła jednak do samego Olivera, gdyż uważała, że ten zarozumiały facet przekroczył już granice zwykłej troski o gościa.

Tymczasem landrover piął się już pod górę aleją wiodącą do Cairney. Oliver wrzucił właściwy bieg, opony grzęzły w topniejącym śniegu, za to wewnątrz wozu panowała atmosfera naładowana elektrycznością. Karolina wołałaby już, żeby Oliver powiedział cokolwiek, bo nie mogła znieść jego milczącej dezaprobaty. Nie była też w stanie dłużej dusić w sobie urazy, więc całą złość wyładowała na nim.

- To śmieszne! - wycedziła lodowato.

- Co takiego? - odparł takim samym tonem.

- Cała ta sytuacja, w jakiej się znaleźliśmy.

- Nie znam sytuacji na tyle, aby się do niej ustosunkować.

Właściwie nie wiem nic poza tym, że zamieć śnieżna przywiała was pod mój dach.

- Reszta nic cię nie obchodzi! - warknęła Karolina bardziej opryskliwie, niż zamierzała.

- Obchodzi mnie tylko to, aby twój brat nie odczuł na swojej skórze skutków twoich idiotycznych pomysłów.

- Gdyby Angus był w Strathcorrie...

- A gdyby ciocia miała wąsy, toby był wujaszek - przerwał jej w pół zdania. - Faktem jest, że go tam nie było, a ty nie wyglądałaś na specjalnie zaskoczoną. Co to w ogóle za człowiek, ten twój brat?

Karolina puściła tę uwagę mimo uszu, co Oliver skwitował znaczącym tonem:

- Aha, rozumiem!

- Nic nie rozumiesz! - rozsierdziła się Karolina. - W ogóle nic o nim nie wiesz!

- Och, zamknij że się nareszcie! - Oliver po raz drugi stracił cierpliwość. Tego było już za wiele, więc Karolina odwróciła się do niego plecami i patrzyła teraz w okno. Tylko dlatego jej towarzysz nie zauważył łez, które zakręciły się jej w oczach.

Kiedy podjechali pod dom, było już prawie całkiem ciemno, tylko potężna bryła domu rysowała się w żółtym świetle padającym z okien. Oliver zaparkował landrovera przy samym wejściu i wysiadł, a Karolina niechętnie podążyła za nim. Przeszła obok niego obojętnie, kiedy przytrzymał drzwi i przepuścił ją przodem. Nawet na niego nie spojrzała, nadąsana jak dziecko, które ojciec zapędza do książki.

Na odgłos zamykanych drzwi natychmiast zjawił się Jody, jakby stanowiło to dla niego sygnał. Wybiegł im na spotkanie, lecz stanął jak wryty, gdy zobaczył tylko dwie osoby. Pozornie spokojny, powiódł spojrzeniem w stronę drzwi i zaraz zwrócił oczy z powrotem na Karolinę.

- Gdzie jest Angus? - zapytał bez żadnych wstępów. Najwidoczniej spodziewał się, że brat przyjedzie od razu z nimi. Karolina z żalem musiała wyprowadzić go z błędu.

- Nie zastaliśmy go tam.

Po chwili ciszy Jody wyrzucił z siebie, siląc się na obojętność:

- Więc nie znaleźliście go!

- Ależ on tam dalej pracuje, tylko akurat musiał wyjechać na kilka dni - pospieszyła z wyjaśnieniem Karolina, usiłując nadać swemu głosowi przekonujący ton. - Za dzień lub dwa ma być z powrotem. Nic takiego się nie stało.

- A pani Cooper mówiła, że zachorowałaś! - Jody wystąpił z następnym oskarżeniem.

- Wcale nie - szybko zaprzeczyła Karolina.

- Ale ona mówiła... Tu wtrącił się Oliver.

- Cały kłopot z twoją siostrą polega na tym, że nie chce słuchać dobrych rad i prawie nic nie je. - W jego głosie pobrzmiwało rozdrażnienie. Zdjął palto i przewieszając je przez poręcz schodów, dodał: - Gdzie jest pani Cooper?

- W kuchni.

- To leć do niej i powiedz, że przywiozłem Karolinę, zaraz położymy ją do łóżka, potem coś zje, a jutro wstanie zdrowa jak ryba.

Jody jeszcze się wahał, więc Oliver ustawił go we właściwym kierunku i lekko popchnął, powtarzając:

- No, leć szybko. Ręczę ci, że nie ma powodów do niepokoju.

Jody znikł za kuchennymi drzwiami, skąd dobiegł jego głos, przekazujący pani Cooper wszystkie informacje. Tymczasem Oliver zwrócił się do Karoliny i sztucznie słodziutkim tonem polecił:

- A teraz panienka grzecznie położy się do łóżeczka, a pani Cooper przyniesie jej kolacyjkę. Jasne?

Ton jego głosu wyzwolił w Karolinie dawną skłonność do przekory. Jeszcze w dzieciństwie potrafiła nieraz uprzeć się, dopóki nie postawiła na swoim. W ten sposób na przykład udało jej się, wbrew sprzeciwom Diany, wstąpić do szkoły teatralnej. Hugh wcześniej odkrył tę jej cechę charakteru i nauczył się kierować Karoliną na tyle dyskretnie, że nie zdawała sobie z tego sprawy.

Teraz też początkowo miała ochotę urządzić Oliverowi dziką scenę, ale to mocne postanowienie jakoś nie wytrzymało konfrontacji z łagodną stanowczością Olivera. Sama przed sobą usprawiedliwiała swoją uległość tym, że jest zanadto zmęczona, aby wdawać się w dyskusję. I rzeczywiście, spokój i odpoczynek w ciepłym łóżku stały się nagle tym, czego

najbardziej pragnęła. Bez słowa odwróciła się więc i zaczęła, krok za krokiem, wchodzić po schodach na górę, trzymając się poręczy.

Oliver mógł już wrócić do kuchni, gdzie pani Cooper szykowała kolację, a Jody mozolił się nad układanką odnalezioną wśród starych zabawek. Miał ułożyć obrazek przedstawiający staroświecki parowóz. Oliver przypomniał sobie, jak sam, z pomocą matki lub Charlesa, biedził się nad tą układanką. Nieraz spędzali w ten sposób deszczowe popołudnia, kiedy nie mogli bawić się na dworze.

- Świetnie ci idzie! - pochwalił Jody'ego, zaglądając mu przez ramię.

- Brakuje mi tego kawałka, na którym jest niebo i gałązka. Gdybym ją znalazł, mógłbym przyłączyć tamtą dużą część...

Oliver zaczął wspólnie z nim poszukiwać brakującego fragmentu. Pani Cooper, stojąc przy piecu, zadała tymczasem pytanie:

- Czy z panienką już wszystko w porządku? - Tak - odparł Oliver nie podnosząc wzroku. - Teraz poszła się położyć.

- Co jej się stało? - indagował Jody.

- Zrobiło się jej niedobrze.

- Och, jakie to okropne!

- Nic przyjemnego.

- Naszykowałam panience wazkę rosółu - zakomunikowała pani Cooper. - Kiedy człowiek źle się czuje, to lepiej, żeby zjadł coś takiego, co potem nie leży na żołądku.

Oliver zgodził się, że to dobry pomysł. Znalazł tymczasem zagubiony fragment układanki i podsunął go Jody'emu.

- Czy to to?

- O, właśnie! - ucieszył się chłopak. - Przez cały czas gapiłem się na ten kawałek i nie poznałem, że to ten! We dwójkę zawsze idzie łatwiej. Pomożesz mi jeszcze trochę?

- Najpierw chciałbym się wykąpać i napić się czegoś, potem zjemy razem kolację. A po kolacji spróbujemy to dokończyć.

- To była twoja układanka?

- Moja albo Charlesa, nie pamiętam.

- Jaki śmieszny pociąg!

- Parowozy były wspaniałe. Wydawały takie zabawne dźwięki!

- Tak, widziałem je na filmach.

Oliver wykąpał się, przebrał i szedł właśnie do biblioteki, aby nalać sobie drinka, gdy nagle przypomniał sobie, że miał przecież stawić się na kolacji w Rossie Hill. Okazało się, że zapomniał na śmierć o umówionym spotkaniu, mimo że jeszcze przy obiedzie rozmawiał o tym z Duncanem Fraserem! Najwidoczniej przyczyniły się do tego niespodziewane wydarzenia tego popołudnia.

Było już wpół do ósmej, a on zamiast smokingu ciągle jeszcze miał na sobie stary sweter i sprane, sztruksowe spodnie! Przez chwilę zastanawiał się, co ma teraz zrobić, lecz przed oczami stanął mu obraz Jody'ego. Mało tego, że chłopiec przez całe popołudnie cierpiał męki samotności i niepokoju, to jeszcze teraz Oliver miałby nie dotrzymać danej mu obietnicy wspólnego spędzenia wieczoru? To wpłynęło na ostateczną decyzję. Skierował się do biblioteki, gdzie znajdował się aparat telefoniczny. Podniósł słuchawkę i wykręcił numer Rossie Hill. Telefon odebrała Liz.

- Słucham.

- To ty, Liz?

- Ach, Oliver? Może chcesz powiedzieć, że się spóźnisz? Nic nie szkodzi, bo i tak nie wstawiłam jeszcze bażanta do pieca...

- Nie o to chodzi - przerwał jej. - Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że nie będę mógł przyjść.

- No wiesz... przecież tatuś mówił... - zaczęła, ale nagle zmieniła ton. - Może źle się czujesz?

- Nie, to nie to. Po prostu nie mogę przyjść... Kiedy indziej ci wszystko wyjaśnię.

- Mam nadzieję - wycedziła chłodno - że nie ma to nic wspólnego z tą dwójką młodych ludzi, którzy się u ciebie zatrzymali?

Olivera kompletnie zatkało. Przecież nie wspomniał Duncanowi ani słowem o Cliburnach, nie dlatego, żeby chciał to ukrywać, ale po prostu miał wiele ważniejszych spraw do omówienia.

- Skąd o tym wiesz? - wyjąkał.

- Cóż, plotki zdążyły już do nas dotrzeć. Zresztą nasza pani Douglas jest szwagierką waszego Coopera. Na wsi nic się nie ukryje!

Poczuł się nieco urażony, jakby posądzała go, że próbuje ją oszukać.

- Wcale tego nie ukrywam.

- Czy oni jeszcze są u ciebie?

- Tak.

- Muszę wpaść i przyjrzeć się im, bo to bardzo ciekawe! Puścił tę aluzję mimo uszu i zmienił temat.

- No więc jak, wybaczysz mi, że jestem tak źle wychowany i nie skorzystam z twego zaproszenia?

- Nic nie szkodzi, takie rzeczy zdarzają się w najlepszych rodzinach. Tym więcej bażanta zostanie dla nas. W takim razie może przyszedłbyś kiedy indziej?

- Chętnie, jeśli mnie zaprosisz.

- Już cię zapraszam - odrzekła żywo. - Kiedy tylko uporządkujesz swoje sprawy, po prostu zadzwoń.

- Z przyjemnością.

- No to cześć!

Chciał odpowiedzieć jej także „cześć!”, ale zanim otworzył usta, Liz już odłożyła słuchawkę.

Jasne, że była wściekła na niego i miała ku temu powody. Oliver z rozrzewnieniem myślał o elegancko nakrytym stole ze świecami, o bażancie i winie... Kolacje w Rossie Hill zawsze były uroczyście celebrowane. Zaklął po cichu, marząc, by ten ciężki dzień nareszcie się skończył! Nalał sobie whisky więcej niż zwykle, tylko z odrobiną wody sodowej. Machinalnie upił trochę i dopiero potem, pokrzepiony, poszedł szukać Jody'ego.

Nie zaszedł jednak daleko, bo w korytarzu natknął się na panią Cooper. Wracała od Karoliny niosąc tacę, przy czym minę miała taką, jakby coś ukrywała. Na widok Olivera przyspieszyła kroku, aby znaleźć się w kuchni przed nim.

- Czy coś się stało? - zapytał z niepokojem. Zatrzymała się, zwrócona plecami do drzwi, i poskarżyła się z rozpaczą w głosie:

- Ach, panie Oliverze, panienka nie chciała zjeść ani krzyny! - Istotnie, kiedy zajrzał pod pokrywkę wazki, z nie tkniętej zupy uniósł się obłok aromatycznej pary. - Robiłam, co mogłam, powiedziałam jej to, co pan kazał, ale nie tknęła ani odrobiny! Mówiła, że nie chce znowu dostać mdłości.

Oliver przykrył na powrót wazkę, postawił obok niej swoją szklanekę z whisky i zabrał całą tacę z rąk pani Cooper.

- Już ja się tym zajmę! - zapowiedział, zapominając o zmęczeniu. W tej chwili rozsadzała go przede wszystkim złość, toteż przeskakując po dwa stopnie naraz, wbiegł na piętro i bez pukania wpadł do gościnnego pokoju. Zastał Karolinę leżącą na podwójnym, małżeńskim łożu, poduszki rozrzucone po podłodze, a wszystko to oświetlała nocna lampka z różowym abażurem.

Ten widok jeszcze bardziej go rozdrażnił. Mało tego, że ta postrzelona dziewczucha zwała mu się na kark nie wiadomo



skąd, przewróciła do góry nogami całe jego dotychczasowe życie i popsuła mu dobrze zapowiadający się wieczór, to jeszcze demonstracyjnie odmawia posiłków, doprowadzając wszystkich w tym domu do szału! Przymaszerował przez cały pokój i postawił tacę na nocnym stoliku z takim impetem, że aż zatrzęsała się lampka i podskoczyła szklanka z whisky.

Karolina, leżąc na wznak w łóżku, przyglądała mu się z szeroko rozwartymi oczyma. Jej rozsypane wokół głowy włosy przypominały pasma kremowego jedwabiu. Oliver nie odezwał się ani słowem, tylko pozbierał z podłogi poduszki i podciągnął Karolinę do pozycji siedzącej, podpierając ją poduszkami jak szmacianą lalkę. Obserwowała jego poczynania, wydymając wargi jak rozkapryszone dziecko. Oliver tymczasem wziął z tacy serwetkę i zawiązał ją Karolinie pod brodą takim ruchem, jakby chciał ją udusić. Potem zdjął pokrywkę z wazki z zupą...

- Jeśli zmusisz mnie do jedzenia, mogę zaraz to wszystko zwrócić! - ostrzegła go dobitnie.

- Tylko spróbuj, to cię spiore! - zagroził Oliver sięgając po łyżkę.

- Teraz czy potem? - wycedziła z gryzącą ironią.

- I teraz, i potem. No, otwieraj buzię!

Posłuchała, choć bardziej ze zdziwienia niż z innych powodów. Po pierwszej łyżce trochę ją mdliło, więc spojrzała na Olivera z wyrzutem, na co on ostrzegawczo uniósł brwi. Za pierwszą łyżką poszła druga i dalsze. Przy czwartej Karolina miała już oczy pełne łez. Spływały jej po policzkach, kiedy Oliver bez litości wmuszał w nią rosół. Zanim go zjadła, była już cała zalana łzami. Oliver jednak bez cienia współczucia odstawił pustą wazkę na tacę i zauważył sucho:

- Jakoś nie zrobiło ci się niedobrze!

Karolina zamiast komentarza wydała z siebie tylko głęboki szloch. To rozbroiło Olivera - kiedy już wyładował

pierwszą złość, cała ta historia zaczęła go raczej bawić. Wszelkie stresujące wydarzenia tego dnia potrafił już sprowadzić do właściwych wymiarów, więcej nawet, zaczął dostrzegać także pozytywy sytuacji, w której się znalazł. Oto siedział sobie wygodnie przy nastrojowym świetle różowej lampki, a przed sobą miał ładną dziewczynę, której w końcu zdołał narzucić swoją wolę... Zdjął z szyi Karoliny serwetkę i wsunął jej do ręki.

- Możesz w to wytrzeć nos - poradził.

Karolina spojrzała na niego z wdzięcznością. Osuszyła serwetką oczy i policzki, po czym energicznie wytarła w nią nos. Do jej policzka przyłgnęło mokre od łez pasemko włosów. Oliver sięgnął ręką, aby je przygładzić i odgarnąć za ucho.

Ten spontaniczny gest wywołał całą reakcję łańcuchową. Pierwszym odczuciem Karoliny było zdziwienie, a następnym - ulga. Najzwyczajniej w świecie przytuliła się do Olivera, przyciskając czoło do szorstkiej wełny jego swetra. On zaś bez namysłu otoczył ją ramionami i przygarnął do siebie, dotykając podbródkiem jej jedwabistych włosów. Trzymając ją w objęciach, wyczuwał jej drobne kości, słyszał bicie jej serca.

- Chyba jednak powinnaś opowiedzieć mi wszystko od początku - zachęcił.

Karolina potwierdziła kiwnięciem głowy, opierając ją z powrotem o jego pierś, i przytłumionym głosem powiedziała:

- Chyba rzeczywiście tak.

Wróciła myślą do miejsca, gdzie wszystko się zaczęło - do greckiej wyspy Aphros.

- Przeprowadziliśmy się tam po śmierci mojej matki. Jody był jeszcze mały, ale nauczył się mówić po grecku szybciej niż po angielsku. Ojciec był architektem, ale przeniósł się na Aphros w momencie, kiedy wielu Anglików, zauroczonych tą

wyspą, pragnęło się tam osiedlić. Toteż wkrótce przekwalifikował się na pośrednika handlu nieruchomościami, a nas posyłał do szkół na miejscu, bo nie stać go było na kształcenie nas w Anglii. Może Angus byłby inny, gdyby wychowywał się w kraju...

Przerwała, próbując przypomnieć sobie dodatkowe okoliczności usprawiedliwiające postępowanie Angusa.

- Ojciec zostawiał nam zupełną swobodę, nigdy nas nie kontrolował, bo wiedział, że nic nam nie grozi. Dlatego Angus właściwie chował się sam, przesiadując wśród rybaków na ich łodziach. Kiedy skończył szkołę, nawet nie myślał o podjęciu pracy. Po prostu został tam, gdzie był. Wtedy pojawiła się Diana.

- Twoja macocha?

- Tak. Właściwie chciała nabyć posiadłość na wyspie za pośrednictwem mojego ojca, ale gdy go poznała - skończyło się tym, że za niego wyszła.

- Czy to coś zmieniło?

- Dla Angusa nic, ale dla Jody'ego i dla mnie - bardzo dużo.

- Ale polubiliście ją?

- Ja tak. - Karolina, mówiąc to, skrupulatnie składała kant prześcieradła, jakby starała się dokładnie wykonać polecenie Diany. - Jody właściwie też, ale z Angusem była zupełnie inna sprawa. Był już zbyt dorosły, aby dać sobą manipulować, a ona znów za chytra, aby próbować. Do zasadniczej konfrontacji doszło dopiero po śmierci ojca. Diana zażądała wtedy, abyśmy wszyscy przenieśli się do Londynu, ale Angus odmówił. Nie pozostał także na Aphros, tylko kupił używany samochód i wyruszył w podróż do Indii, przez Turcję i Syrię. Z nami utrzymywał kontakt tylko za pośrednictwem widokówek przysyłanych z różnych egzotycznych krajów.

- Wyście natomiast wrócili do Londynu?

- Tak, i do dziś tam mieszkamy, w domu Diany na Milton Gardens.

- Co wtedy zrobił Angus?

- Raz przyjechał do nas, ale skończyło się to tylko kłótnią z Dianą. Oświadczył jej bowiem, że nie zetnie włosów, nie zgoli brody ani w żaden sposób nie dostosuje się do jej modelu życia. Tymczasem Diana ponownie wyszła za męża, za swego dawnego przyjaciela, Shauna Carpentera.

- Co to za jeden?

- Bardzo porządny człowiek, ale brak mu siły woli, aby przeciwstawić się Dianie. Ona manipuluje nami wszystkimi, jak chce, ale tak dyskretnie i taktownie, że nie rzuca się to w oczy.

- A jak ty dawałaś sobie z tym radę?

- Udało mi się, mimo sprzeciwów Diany, wstąpić do szkoły teatralnej. - Okrasiała to zdanie lekkim półuśmieszkiem.

- Diana bała się, żebym nie stała się Lipską lub narkomanką i nie poszła w ślady Angusa.

- I co, rzeczywiście do tego doszło? - roześmiał się Oliver.

- Nie, ale Diana przepowiadała także, że nie wytrwam przy tej decyzji, i w tym miała rację. Ukończyłam wprawdzie tę szkołę, zaczęłam nawet grać w teatrze, ale... - Urwała, lecz w oczach Olivera dostrzegała tylko życzliwość i zrozumienie. Wyjątkowo dobrze nadawał się na powiernika. Wprawdzie przez cały miniony dzień traktował ją jak idiotkę, czuła jednak, że nie nazwie jej głupią tylko dlatego, iż niewłaściwie ulokowała swe uczucia. - ...nieszczęśliwie się zakochałam. Byłam naiwna, gdyż wydawało mi się, że i on mnie kocha. Aktorzy jednak myślą przede wszystkim o własnej karierze, toteż i on porzucił mnie, kiedy nadarzyła mu się okazja. Może słyszałeś o nim, nazywa się Drennan Colefield i zdobył ostatnio spory rozgłos?

- Rzeczywiście, znam to nazwisko.

- Później ożenił się z francuską aktorką i chyba przeniósł się do Hollywood, gdzie nakręcił masę filmów. Po tym zawodzie miłosnym długo nie mogłam dojść do siebie, a kiedy jeszcze rozchorowałam się na zapalenie płuc - dałam sobie spokój z aktorstwem.

Znów zaczęła nerwowo składać kant prześcieradła, toteż Oliver zachęcił ją do dalszych zwierzeń.

- A kiedy Angus pojawił się w Szkocji?

- Jakiś tydzień lub dwa tygodnie temu Jody dostał od niego list, ale dopiero w ostatnią niedzielę powiedział mi o tym.

- Dlaczego tak koniecznie chcieliście się z nim zobaczyć?

- Ponieważ Diana i Shaun chcą już niedługo wyjechać do Kanady i zabrać Jody'ego ze sobą. Tylko że Jody wcale nie chce tam jechać, choć krępował się powiedzieć to Dianie wprost. Wobec mnie natomiast był szczery i prosił, abym zabrała go do Szkocji, gdzie mógłby odnaleźć Angusa. Wmówił sobie, że Angus zgodzi się wrócić do Londynu i stworzyć dla niego dom, aby nie musiał wyjeżdżać do Kanady.

- Uważasz, że to prawdopodobne? - Nie bardzo - wyznała szczerze Karolina. - Ze względu na Jody'ego chciałam jednak spróbować.

- A czy Jody nie mógłby zostać z tobą?

- Nie.

- Dlaczego?

- Diana nie zgodziłaby się na to - odparła wymijająco. - Z Angusem to co innego, bo on już ma dwadzieścia pięć lat i gdyby chciał zaopiekować się Jodym, Diana nie miałaby nic do gadania.

- Aha, rozumiem.

- Dlatego wyruszyliśmy w tę podróż. Samochód pożyczaliśmy od starego znajomego naszego ojca, jeszcze z czasów Aphros, który teraz wynajmuje mieszkanie na terenie posesji Diany w Londynie. Wprawdzie darzy Dianę sympatią, ale nie aprobeuje jej bezustannej ingerencji w nasze życie. Dlatego zgodził się udostępnić nam wóz pod warunkiem, że poinformujemy go, dokąd się wybieramy.

- Ale Diany o tym nie poinformowaliście?

- Zostawiliśmy jej liścik z ogólnikową informacją, że będziemy w Szkocji. Nie mogliśmy podać żadnych szczegółów, bo Diana byłaby zdolna wysłać za nami pościg.

- Pewnie teraz niepokoi się o was?

- Chyba tak, ale obiecaliśmy, że w piątek będziemy z powrotem.

- Jeśli Angus do tej pory nie wróci, to nie będziecie.

- Wiem o tym.

- Czy nie uważasz, że wypadałoby zadzwonić do Diany?

- Och, nie, przynajmniej jeszcze nie teraz. Ze względu na Jody'ego.

- Ależ na pewno by was zrozumiała!

- Może częściowo, ale nie do końca. Gdyby Angus miał inny charakter, to prędzej... - Głos jej zawisł w próżni.

- No więc co robimy? - spróbował podsumować Oliver. Ujęło ją, że użył zwrotu „my”.

- Nie wiem - odpowiedziała w pierwszym porywie, ale nie miała już tak zdesperowanej miny. Potem dorzuciła z nadzieją w głosie: - Czekamy? - Jak długo?

- Do piątku. Jeżeli do tej pory Angus nie wróci - zadzwonię do Diany i odjedziemy do Londynu, przyrzekam!

Oliver po dłuższym namyśle zgodził się, acz niechętnie.

- Co nie znaczy, że to aprobeuję! - podkreślił.

- To nic nowego! - roześmiała się Karolina. - Dezaprobata wprost bije z ciebie, odkąd zjawiliśmy się w twoich progach.

- Przyznaj, że nie bez powodu.
  - Zdecydowałam się pojechać do Strathcorrie tylko dlatego, że dowiedziałam się o śmierci twojego brata. Po prostu miałam wyrzuty sumienia, że weszliśmy ci w paradę, kiedy przeżywasz takie ciężkie chwile.
  - Teraz nic nie przeżywam, bo już jest po wszystkim.
  - I co masz zamiar robić dalej?
  - Sprzedam Cairney i wracam do Londynu.
  - Czy to nie smutne?
  - Smutne, ale świat się na tym nie kończy. W moim umyśle pozostanie na zawsze taki obraz Cairney, jaki zapamiętałam. Mam przy tym na myśli nie tyle dom, ile raczej miłe chwile, które tu spędziłem. Zachowam je w pamięci do późnej starości.
  - Czymś takim dla Jody'ego i dla mnie jest Aphros - powiedziała Karolina. - Wszystkie miłe wspomnienia kojarzą mi się z tym miejscem. Przypominają mi o nim zarówno słońce, jak i białe domki, błękitne niebo, wiatr od morza, zapach sosen i pelargonie w donicach. A czy twój brat był podobny do ciebie?
  - Był chyba najsympatyczniejszym chłopakiem pod słońcem, ale równocześnie moim zupełnym przeciwieństwem.
  - To znaczy, jaki był?
  - Rudy i zapracowany po łokcie. Dobry rolnik i porządny człowiek.
  - Gdyby Angus był taki, wszystko ułożyłoby się inaczej.
  - Gdyby Angus choć trochę przypominał mojego brata, nie musiałabyś jeździć za nim do Szkocji. Wtedy nie trafiłabyś do Cairney i nigdy byśmy się nie spotkali.
  - Czy to byłoby aż tak źle?
  - Ominęłoby mnie wtedy cenne doświadczenie życiowe.
- Razem zanieśli się zdrowym śmiechem. Ten wybuch wesołości przerwało dopiero pukanie do drzwi.

- Proszę! - zawołała Karolina. Drzwi otworzyły się i Jody wsunął głowę w szparę. - Ach, to ty, Jody!

- Oliverze, pani Cooper prosiła, żeby ci powtórzyć, że kolacja już gotowa - zaanonsował, wchodząc do pokoju.

- O rany, to już tak późno? - Oliver spojrział na zegarek. - Rzeczywiście. Zaraz idę.

Jody zwrócił się teraz do Karoliny.

- Już się lepiej czujesz?

- Tak, dużo lepiej.

Oliver wstał, zabrał pustą tacę i poszedł z nią ku drzwiom.

- Jak ci idzie układanka? - spytał po drodze.

- Trochę jeszcze ułożyłem, ale nie za dużo.

- Będziemy siedzieć nad nią przez całą noc, dopóki nie skończymy - obiecał. Następnie polecił Karolinie: - A ty spróbuj zasnąć. Do zobaczenia jutro rano.

- Dobranoc! - dodał od siebie Jody.

- Dobranoc, Jody - odpowiedziała.

Kiedy obaj już wyszli, Karolina zgasiła nocną lampkę. Teraz pokój oświetlał tylko blask gwiazd widocznych przez otwarte okno i nie do końca zaciągnięte zasłony. Gdzieś daleko nawoływał kulik i wiatr szumiał w koronach sosen. Karolina już prawie zasypiała, lecz przedtem zdążyła jeszcze uświadomić sobie dwie ważne sprawy.

Przede wszystkim dopiero teraz dotarło do niej, że romans z Drennanem Colefieldem należy już do przeszłości. Mogła spokojnie mówić o nim i wspominać to nazwisko nie poddając się jego urokowi. Czar prysł i ostatecznie uwolniła się od niego, jakby zrzuciła z ramion wielki ciężar.

Druga prawda wprawiła ją w pewne zakłopotanie. Opowiedziała przecież Oliverowi o wszystkim z wyjątkiem tego, że ma poślubić Hugh'a. Z niewiadomego powodu nie była w stanie nawet wspomnieć o jego istnieniu. Z pewnością musiał istnieć jakiś powód, bo przecież wszystko w świecie



ma przyczynę... Zanim jednak Karolina zdążyła się nad tym zastanowić - zasnęła.

## Rozdział 6

Następny dzień był pierwszym dniem kwietnia, a zarazem i wiosny. Wiatr nagle ustał, na bezchmurnym niebie pojawiło się słońce, barometr poszedł w górę i słupek rtęci w termometrze też. W powietrzu unosił się zapach świeżej ziemi, śnieg stopniał, a spod niego wystrzeliły pąki przebiśniegów i krokusów. Tam, gdzie rosły buki, zakwitły też żółte podbiały. Ptaki śpiewały na całe gardło, a ludzie otwierali drzwi na oścież, aby wpuścić do mieszkań ciepłe powietrze, i na gwałt zabierali się do wiosennych porządków.

Około dziesiątej rano w Rossie Hill zadzwonił telefon. Duncana Frasera nie było w domu, a Liz przebywała akurat w chłodni, gdzie przechowywano kwiaty, i wybierała żonkile i baze wierzbowe na bukiet. Na dźwięk dzwonka odłożyła sekator, wytarła ręce i poszła podnieść słuchawkę.

- Słucham?

- Elizabeth, kochanie!

Dzwoniła z Londynu jej matka, najwyraźniej oczekując pomyślnych wiadomości. Liz nie ucieszyła się tym zbyt, gdyż nie była tego ranka w najlepszym humorze. Zbyt boleśnie odczuła zawód, jaki sprawił jej Oliver, wymawiając się od udziału we wczorajszej kolacji.

Elaine Haldane nie mogła wszakże o tym wiedzieć! Niby sumitowała się, a w środku aż kipiała z ciekawości.

- Kochanie, wiem, że nie wypada dzwonić o tej porze, ale muszę się dowiedzieć, jak ci poszło. Wiem, że ty byś pierwsza nigdy do mnie nie zadzwoniła, więc mów, jak udała się kolacja.

- Nie było żadnej kolacji - odpowiedziała Liz z rozgoryczeniem w głosie, przysuwając sobie krzesło.

- Jak to nie było?

- Zwyczajnie, Oliver w ostatniej chwili zadzwonił i przeprosił, że nie będzie mógł przyjść.

- Aleś mnie rozczarowała! Nie mogłam się już doczekać twojej relacji. Tak się na to cieszyłaś! - Odczekała chwilkę, a ponieważ w słuchawce panowała cisza, dodała: - Pokłóciliście się, czy co?

- Ależ skąd! - Liz zaśmiała się krótko. - Po prostu nie miał czasu. Myślę, że jest teraz bardzo zajęty. Wczoraj jadł z ojcem lunch i przez cały czas rozmawiali tylko o interesach. A propos, ojciec chce kupić Cairney.

- Przynajmniej będzie miał się czym zająć! - przycięła złośliwie Elaine. - Biedny Oliver przeżywa teraz ciężkie chwile. Musisz być dla niego szczególnie cierpliwa i wyrozumiała.

Liz jednak nie chciała już więcej poruszać tematu Olivera. Wolą rozmawiać o czym innym.

- A co tam słyhać w eleganckim świecie?

- Różne ciekawe rzeczy. Zostajemy tu jeszcze przez jakiś tydzień czy dwa, bo Parker przyjmuje delegację straży pożarnych z Nowego Jorku. Miło jest spotykać się z ludźmi i posłuchać ploteczek... Aha, przecież muszę ci powtórzyć największą sensację!

Liz wyczuła, że matka ma zamiar uraczyć ją najbardziej pikantnymi plotkami, co oznaczało, że rozmowa potrwa przynajmniej dziesięć minut. Sięgnęła więc po papierosa.

- Pamiętasz Dianę i Shauna Carpenterów? - zaczęła Elaine. - No więc dwójka pasierbów Diany gdzieś znikła! Masz pojęcie, jakby się pod ziemię zapadli! Zostawili tylko liścik informujący, że udają się do Szkocji, aby odnaleźć drugiego brata, Angus, takiego zwariowanego hipisa. W swoim czasie Diana miała z nim krzyż pański, bo uparł się, że musi wyjechać do Indii w poszukiwaniu prawdy. Wtedy pełno było takich jak on. I raptem, ni z tego, ni z owego, musiał się objawić akurat w tej nudnej Szkocji! Wiesz, ta Karolina też zawsze wydawała mi się jakaś dziwna. Kiedyś próbowała

zostać aktorką, ale oczywiście nic z tego nie wyszło. Jednak nawet po niej nie spodziewałabym się, że wpadnie na taki pomysł.

- A co na to Diana?

- Cóż ona może zrobić, kochanie? Przecież nie zawiadomi policji, bo wywołałoby to skandal. Wprawdzie chłopiec jest jeszcze dzieckiem, ale dziewczyna jest pełnoletnia i teoretycznie może się nim zająć. Tego by jeszcze brakowało, żeby cała historia dostała się do prasy! Hugh ma na to zbyt wysoką pozycję zawodową, a jeszcze we wtorek bierze ślub.

- Z kim?

- No, przecież z Karoliną! - zdenerwowała się Elaine, jakby jej córka niczego nie pojmowała. - Karolina wychodzi za Hugh'a Rashleya, brata Diany! Ślub ma się odbyć we wtorek, w poniedziałek próba generalna, a tymczasem panna młoda gdzieś przepadła. Nie uważasz, że to kompletna wariatka?

- Nie wiem, bo w życiu jej nie widziałam.

- Rzeczywiście, jak mogłam o tym zapomnieć! W każdym razie zawsze wydawało mi się, że jest zaprzyjaźniona z Dianą, więc nie przypuszczałam, że będzie w stanie wyciąć jej taki numer. Mam nadzieję, że ty mi nigdy czegoś podobnego nie zrobisz, prawda? Wyjdiesz za męża jak trzeba i za odpowiedniego człowieka. Nie będę wymieniać nazwiska, ale wiesz, o kogo chodzi, prawda? No, muszę już kończyć, bo mam umówioną wizytę u fryzjera. A Oliverem się nie przejmuj, tylko bądź dla niego miła, to na pewno wszystko pójdzie dobrze. I wracaj szybko, bo tęsknię za tobą!

- Dobrze, mamo.

- Pa, kochanie! - Po krótkim namyśle dodała jeszcze bez przekonania: - I pozdrów ode mnie ojca!

Tego samego dnia Karolina odpoczywała, wyciągnięta wygodnie wśród wrzosów, wygrzewając się w ciepłe słońca i

osłaniając ramieniem oczy przed jego oślepiającym blaskiem. Wyłączyła tym sposobem zmysł wzroku, przez co wszystkie pozostałe wyostrzyły się co najmniej dwukrotnie. I tak, jej słuch wychwytywał nawoływania kulików, oddalone krakanie kruka, plusk wody i szum ledwo uchwytnego wietrzyka. Węch z kolei rejestrował czyste zapachy śniegu i wody oraz wilgotne opary świeżej ziemi i torfu. Na skórze swojej dłoni Karolina czuła dotyk zimnego nosa suki Lisy, która leżała przy niej.

Obok siedział Oliver, paląc papierosa i obserwując wysiłki Jody'ego w łodzi wiosłowej na środku jeziora. Chłopak zmagał się z parą wioseł o wiele dla niego za dużych. Co jakiś czas rozlegał się donośny plusk. Wtedy Karolina unosiła głowę i sprawdzała, co jest jego źródłem - czy Jody po prostu zbyt głęboko zanurzył wiosła, czy też wiosłuje w kółko. Kiedy stwierdzała, że na pewno się nie topi, kładła się z powrotem i zamykała oczy.

- Gdybym nie kazał mu założyć kamizelki ratunkowej, na pewno biegałabyś po brzegu jak wystraszona kura! - zauważył Oliver.

- Nie, tylko razem z nim pływałabym łódką - odparowała Karolina.

- Wtedy utopilibyście się oboje.

Łodygi wrzosu uwierały ją w plecy, a po ramieniu łaził jakiś owad. Karolina strząsnęła go i usiadła, krzywiąc się od oślepiającego blasku słońca.

- Aż trudno w to uwierzyć! - stwierdziła. - Dwa dni temu znajdowaliśmy się z Jodym w samym centrum zamieci śnieżnej, a dziś już taka wiosna!

I rzeczywiście, w czystej i spokojnej tafli jeziora odbijało się niebo, błękitne jak w lecie. Przy brzegach jeziora rosły trzciny, a dalej rozciągały się pofalowane wrzosowiska, zwieńczone sterczącą skałką. W dali widniały sylwetki

pasących się owiec, których monotonne beczenie niosło się w ciszy poranka. Jody wiosłował dzielnie, choć twarz mu poczerwieniała, a włosy sterczały na wszystkie strony - w każdym razie łódź przy wtórze skrzypiących wiosł w dulkach posuwała się naprzód.

- Nawet nie wiedziałam, że to takie piękne miejsce - rozmarzyła się Karolina.

- Teraz zaczyna się najpiękniejszy okres, kiedy buki okrywają się liśćmi, a z ziemi wystrzelają żonkile. Potem, zanim się człowiek obejrzy, od razu robi się lato. A drugi piękny okres przypada na październik, kiedy liście na drzewach przybierają wszystkie odcienie żółci i czerwieni. Niebo jest wtedy ciemnoszafirowe, a wrzosa liliowe.

- Czy nie będzie ci tego wszystkiego brakować?

- Na pewno będzie, ale nic na to nie poradzę.

- Chcesz sprzedać ten majątek? - Tak.

- Masz już kupca?

- Tak, sąsiada, Duncana Frasera. Mieszka po drugiej stronie doliny, ale stąd nie widać jego domu, bo zasłaniają go sosny. Chce kupić samą ziemię, bo graniczy z jego polami i dla niego będzie to tylko kwestia zaorania miedzy.

- A co zrobisz z domem?

- Sprzedam go oddzielnie. Muszę jeszcze naradzić się z prawnikiem i właśnie w tej sprawie jadę dziś po obiedzie do Relkirk.

- Nie zatrzymasz dla siebie nawet działki?

- Aleś się uczepiła tego tematu!

- Bo słyszałam, że mężczyźni zazwyczaj bardzo się przywiązują do miejsca i tradycji.

- Może i ja jestem do tego przywiązany.

- Ale jakoś nie przeszkadza ci, że mieszkasz w Londynie.

- Chwalić Boga, nie. Nawet to lubię.

- A czym się zajmujesz?

- Pracuję w firmie „Bankfoot i Balcarries”. Jeśli nie wiesz, co to za firma, podpowiadam ci, że to jedno z największych biur konsultingu przemysłowego w naszym kraju.

- Gdzie mieszkasz w Londynie?

- Mam mieszkanie tuż przy Fulham Road.

- To całkiem blisko nas! - I pomyśleć, że mieszkali tak niedaleko od siebie, a nigdy dotąd się nie spotkali! - Jakie to zabawne, że trzeba aż pojechać do Szkocji, żeby spotkać tam sąsiada! Ładne to mieszkanie?

- Mnie się podoba.

Karolina spróbowała wyobrazić je sobie, ale nic z tego nie wyszło. W myślach nie widziała Olivera gdzie indziej niż w Cairney.

- Duże czy małe? - indagowała dalej.

- Raczej duże. Zajmuję cały parter starego domu.

- Jest tam jakiś ogród?

- Tak, choć rządzi w nim głównie kot sąsiada. Mam duży salon, kuchnię, w której także jadam, dwie sypialnie i łazienkę. Czyli wszystkie wygody z wyjątkiem garażu, więc muszę przez okrągły rok parkować samochód pod chmurką. Co jeszcze chciałabyś wiedzieć?

- Już nic.

- Może interesuje cię kolor zasłon? Ten odcień nazywa się chyba „Ostatnie tchnienie słonia”... - Aby zmienić temat, zwinął obie dłonie w trąbkę przy ustach i krzyknął, aż głos niósł się po wodzie jeziora: - Hej, Jody!

Chłopiec przestał wiosłować i rozejrzał się dokoła. Wiosła trzymał wysoko, by ociekły z wody.

- Myślę, że dosyć na dzisiaj. Płyn teraz do mnie.

- Dobrze.

- No to dawaj... lewym mocniej... lewym, głuptasie! O, tak, dobrze!

Sam wstał i przeszedł na molo, do którego powoli, z pluskiem zbliżała się łódź. Złapał rzuconą cumę i pociągnął ją wzdłuż mola. Jody, promieniejąc radością, wyrzucił z łodzi ciężkie wiosła, które Oliver od niego odebrał i następnie przywiązał cumę. Wtedy chłopak wygramolił się na brzeg i skierował w stronę Karoliny, która z przerażeniem dostrzegła, że jego dżinsy i adidasowe buty ociekają wodą. Mimo to był bardzo z siebie zadowolony.

- Świetnie ci szło - pochwaliła Karolina.

- Poszłoby jeszcze lepiej, gdyby te wiosła nie były takie długie - zapewniał Jody, szarpiąc się z troczkami kamizelki ratunkowej. W końcu ściągnął ją przez głowę i podzielił się z siostrą innymi spostrzeżeniami. - Wiesz, właśnie myślałem sobie, jakby to było cudownie, gdybyśmy tu zostali na zawsze. Tu jest chyba wszystko, o czym można zamarzyć!

Karolina przez całe dzisiejsze przedpołudnie też nie mogła się opędzić od takich myśli, choć próbowała sama sobie wybić z głowy te głupstwa. Jody'ego też ofuknęła, żeby nie gadał głupstw, a w jej głosie zabrzmiało takie zniecierpliwienie, że aż się zdziwił.

Tymczasem Oliver owinął linę wokół pachołka cumowego, zarzucił sobie wiosła na ramię i zaniósł do zdezelowanego hangaru. Jody poszedł z nim, aby zostawić tam również kamizelkę ratunkową. Potem obaj - wysoki, młody mężczyzna i piegowaty chłopiec - zamknęli spalone drzwi szopy i wrócili po Karolinę. Szli po sprężystej murawie, mając za plecami słońce odbijające się w tafli jeziora.

- Wstawaj! - zarządził Oliver, podając Karolinie rękę. Lisa też zerwała się na nogi i radośnie merdała ogonem w oczekiwaniu dalszego przyjemnego spaceru. - Przecież miała to być wycieczka krajoznawcza, tymczasem tylko Jody się ruszał, a myśmy siedzieli i się przyglądali.

- To gdzie teraz pójdziemy? - chciał wiedzieć Jody.



- Tu niedaleko, za zakrętem, jest coś, co chciałbym wam pokazać.

Poszli więc za nim gęsiego ścieżką wydeptaną przez owce wzdłuż brzegu jeziora. W którymś miejscu brzeg wznosił się wyżej i wąska niecka jeziora tworzyła zakręt. Przy samym jego końcu stała samotna chatka.

- Czy to to, co chciałeś nam pokazać? - zainteresował się Jody.

- Tak.

- Ależ to zupełna ruina!

- Wiem, bo przez całe lata stała nie zamieszкана. Charles i ja bawiliśmy się tutaj, kiedy byliśmy mali. Raz nawet rodzice pozwolili nam tu przenocować...

- A kto tu mieszkał przedtem?

- Nie wiem, może owczarz albo dzierżawca... Te ścianki zostały po zagrodach dla owiec, a w ogródku rośnie jarzębina. Dawniej ludzie na wsi często sadzili przed domami drzewka jarzębiny, bo wierzyli, że przynoszą szczęście.

- Jak wygląda taka jarzębina?

- Ma pierzaste listki i czerwone jagody jak ostrokrzew. Z bliska domek zbudowany z solidnego kamienia wyglądał dużo lepiej, niż się wydawało na początku. Choć dach przeżarła rdza, a drzwi zwisały smętnie na jednym zawiasie - kiedyś musiał prezentować się całkiem okazale. Położony był malowniczo, w załomie wzgórza, a z frontu zachowały się jeszcze resztki ogródka, otoczonego kamiennym murkiem, i ślad ścieżki.

Weszli do środka przez niskie drzwi, w których Oliver musiał schylić głowę. Cały parter zajmowało tylko jedno pomieszczenie - teraz znajdował się tu jedynie zardzewiały, żelazny piecyk i połamane krzesło. Na podłodze widniały resztki jaskółczego gniazda, a sama podłoga była popękana i upstrzona ptasimi odchodami. W promieniach słońca unosiły

się drobinki kurzu. W rogu pokoju stała spróchniała drabinka prowadząca na pięterko.

- No, proszę, atrakcyjny, wolno stojący, piętrowy budynek - żartował Oliver. - Kto wchodzi na górę?

- Ja nie! - oświadczył od razu Jody. Wstydził się przyznać, że bał się pajaków. - Wychodzę do ogrodu, bo chcę się przyjrzeć tej jarzębinie. Chodź, Lisa, idziemy!

Karolina i Oliver sami więc wspięli się po drabince, w której brakowało więcej szczebli, niż się jeszcze trzymało. Dostali się po niej na strych, gdzie przez dziury w dachu wpadało światło słoneczne. Deski podłogi były popękane i zbutwiałe, ale legary, na których się wspierały - jeszcze mocne. Pośrodku pomieszczenie było na tyle wysokie, że Oliver mógł się wyprostować, ale i tak czubkiem głowy prawie sięgał do górnej płatwi.

Karolina wysadziła głowę przez otwór w dachu i dojrzała stamtąd Jody'ego huśtającego się na gałęzi jarzębiny. Z góry widziała także poszarpaną linię brzegową jeziora, pierwszą zieleń na polach i pasące się krowy, z tej odległości przypominające biało - brązowe zabawki. W dalszej perspektywie przebiegała główna szosa. Cofnęła głowę do wewnątrz i odwróciła się w stronę Olivera. Wyglądał zabawnie z pajęczyną przyklepioną do podbródka.

- No i co panienka o tym sądzi? - spytał wesoło. - Trochę farby i nie poznałabyś tego miejsca!

- Ale tak na poważnie, to nie możesz nic z tym zrobić, prawda?

- Jeszcze nie wiem, ale właśnie przyszło mi do głowy, że może mógłbym. Gdybym przeznaczył pieniądze uzyskane ze sprzedaży Cairney na remont tej chałupki...

- Przecież nie ma tu bieżącej wody!

- Można doprowadzić.

- Ani kanalizacji... - Można zainstalować kontenerową oczyszczalnię ścieków.

- Nie ma tu też prądu.

- Przy świecach i lampach naftowych byłoby bardziej romantycznie.

- A na czym byś gotował?

- Na gazie z butli.

- Ciekawe, kiedy byś tu przyjeżdżał?

- Na weekendy i urlopy. Mógłbym też przywozić tu dzieci.

- Nie wiedziałam, że masz już dzieci!

- Na razie nie mam, a przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Kiedy się jednak ożenię, przyda mi się taka baza wypadowa, no i nie odetnę się całkowicie od moich korzeni w Cairney. Czy takie rozumowanie zaspokaja twoją sentymentalną duszę?

- A więc jednak ma to dla ciebie jakieś znaczenie!

- Karolino, życie jest zbyt krótkie, aby wciąż oglądać się za siebie. W ten sposób prędzej czy później się potkniesz. Już ja wolę patrzeć w przyszłość.

- Przecież sam zacząłeś mówić o tym domku...

- To na razie tylko luźny pomysł. Chciałem ci go pokazać, żeby cię trochę rozerwać. Chodźmy już, bo pani Cooper pomyśli, że wszyscy się potopiliśmy.

Oliver pierwszy zszedł po drabince, dokładnie badając szczeble, zanim postawił na nich nogę. Kiedy już był na dole, czekał na Karolinę, przytrzymując jej drabinkę. Karolina zeszła do połowy, ale dalej bała się ruszyć. Bardzo ją to rozśmieszyło, szczególnie gdy Oliver poradził jej, by zeskoczyła, a ona wymawiała się, że nie potrafi! Oliver stwierdził, że każdy głupi to potrafi, a wtedy Karolina tak się zaniósł śmiechem, że nie była w stanie zrobić czegokolwiek.

Skończyło się na tym, że pośliznęła się na zbutwiałym szczebelku i osunęła prosto w ramiona Olivera.

W jej jasnych włosach tkwiła jeszcze gałązka wrzosu, sweter był nagrany słońcem, a po dobrze przespanej nocy zniknęły cienie pod oczyma. Skórę miała gładką i zaróżowioną, twarz zwróconą ku niemu, a usta rozchylone w uśmiechu. Oliver, wiedziony nagłym impulsem, bez namysłu nachylił się i pocałował ją. Od razu zapanowała cisza i Karolina przez chwilę jakby zastygła w bezruchu, ale potem oparła dłonie o pierś Olivera i łagodnie odsunęła go od siebie. Śmiech zamarł na jej ustach, natomiast oczy miały taki wyraz, jakiego Oliver nigdy przedtem u niej nie widział.

- To dopiero był dzień! - odezwała się w końcu.

- Co przez to rozumiesz?

- To, że dopiero dziś był taki prawdziwy, wiosenny dzień.

- Czy to ma dla ciebie jakieś znaczenie?

- A bo ja wiem...

Wysunęła się z jego objęć i skierowała się ku drzwiom. Zatrzymała się tam przez chwilę, opierając się o framugę. Pod światło rysowała się jej sylwetka, z rozwichrzonymi włosami tworzącymi aureolę wokół kształtnej głowy.

- To uroczy domek - stwierdziła. - Myślę, że powinieneś go zatrzymać.

Tymczasem Jody zostawił w spokoju jarzębinę i wrócił nad brzeg jeziora. Zaczął rzucać kamyczki do wody, próbując „puszczać kaczki”. Denerwowało to Lisę, która nie wiedziała, czy ma je aportować, czy nie. Karolina znalazła płaski kamyczek i rzuciła go tak, że aż trzy razy odbił się od powierzchni wody.

- Pokaż mi, jak to robisz! - poprosił Jody. - Chcę się nauczyć!

Karolina nie mogła jednak spełnić jego prośby. Odwróciła się do niego tyłem, aby nie mógł zobaczyć wyrazu jej twarzy, bo nagle stało się dla niej jasne, dlaczego przestała już

wzdychać za Drennanem Colefieldem. Co gorsza, uświadomiła sobie również, że wie, dlaczego nie powiedziała Oliverowi ani słowa o planowanym ślubie z Hughem.

Kiedy Liz wpadła w odwiedziny do Cairney, początkowo nie zastała tam żywej duszy. Aż się zdziwiła, że nikt nie wychodzi jej na spotkanie, gdy zajechała przed dom i wyłączyła silnik samochodu. Zauważyła jednak, że drzwi są otwarte, więc wysiadła z wozu i weszła do domu. Stała na środku hallu i głośno zawołała Olivera, ale nikt jej nie odpowiedział. Z kuchni jednak dochodziły jakieś swojskie odgłosy, więc ruszyła w tamtą stronę. Dobrze знаła rozkład tego domu i gdy tylko minęła korytarz i wahadłowe drzwi, natknęła się na panią Cooper, która właśnie wróciła z podwórza, gdzie rozwieszała upraną bieliznę.

Gospodyni ostentacyjnie złapała się za serce i zawołała z udanym przestraszeniem:

- Ach, to ty, Liz!

Znała przecież młodą sąsiadkę od dziecka, więc nie przyszłoby jej nigdy na myśl, aby nazywać ją „panną Fraser”.

- Przepraszam, nie chciałam pani przestraszyć! - usprawiedliwiała się Liz. - Myślałam tylko, że nikogo nie ma w domu.

- No, bo Olivera nie ma. Ani... tamtych też.

Liz od razu wyczuła wahanie w głosie pani Cooper.

- Mówi pani o tych waszych niespodziewanych gościach? Nasłuchałam się już dużo o nich.

- To tylko dwójka młodziaków. Oliver zabrał ich nad jezioro, bo ten mały chciał zobaczyć łódkę. - Przerwała, aby zerknąć na kuchenny zegar. - Powinni zaraz wrócić, bo dzisiaj lunch będzie wcześniej. Oliver jeszcze raz jedzie do Relkirk, bo ma coś do obgadania z adwokatem. Może zjesz z nami?

- Nie, dziękuję. Poczekam tylko chwilkę, żeby zobaczyć, jak Oliver sobie radzi.

- Ależ świetnie! - zapewniła pani Cooper. - Myślę, że to łaska boska, bo przynajmniej dzięki temu nie zadręcza się po stracie brata.

- Dzięki czemu? - podchwyciła dyskretnie Liz.

- Ano, ta dziewczyna z chłopakiem spadli nam jak z nieba, bo ich wóz utknął w rowie.

- Ach, więc przyjechali samochodem?

- Tak, chyba z Londynu, akurat w tę zadymkę. Zjechali do rowu i ich wóz tkwił tam całą noc, aż woda zamarzała w chłodnicy. Mój stary odholował go do warsztatu i dziś dzwonili stamtąd, że wóz jest w porządku. Mój chłop go przyprowadził i mogą jechać, kiedy zechcą. - A kiedy zamierzają wyjechać? - Liz siła się na beznamiętny ton głosu.

- Nie wiem dokładnie, bo nic mi nie mówili. Coś tam gadali, że ich brat ma być w Strathcorrie, ale ponoć go nie zastali, więc pewnie chcą poczekać, aż wróci. Zresztą Oliver sam najlepiej ci wszystko powie - dodała. - Możesz wyjechać im naprzeciw, to spotkasz ich w pół drogi.

- Chyba rzeczywiście tak zrobię - zgodziła się Liz. Zamiast tego jednak wyszła tylko przed dom i usiadła na kamiennej ławce pod oknem biblioteki. Nałożyła ciemne okulary, zapaliła papierosa i siedziała, leniwie przeciągając się w promieniach słońca.

Wokoło panowała zupełna cisza, toteż z łatwością usłyszała ich głosy dużo wcześniej, zanim ich jeszcze zobaczyła. Kiedy w końcu pojawili się na ścieżce biegnącej wzdłuż żywopłotu z karłowatych buków, byli tak pochłonięci rozmową, że nie od razu dostrzegli siedzącą na ławce Liz. Pierwszy szedł chłopiec, a o krok czy dwa za nim Oliver w starej tweedowej marynarce, z czerwoną, bawełnianą chustką owiniętą wokół szyi. Trzymał, a raczej ciągnął za rękę dziewczynę, która jakby zostawała w tyle.

Liz na razie słyszała tylko ich głosy, nie mogąc odróżnić poszczególnych słów. Zauważyła natomiast, że nieznajoma dziewczyna zatrzymała się i nachyliła, jakby chciała wytrząsnąć kamyczek, który wpadł jej do buta. Przy tym ruchu fala długich, jasnych włosów zasłoniła jej twarz. Widać było, jak Oliver też się zatrzymuje, aby poczekać na nią. Pochylił się wraz z nią, jakby chcąc zbadać przyczynę przerwy w marszu, nie wypuszczając przy tym jej dłoni. Widok ten zaniepokoił Liz, gdyż stwarzał wrażenie, że ci dwoje knują coś przeciwko niej.

Tymczasem kamyczek został chyba usunięty, gdyż Oliver wyprostował się, aby kontynuować marsz. Zauważył przy tym ciemno - niebieskiego triumpha zaparkowanego przed domem, a także samą Liz. Wyrzuciła więc papierosa, przydeptała niedopałek i wyszła im naprzeciw. Wtedy Oliver puścił rękę tamtej blondynki i wysforował się na czoło, biegiem pokonując ostatnią skarpetę. - Liz!

- Cześć, Oliverze!

Liz wyglądała dziś jeszcze szykowniej niż zwykle. Miała na sobie obcisłe, jasnobrązowe spodnie i skórzaną kurtkę z frędzlami. Oliver ujął jej ręce w swoje i ucałowali się na powitanie.

- Czy przyjechałaś specjalnie, żeby mnie obsztorcować za wczorajszy wieczór? - zagadnął.

- Nie - odpowiedziała Liz z całą otwartością, zaglądając mu przez ramię, żeby móc widzieć, jak Karolina i Jody powoli wchodzi pod górę. - Mówiłam ci, że zaciekawili mnie twoi goście. Przyjechałam, żeby się z nimi zapoznać.

- Byliśmy właśnie nad jeziorem. - Po tej wstępnej wymianie zdań wszystkich sobie wzajemnie przedstawił. - Karolino, to jest Liz Fraser, córka mojego najbliższego sąsiada, którego dom pokazywałem ci rano.

Wychowywaliśmy się razem w Cairney od dzieciństwa. Liz, to jest Karolina Cliburn i jej brat Jody.

- Bardzo mi miło - przywitała się Karolina, podając jej rękę. Liz zdjęła przy tym ciemne okulary, a wtedy Karolina dostrzegła w jej spojrzeniu coś, co ją wręcz zaszokowało.

- Cześć. Jak się masz, Jody! - powitała ich Liz.

- Dzień dobry pani - grzecznie odpowiedział Jody.

- Długo już tu czekasz? - zapytał Oliver.

- Nie, najwyżej jakieś dziesięć minut.

- Zostaniesz na lunchu?

- Pani Cooper już mnie zapraszała, ale czekają na mnie w domu. - Z uśmiechem zwróciła się do Karoliny: - Pani Cooper opowiadała mi już o tobie. Podobno masz brata w Strathcorrie.

- Tak, ale jest tu od niedawna.

- Może jednak miałam okazję go poznać. Jak on się nazywa?

Nie wiadomo dlaczego, Karolina jakoś nie spieszyła się z odpowiedzią. Jody wykorzystał jej wahanie i sam udzielił informacji. - Cliburn, tak jak my. Angus Cliburn.

Po lunchu Oliver, wściekły, że musi zmarnować tak piękne popołudnie, wbił się w garnitur i krawat i pojechał do miasta. Miał tam spędzić resztę dnia w kancelarii adwokackiej. Karolina i Jody odprowadzili go do samochodu i pomachali, gdy odjeżdżał. Dawno już stracili z oczu samochód, a jeszcze stali na podjeździe, wychwytyjąc dźwięki wskazujące, że czeka na możliwość włączenia się do ruchu, że wjeżdża na główną szosę, wrzuca wyższy bieg i nabiera szybkości.

Po jego odjeździe Karolina i Jody poczuli się zagubieni. Pani Cooper pozmywała po lunchu i poszła do swojego domu robić pranie, by wykorzystać ładną pogodę. Jody w bezsilnej złości kopał nogą kamyczki na podjeździe. Karolina współczuła



mu, gdyż mogła sobie wyobrazić, co chłopak w tej chwili przeżywa.

- Co chciałbyś teraz robić? - próbowała skłonić go, by czymś się zajął.

- Nie wiem.

- Może poszlibyśmy jeszcze raz nad jezioro?

- Nie wiem! - odburknął rozgoryczony, jak każdy chłopiec w jego wieku, który raptem straciłby najlepszego przyjaciela.

- Może zaczniemy następną układankę?

- Nie chcę siedzieć w domu.

- Moglibyśmy wynieść ją na dwór.

- Nie mam już ochoty na układanie!

Rada nierada, Karolina usiadła na tej samej ławce, na której przedtem siedziała Liz Fraser. Przyłapała się na tym, że boi się wracać myślami do spotkania z nią. Mimo to zmusiła się do powtórnego zastanowienia się nad tą sprawą, próbując dociec, czemu nagłe zjawienie się tamtej dziewczyny tak ją zdenerwowało.

Na pozór nie było w tym nic nadzwyczajnego. Przecież Liz mieszkała w najbliższym sąsiedztwie i przypuszczalnie przyjaźniła się z Oliverem od dziecka, a teraz jeszcze jej ojciec miał zamiar kupić Cairney! Jasne więc, że miała prawo wpaść z wizytą, aby bliżej poznać gości Olivera. Mimo to jednak kryło się za tym coś więcej. Kiedy Liz zdjęła przeciwsłoneczne okulary i spojrzała Karolinie prosto w oczy - z jej wzroku przebijała czysta nienawiść! Może była o nią zazdrosna? Ale czegoż miała jej zazdrościć? Była przecież o niebo ładniejsza od Karoliny i widać było, że Oliver jest w niej zakochany. Może więc uważała go już za swoją własność? Wszystko to jednak nie wyjaśniało faktu, dlaczego Karolina podczas rozmowy z nią odniosła wrażenie, że jej

interlokutorka powoli rozbiera ją oczami ze wszystkiego, co ma na sobie.

Tymczasem Jody przykucnął na ziemi i zaczął się bawić, przesypując żwir z kupki na kupkę. W którymś momencie podniósł wzrok i zakomunikował:

- Ktoś do nas jedzie!

Oboje zaczęli nadśłuchiwać. I rzeczywiście, jakiś samochód skręcił w aleję wiodącą na szczyt pagórka i teraz zbliżał się do nich.

- Może Oliver czegoś zapomniał? - powiedziała z nadzieją Karolina.

Nie był to jednak samochód Olivera, tylko ten sam ciemnoniebieski triumph, który widziała przed domem już rano. Dach miał opuszczony, więc widać było, że za kierownicą siedzi Liz Fraser w tych samych ciemnych okularach, z lśniącymi włosami i jedwabnym szalikiem na szyi. Karolina i Jody odruchowo poderwali się na nogi, podczas gdy samochód ostro zahamował nie dalej niż dwa metry przed nimi, wzbijając chmurę kurzu.

- Cześć, to znowu ja! - zawołała Liz wyłączając silnik. Jody nie zareagował na jej powitanie, wpatrując się tępo przed siebie, a Karolina odpowiedziała tylko:

- Cześć.

Liz wysiadła z wozu i zatrzasnęła za sobą drzwiczki. Zdjęła okulary i wtedy Karolina zauważyła, że wprawdzie ma uśmiech przyklepiony do warg, ale w jej oczach uśmiechu nie było.

- Oliver już pojechał? - spytała.

- Tak, jakieś dziesięć minut temu.

Liz tym razem uśmiechnęła się do Jody'ego. - Mam tu coś dla ciebie, bo pewnie się nudzisz. - Sięgnęła na tylne siedzenie wozu i wyjęła stamtąd mały kij golfowy wraz z piłeczką. - Na

tamtej łącznie kiedyś było pole golfowe. Jeśli dobrze poszukasz, na pewno znajdziesz dołki. Lubisz grać w golfa?

Jody bardzo lubił dostawać prezenty, więc od razu twarz mu się rozjaśniła.

- Dziękuję pani bardzo, ale jeszcze nigdy w to nie grałem.

- Spróbuj, zobaczysz, jakie to fajne!

- Dziękuję - powtórzył i puścił się biegiem we wskazanym kierunku. W połowie drogi nagle się zatrzymał i zapytał: - A jak się już nauczę, zagra pani ze mną?

- Oczywiście. Zobaczymy, kto wygra.

Jody zbiegł ze zbocza, u którego stóp rozpościerał się płaski kawałek murawy. Wtedy Liz odwróciła się do Karoliny i uśmiech znikł z jej twarzy.

- Tak naprawdę to przyjechałam tu, bo chciałam pomówić z tobą. Usiądźmy, tak nam będzie wygodniej.

Obie usiadły na ławce - Karolina spięta, Liz zaś całkowicie rozluźniona. Sięgnęła po papierosa i zapaliła go małą, złotą zapalniczką.

- Dziś rano dzwoniła moja matka... - zaczęła. Karolina nie skomentowała tej nic nie znaczącej dla niej informacji, więc Liz rozwijała dalej ten wątek.

- Pewnie nic ci to nie mówi, bo wiesz o mnie tylko, że jestem Liz Fraser z Rossie Hill. Ale Elaine i Parkera Haldane'ów znasz, prawda?

Karolina przytaknęła.

- Nie rób takich cielecych oczu, dziewczyno! Elaine to moja matka.

Rzeczywiście, jak mogła tego od razu nie skojarzyć! Przecież Liz i ta Elizabeth, o której słyszała w czasie tamtej pamiętnej kolacji w Londynie, to jedna i tam sama osoba! Karolina przypomniała sobie słowa Elaine: „Wiesz, dziesięć lat temu, kiedy jeszcze żyłam z Duncanem, kupiliśmy majątek w Szkocji...” Duncan to ojciec Liz, ten, który ma odkupić od

Olivera majątek Cairney. „...Elizabeth od razu zaprzyjaźniła się z dwoma chłopakami z sąsiedniego majątku... ten starszy zginął w wypadku samochodowym”.

Prawda, przecież Jody opowiadał jej o śmierci Charlesa w wypadku! Cóż, skoro zdążyła już zapomnieć o tym, co utkwilo gdzieś w podświadomości. Zასłyszane strzępy informacji były chaotycznie rozsypane jak fragmenty układanki Jody'ego, ale miała je podane jak na tacy. Okazała się zbyt głupia albo za bardzo zajęta własnymi sprawami, by połączyć je w logiczną całość.

- Zawsze słyszałam o tobie jako o Elizabeth - usiłowała się tłumaczyć.

- Tak nazywają mnie mama i Parker. Tu wszyscy wołają na mnie Liz.

- Rzeczywiście, nie skojarzyłam tego.

- Zdarza się, po prostu świat jest mniejszy, niż nam się wydaje. No więc, jak już mówiłam, mama zadzwoniła dziś do mnie...

- I co ci powiedziała? - spytała szybko Karolina, widząc chytry błysk w jej oczach.

- Myślę, że wszystko, albo przynajmniej prawie wszystko. O tym, jak to z tym chłopcem... - Jodym, tak? - znikliście jak kamień w wodę. Diana tam odchodzi od zmysłów, bo wie tylko, że jesteście w Szkocji, i nic więcej. A tu na wtorek szykuje się twój ślub z Hughem Rashleyem...

- Tak - przyznała Karolina, bo co mogła innego powiedzieć?

- Wygląda na to, żeś się wpakowała w niezłą kabałę!

- Chyba tak.

- Mama powiedziała mi także, żeście wybrali się do Szkocji w poszukiwaniu Angusa. Czy nie wygląda to raczej na szukanie wiatru w polu?

- Na początku wcale tak nie wyglądało. Chodziło o to, że Jody chciał jeszcze raz zobaczyć Angusa, bo Diana i Shaun zamierzali zabrać go ze sobą do Kanady, a on nie miał ochoty tam jechać. Z kolei Hugh nie życzył sobie, aby Jody zamieszkał z nami, więc jedynym człowiekiem, który mógł się nim zaopiekować, był Angus.

- Słyszałam, że Angus jest hipisem.

Karolina czuła, że powinna teraz powiedzieć coś w obronie brata, ale jak na złość nic takiego nie przychodziło jej na myśl. Bąknęła więc tylko wymijająco:

- W każdym razie jest naszym bratem.

- Mieszka w Strathcorrie? - Pracuje w hotelu.

- W tej chwili jednak go tam nie ma?

- Nie, ale jutro powinien już być z powrotem.

- I zamierzacie czekać tu na jego powrót?

- Nnnno... nie wiem.

- Ach, więc jeszcze się nie zdecydowałaś? Pozwól, że ci pomogę. Chyba sama widzisz, że Oliver przeżywa teraz ciężkie chwile. Stracił jedynego brata, którego bardzo kochał. Jeśli jeszcze sprzeda Cairney, to jakby skończył się jakiś rozdział w jego życiu. Czy nie uważasz, że w takich okolicznościach byłoby taktowniej, gdybyście razem z chłopcem wrócili jak najprędzej do Londynu? Choćby ze względu na Olivera, nie mówiąc już o Dianie i Hughu.

Karolina nie dała się nabrać na tę udawaną troskliwość.

- Czemu tak bardzo chcesz się nas pozbyć? - spytała.

- Ponieważ sprawiacie kłopot Oliverowi - wyjaśniła nie zrażona Liz.

- Ze względu na ciebie?

- Ach, kochanie! - Liz uśmiechnęła się pobłaźliwie. - Znamy się z Oliverem tak długo, że łączą nas bliższe stosunki, niż ci się wydaje. To dlatego mój ojciec chce kupić Cairney.

- Zamierzacie się pobrać?

- Oczywiście.  
- Oliver nic mi o tym nie wspomniał.  
- Niby dlaczego miałby ci się zwierzać? A tyś mu się przyznała, że niedługo wychodzisz za mąż? Chyba że to ukrywasz, bo zauważyłam, że nienosisz pierścionka zaręczynowego.

- Zzzz... zostawiłam go w Londynie, bo bbbb... był za duży i bałam się, że go zgubię.

- Ale Oliver nie wie o twoim planowanym zamążpójściu?

- Nie. - Zabawne, że mu nic nie powiedziałaś. Tym bardziej że podobno ma to być impreza na cztery fajerki, jak przystało na dobrze zapowiadającego się maklera giełdowego. Nadal masz zamiar za niego wyjść, tylko z jakichś powodów wolałaś, aby Oliver o tym nie wiedział?

Widząc, że Karolina zagubiła się w tym krzyżowym ogniu pytań, Liz wybuchnęła śmiechem.

- Moje dziecko, widzę, że się w nim po prostu zakochałaś! Nie, nie mam do ciebie o to pretensji, raczej mi cię żal. Proponuję ci więc umowę: wyjedziecie stąd natychmiast, a za to ja nie pisnę Oliverowi ani słowa o twoich planach małżeńskich. Dowie się o tym dopiero z prasy, bo w środowych gazetach z pewnością ukażą się reportaże z tak uroczystego ślubu, okraszone zdjęciami promieniejących nowożeńców... Oszczędzi ci to zbędnych wyjaśnień, po prostu szybko i bezboleśnie zakończysz tę sprawę. Padniesz w ramiona Hugh'a, który cię z pewnością uwielbia, a hipisa Angus'a zostawisz w spokoju. Czy to nie jest najlepsze rozwiązanie?

- Ale przecież Jody... - Karolina próbowała nieśmiało protestować.

- Jody jest jeszcze dzieckiem i szybko przyzwyczai się do nowej sytuacji. Z pewnością spodoba mu się Kanada i ani się obejrzy, jak zostanie kapitanem drużyny hokejowej. Sama

chyba rozumiesz, że nikt nie zaopiekuje się nim lepiej niż Diana. Osobnik pokroju Angusa mógłby go tylko sprowadzić na manowce. Zejdźże nareszcie z obłoków, Karolino, i spójrz prawdzie w oczy!

Tymczasem z łączki leżącej w dole dobiegł triumfalny okrzyk Jody'ego, który nareszcie trafił piłeczką do dołka. Rozradowany, wspiał się na pagórek, wymachując swym nowym kijem.

- Już wiem, jak to się robi! Trzeba tylko uderzać powoli i nie za mocno... - zaczął tłumaczyć, ale urwał, widząc, że Liz wstała już z ławki i nakłada rękawiczki. - Nie zagra pani ze mną?

- Innym razem - zbyła go krótko Liz.

- Przecież pani obiecała... - Innym razem! - powtórzyła, sadowiając się wygodnie w samochodzie. - Tymczasem twoja siostra ma ci coś ważnego do powiedzenia.

Oliver wracał do domu, kiedy już się zmierzchało. Po tak pięknym dniu czuł się zupełnie inaczej niż wczoraj. Mimo męczącej, oficjalnej rozmowy, którą przeprowadził z adwokatem, był odprężony, a nawet zadowolony. Załatwił wszystkie formalności związane z wystawieniem na sprzedaż farmy i domu w Cairney, a przy tym omówił ewentualną możliwość zatrzymania „Chatki nad jeziorem”. Miał zamiar wyremontować ten budynek i przerobić go na domek weekendowy, a prawnik nie widział przeszkód w realizacji tego pomysłu. Oliver musiałby jedynie dogadać się prywatnie z Duncanem Fraserem, aby ten wyraził zgodę na przeprowadzenie drogi dojazdowej przez grunt, który odtąd należałby do niego.

Oliver nie przypuszczał, aby Duncan mógł mieć co do tego jakieś zastrzeżenia. Wyobrażał więc już sobie, jak będzie wyglądał ten domek, kiedy ponownie doprowadzi go do stanu używalności. Przedłużyłby ogród aż do brzegu jeziora,

udroził przewód kominowy, a strych przerobił na przytulną facjatkę z mansardowymi okienkami... Tak spodobała mu się ta perspektywa, że aż zaczął pogwizdywać pod nosem. Kierownica dobrze leżała mu w rękach, a wóz łatwo pokonywał zakręty znanej drogi, jak koń, który czuje, że wraca do domu.

Wjechał w bramę majątku i z rykiem silnika sforsował wznoszącą się stromo aleję pod drzewami. Ominął kępę rododendronów i zatrąbił donośnie, dając tym znak Jody'emu i Karolinie, że już wrócił. Zaparkował przy głównym wejściu, a zdejmując płaszcz w hallu, czekał, kiedy rozlegną się kroki Jody'ego.

Tymczasem w całym domu panowała cisza. Oliver położył więc płaszcz na krześle i zawołał: „Jody!” Nie doczekawszy się żadnej reakcji, krzyknął: „Karolino!” Odpowiedziało mu milczenie, a kiedy zajrzał do kuchni - było w niej pusto i ciemno, bo pani Cooper jeszcze nie przyszła, aby ugotować kolację. Coraz bardziej zdziwiony, pchnął wahadłowe drzwi i przeszedł do biblioteki. Tam również się nie świeciło, a ogień na kominku przygasał. Oliver zapalił światło i dorzucił świeżych drew do paleniska. Kiedy się wyprostował, zauważył na swoim biurku białą kopertę opartą o telefon. Pochodziła z jego najlepszej papeterii; na kopercie napisane było jego imię.

Otwierając ją stwierdził ze zdziwieniem, że drżą mu ręce. Wyjął pojedynczy arkusik papieru, rozłożył go i zaczął czytać. Był to list od Karoliny.

Drogi Oliverze!

Po Twoim wyjeździe przedyskutowaliśmy z Jodym jeszcze raz wszystko od początku i zdecydowaliśmy, że nie ma sensu dalej czekać na Angusa. Lepiej będzie, jeśli wrócimy do Londynu, bo to nie w porządku wobec Diany, żeby trzymać ją w niepewności.



Nie martw się o nas, bo wóz jest już w pełni sprawny, a ci mili mechanicy w Twoim warsztacie naleli nam benzyny do pełna. Nie przypuszczam, aby groziła nam znowu jakaś zamieć, więc na pewno bezpiecznie dotrzemy na miejsce.

Chcielibyśmy tylko podziękować Tobie i pani Cooper za to wszystko, co dla nas zrobiliście. Było nam bardzo miło w Cairney i nigdy tego nie zapomnimy.

Z serdecznymi pozdrowieniami  
Karolina.

## Rozdział 7

Następnego ranka Oliver wybrał się do Rossie Hill pod pretekstem omówienia pewnych spraw z Duncanem Fraserem. Dzień był równie pogodny jak poprzedni, ale chłodniejszy. W nocy chwycił lekki mroźnik i poranne słońce nie zdążyło jeszcze stopić cienkiej warstewki szronu. Przy wjeździe do Rossie Hill chwiały się już jednak główki pierwszych żonkili, a cały dom przeppełniała woń błękitnych hiacyntów rosnących w misie, ustawionej na stole w hallu. Oliver czuł się w tym domu równie swobodnie jak Liz w Cairney, więc zaczął się rozglądać za jego mieszkańcami. Ostatecznie znalazł Liz w gabinecie jej ojca, gdzie siedziała przy biurku i rozmawiała przez telefon. Z pojedynczych zasłyszanych słów Oliver wywnioskował, że jej rozmówcą był miejscowy rzeźnik. Kiedy ujrzała Olivera w otwartych drzwiach, gestem uniesionych brwi nakazała mu, by poczekał. Stał więc przy kominku, niepewny, czy ma ochotę zapalić, czy też nie. Na razie dostatecznie cieszyło go ciepło ognia, przy którym można się było ogrzać.

Tymczasem Liz skończyła rozmowę i odłożyła słuchawkę, ale pozostała na tym samym miejscu, ukazując długie nogi założone jedna na drugą. Miała na sobie plisowaną spódniczkę, obcisły sweterek i jedwabną apaszkę na szyi. Jej skóra ciągle jeszcze nosiła ślady opalenizny z Antigui; teraz spojrzenie jej piwnych oczu napotkało jego wzrok.

- Szukasz kogoś? - zagadnęła.  
- Owszem, twojego ojca.  
- Wyjechał do Relkirk, wróci dopiero na lunch. - Sięgnęła po srebrną papierośnicę i poczęstowała Olivera. On jednak potrząsnął przecząco głową, więc wzięła sobie papierosa i zapaliła go ciężką zapalniczką stojącą na biurku. Przez obłok błękitnego dymu przyglądała się Oliverowi badawczo, po czym powiedziała:

- Jesteś jakiś rozkojarzony. Czy coś się stało?

Oliver przez cały rano próbował wmawiać sobie, że nic się nie stało, ale teraz nie wytrzymał i wyrzucił z siebie:

- Karolina i Jody wyjechali.

- O, wyjechali? - W jej głosie zabrzmiało przyjemne zaskoczenie. - A dokąd to?

- Do Londynu. Wczoraj, kiedy wieczorem wróciłem do domu, zastałem na biurku pożegnalny list od Karoliny.

- To chyba dobrze się stało.

- Ale w końcu nie odnaleźli swego brata.

- Z tego, co wiem, nie wydaje mi się, żeby to miało zbyt wielkie znaczenie.

- Dla nich miało znaczenie, a szczególnie dla Jody'ego. - Byleby tylko bezpiecznie dotarli do Londynu, nie musisz się już o nich martwić. Masz teraz ważniejsze sprawy na głowie niż matkowanie dwojgu nieudacznikom, których nigdy przedtem nie widziałeś na oczy. - Lekko przeszła nad tym do porządku dziennego i zmieniła temat: - A o czym chciałeś rozmawiać z ojcem?

Ledwo zdołał przypomnieć sobie, o co chodziło.

- Aha, o drodze dojazdowej! Chciałbym zatrzymać sobie z majątku „Chatkę nad jeziorem”, ale muszę mieć do niej swobodny dostęp.

- „Chatkę nad jeziorem”? Ależ to ruina!

- Bynajmniej, jest w całkiem dobrym stanie. Trzeba ją tylko trochę odnowić i zmienić pokrycie dachu.

- I co będziesz z nią robił?

- Może przerobię ją na domek weekendowy, a może po prostu będę czerpał satysfakcję z jej posiadania... Jeszcze nie wiem.

- Czy to ja podsunęłam ci ten pomysł?

- Może i ty.

Liz wyszła z za biurka, przeszła przez cały pokój i podeszła do Olivera.

- Jeśli tak, to mam lepszą myśl.

- Jaką?

- Żeby mój ojciec kupił także twój dom.

- Ależ on go wcale nie potrzebuje! - zaśmiał się Oliver.

- On może nie, ale ja tak. Przyda mi się na weekendy, wakacje... tak jak mówiłeś.

- I co będziesz z nim robić?

- Kiedyś sprowadzę tutaj męża i dzieci - odcięła mu się w tym samym duchu, rzucając niedopałek wprost w płomień kominka.

- A skąd wiesz, czy to się spodoba twemu przyszłemu mężowi?

- Najlepiej, jeśli sam mi to powiesz.

Mówiła to bez mrugnięcia, patrząc mu prosto w oczy. Oliver był kompletnie zaskoczony, ale i mile połechtany. No proszę, jaka z tej niezgrabnej, długonogiej nastolatki wyrosła piękna kobieta, która teraz spokojnie, bez zająknięcia, wprost mu się oświadcza!

- Może się mylę - zaczął ostrożnie - ale wydaje mi się, że to ja powinienem wystąpić z tego rodzaju propozycją.

- Pewnie tak, ale znamy się już za długo, aby jeszcze bawić się w jakieś aluzje i niedomówienia. Po prostu mam wrażenie, że nieprzypadkowo zeszliśmy się tu w takim momencie, kiedy żadne z nas nie spodziewało się drugiego. Może to jeszcze Charles chciał, żeby tak się stało?

- Przecież to Charles kochał się w tobie.

- No właśnie. A teraz on nie żyje...

- A gdyby żył, czy wyszłabyś za niego?

Zamiast odpowiedzi Liz zarzuciła Oliverowi ręce na szyję, przyciągnęła jego głowę do siebie i pocałowała go w same usta. Nie spodziewał się tego, więc lekko się zawahał, ale

tylko przez chwilę. W końcu była to Liz, szykowna, zgrabna, pachnąca dobrymi perfumami. Otoczył więc ramionami jej wiotką talię, przytulił ją mocno i próbował sobie wmówić, że może istotnie miało tak być. Kto wie, czy rzeczywiście Charles nie życzyłby sobie właśnie tego?

W tych okolicznościach trudno się dziwić, że Oliver spóźnił się na lunch. W kuchni nie było już nikogo, ale czekało na niego pojedyncze nakrycie na stole, a od strony kuchennego pieca dochodziły apetyczne zapachy. Panią Cooper odnalazł w pokoju dzieciennym, gdzie porządkowała stare zabawki, porzucane przez Jody'ego. Wyglądała przy tym jak matka, którą nagle opuściły dzieci.

- Przepraszam, że się spóźniłem! - usprawiedliwił się Oliver, wsadzając głowę w drzwi.

Pani Cooper spojrzała w górę znad pudełka klocków, które właśnie starannie układała.

- Nic się nie stało - odburknęła beznamiętnym tonem. - W duchówce jest pieróg z mięsem. Może pan go zjeść, kiedy pan będzie miał ochotę.

Wczoraj wieczorem, kiedy poinformował ją o nagłym wyjeździe Cliburnów, przeżyła szok, z którego do tej chwili nie mogła się otrząsnąć. Aby ją pocieszyć, Oliver próbował zagadywać z udaną beztrąską:

- Do tej pory musieli już ujechać kawał drogi. Jeśli na szosie nie będzie zbyt wielkiego ruchu, pod wieczór będą w Londynie.

Pani Cooper pociągnęła nosem.

- Wprost nie mogę znieść myśli, że ich tu nie ma! Ten mały wniósł na nowo życie do Cairney, jakby się tu urodził!

- Rzeczywiście. - Oliver ze współczuciem pokiwał głową.  
- Ale prędzej czy później i tak by wyjechali.

- Przynajmniej zdążyłabym się z nimi pożegnać! - narzekwała gospodyni takim tonem, jakby to była wina Olivera.

- Rzeczywiście - powtórzył, bo nic innego nie przychodziło mu do głowy.

- I w końcu nie spotkał się ze swoim bratem! Tyle o nim mówił, a teraz już go nie zobaczy! Serce mi się kraje, kiedy o tym pomyślę.

Pani Cooper rzadko przemawiała takimi słowami. Jej przygnębienie udzieliło się także Oliverowi. Bąknął więc tylko:

- To już zjem ten pieróg. - Dopiero w drzwiach przypomniał sobie, w jakim właściwie celu szukał pani Cooper, więc dodał jeszcze: - A wieczorem niech już pani nie przychodzi. Jestem zaproszony na kolację do Rossie Hill.

Gosposia milcząco przyjęła to do wiadomości, odpowiadając tylko skinieniem głowy, jakby ze zgrzyzoty nie mogła wydobyć z siebie słowa. Oliver zostawił ją więc, aby nadal mogła uspokajać nerwy sprzątaniami. Kiedy schodził po schodach na parter, miał wrażenie, jakby bez gwaru czynionego przez Jody'ego cały dom pogrążył się w smutku tak samo jak pani Cooper.

Dom na Rossie Hill, przygotowany na przyjęcie gości, jarzył się i lśnił feerią barw i świateł. Olivera już na wstępie przywitał zapach hiacyntów i migotanie płomieni w kominku. Ciepła i kojąca atmosfera tego miejsca poprawiła mu nieco nastrój, a ledwo zdjął płaszcz i rzucił go na krzesło w hallu, pojawiła się Liz. Szła z kuchni, niosąc pojemnik z kostkami lodu. Na widok Olivera jej twarz zajaśniała promiennym uśmiechem.

- Oliver! - Cześć, Liz.

Wziął ją w ramiona i pocałował ostrożnie, aby nie rozmazać szminki, która miała nie tylko wspaniały zapach, lecz i smak. Potem odsunął od siebie Liz na długość ramion, aby móc lepiej się jej przyjrzeć. Była dziś ubrana w czerwony jedwabny spodniem, a w kształtnych uszach miała brylantowe

kolczyki. W tym wszystkim przypominała barwną papuzkę albo rajskiego ptaka.

- Przyszedłem trochę za wcześnie... - zaczął.

- Nie, ty przyszedłeś w samą porę, to inni są już spóźnieni.

- Inni? - uniósł brwi ze zdziwienia.

- Przecież ci mówiłam, że spodziewamy się gości na kolacji - powiedziała idąc do salonu, a Oliver jej towarzyszył. Tam postawiła pojemnik z lodem na pedantycznie nakrytym stole do napojów. - Mają przyjść jeszcze Allfordowie. Może słyszałeś coś o nich? Niedawno przenieśli się do Relkirk i bardzo chcą cię poznać. On ma coś wspólnego z produkcją whisky. Jeśli już o tym mowa, to nalejesz sobie drinka, czy chcesz spróbować mojej specjalnej receptury martini?

- Gdzieżeś się tego nauczyła?

- W moich podróżach po całym świecie.

- Czy uznasz mnie za niewdzięcznika, jeśli wybiorę jednak whisky z wodą sodową?

- Nie za niewdzięcznika, tylko za typowego Szkota. Nalała mu takiego drinka, jakiego lubił, niezbyt mocnego, z dużą ilością bąbelków i lodu. Kiedy podała mu szklanekę, znów ją pocałował, ale tym razem odsunęła się z niechęcią i zaczęła mieszać w shakerze swoją cudowną miksturę.

W tym czasie dołączył do nich Duncan. Akurat zadzwonił dzwonek u drzwi frontowych, więc Liz poszła witać pozostałych gości. Kiedy tylko wyszła, Duncan bez żadnych wstępów zaczął:

- Liz mi już powiedziała...

Zaskoczyło to Olivera, gdyż tego ranka nie powiedzieli sobie właściwie nic ważnego. Nie omawiali z Liz żadnych istotnych spraw, tylko prowadzili lekką, niezobowiązującą rozmowę bardziej o przeszłości niż o przyszłości. Oliverowi

bowiem wydawało się, że na planowanie przyszłości ma jeszcze masę czasu.

- Co takiego powiedziała? - starał się sprecyzować sprawę.

- Nic wielkiego. Podsunęła mi tylko kilka pomysłów. Chciałbym jednak, abyś wiedział, że nic nie mogłoby uczynić mnie bardziej szczęśliwym.

- Cieszę się... - wyjąkał Oliver.

- A co do Cairney... - Przez półotwarte drzwi słysząc już było coraz bliżej głosu, więc urwał w pół zdania i zakończył: - Porozmawiamy o tym później.

Allfordowie byli małżeństwem w średnim wieku. On był potężnie zbudowanym mężczyzną, ona - szczupłą blondynką o białoróżowej cerze i puszystych włosach, które zaczynały już siwieć. Po wzajemnym przedstawieniu sobie gości Oliver zajął miejsce na kanapie obok pani Allford. Ta zabawiła go opowieściami o swoich dzieciach: jak to początkowo nie chciały przenieść się do Szkocji, ale teraz świata poza nią nie widzą; jak to córka udziela się w miejscowym klubie jeździeckim, a syn studiuje na pierwszym roku w Cambridge...

- To pan teraz będzie naszym sąsiadem? - przystąpiła w końcu do rzeczy.

- Nie, mieszkam stale w Londynie.

- Jak to, przecież...

- W Cairney gospodarował mój brat, Charles, który niedawno zginął w wypadku samochodowym. Ja przyjechałem tu tylko po to, żeby ostatecznie uporządkować jego sprawy.

- Och, przepraszam, nie wiedziałam! - Pani Allford przybrała odpowiednio zbolalą minę. - Wie pan, gdy się dopiero wszystkich poznaje, nie zawsze można być na bieżąco.



Oliver poszukał teraz wzrokiem Liz. Stała w pobliżu swego ojca, pogrążonego w rozmowie o interesach z panem Allfordem. W rękach trzymała swoją szklanę i miseczkę solonych orzeszków, po które pan Allford od czasu do czasu machinalnie sięgał. Kiedy poczuła na sobie wzrok Olivera, odwróciła się ku niemu, a wtedy on mrugnął do niej, uważając, by nie spostrzegła tego pani Allford. Liz odpowiedziała mu porozumiewawczym uśmiechem.

Nadszedł czas, aby zasiąść do kolacji w nastrojowo oświetlonej sali jadalnej, oddzielonej pluszowymi portierami od ciemności nocy. Stół z ciemnego drewna, wypolerowanego na wysoki połysk, zdobiły koronkowe serwetki, kryształy, srebra i bukiety czerwonych tulipanów w tym samym odcieniu co spodnium Liz. Na przystawkę podano rozplływające się w ustach, różowe płaty wędzonego łososia, do tego białe wino, a daniem głównym były eskalopki cielejące z brukselką i kasztanami. Deser stanowił puszysty jak pianka budyń cytrynowy, a potem, przy kawie i koniaku, palono hawańskie cygara.

Oliver rozparł się wygodnie w fotelu, najedzony i usatysfakcjonowany luksusowym otoczeniem, gotów do podjęcia typowej, salonowej konwersacji. Za jego plecami zegar na kominku wybił dziewiątą. Przez większą część tego dnia Oliverowi udawało się nie myśleć o Jodym i Karolinie, ale uderzenia zegara przeniosły go niespodziewanie z Rossie Hill do Londynu. Do tej pory młodzi Cliburnowie musieli już dotrzeć do domu i, zmęczeni podróżą, próbowali chyba wyjaśnić wszystko Dianie. Karolina z pewnością opadała z sił po tylu godzinach spędzonych za kierownicą, a Jody'ego gnębiło poczucie zawodu. Na pewno powtarzał wciąż: „Przecież mieliśmy odnaleźć Angusa! Po to przejechaliśmy taki kawał drogi do Szkocji, aby go w końcu nie znaleźć? A ja nie chcę wyjeżdżać do Kanady!”

Diana z pewnością zrobiła im piekielną awanturę, aby potem wspaniałomyślnie udzielić przebaczenia. Oczami wyobraźni Oliver widział już, jak podgrzewa mleko dla Jody'ego, a potem układa go do snu, podczas gdy Karolina powoli wchodzi po schodach na górę, trzymając się poręczy. Jej długie włosy spływają kaskadą, zakrywając twarz...

- A co ty o tym sądzisz, Oliverze? - Z obłoków ściągnęło go pytanie skierowane wprost do niego.

- Słucham? - Czuł, że wszystkie oczy zwróciły się ku niemu. - Przepraszam, nie uważałem.

- Rozmawialiśmy właśnie o prawach do połowu łososi na rzece Corrie. Chodzi o to...Duncan urwał nagle i zapanowało ogólne milczenie. W ciszę wdarł się bowiem dźwięk, który Duncan usłyszał wcześniej od innych. Był to warkot silnika samochodu, furgonetki lub ciężarówki, i to nie w dole, na szosie, ale wdzierającego się na wzgórze Rossie Hill. Słysząc było zgrzyt dźwigni zmiany biegów, tym częstszy, im bardziej stromy stawał się wjazd. Przez grube zasłony przebiły się przednie światła i dało się słyszeć sapanie wysłużonej maszyny.

- Czyżbyś zamawiała na dzisiaj węgiel, Liz? - zażartował Duncan.

- Może ktoś po prostu zabłądził? To nic, pani Douglas skieruje go, gdzie trzeba. - Liz zmarszczyła brwi, lecz po chwili spokojnie wdała się w rozmowę z panem Allfordem, próbując udawać, że problem nie istnieje. Natomiast Oliver cały zamienił się w słuch. Jego czujne uszy wyłapały dźwięk dzwonka u frontowych drzwi, czyjś piskliwy głosik nabrzmiały podnieceniem i nieśmiałe protesty pani Douglas: „Teraz nie możesz wejść, bo tam są goście...” Po chwili jednak, przy akompaniamencie desperackiego okrzyku: „Ach, ty łobuzie!” drzwi jadalni rozwarły się na oścież i stanął w

nich Jody Cliburn, szukając wzrokiem jedyne go człowieka, jakiego w tej chwili chciał spotkać.

Oliver momentalnie zerwał się na nogi, upuszczając swoją serwetkę.

- Jody!

- Oliver!

Jody przeleciał przez pokój jak pocisk, wpadając prosto w ramiona Olivera.

Cała sztywna atmosfera uroczystej kolacji prysła w jednej chwili. Wynikłe stąd zamieszanie byłoby może zabawne, gdyby nie stało za nim ludzkie nieszczęście. Jody bowiem kurczowo uchwycił Olivera w pasie, przylgnął twarzą do jego brzucha i zaniósł się rozpaczliwym, spazmatycznym płaczem. Pani Douglas sterczała niepewnie w drzwiach, nie mogąc się zdecydować, czy powinna siłą wyrzucić intruza z jadalni, czy też nie. Duncan też krążył wokół, nie mogąc zrozumieć, co się właściwie stało i skąd się wzięło u niego to dziecko. Co jakiś czas rzucał w przestrzeń retoryczne pytanie: „Co się tu, u diabła, dzieje?” - ale nikt nie był w stanie udzielić mu odpowiedzi. Liz natomiast nic nie mówiła, tylko wbiła uporczywy wzrok w tył głowy Jody'ego, a wyraz jej oczu świadczył niezbicie, że gdyby tylko mogła, chętnie roztrzaskałaby tę głowę o najbliższy mur! Jedynie Allfordowie, zawsze dobrze wychowani, pozostali na swoich miejscach.

- Coś nadzwyczajnego! - wycedził pan Allford między jednym a drugim kłębem dymu. - Czy to ma znaczyć, że on przyjechał w wywrotce z węglem?

Natomiast jego małżonka tylko uśmiechnęła się życzliwie, jakby pojawiające się znieścacka na przyjęciach dzieci były powszechnym zjawiskiem.

Wśród szlochów dobywających się z głębi kamizelki Olivera nie można było odróżnić nawet pojedynczych słów, a

tym bardziej - dopatrzeć się w nich sensu. Jasne było, że tak deprymująca sytuacja nie może trwać w nieskończoność, ale Jody tak kurczowo uczeplił się Olivera, że nie dał mu się ruszyć.

- Wyjdźmy stąd! - Oliver podniósł głos, aby przekrzyczeć płacz chłopca. - Uspokój się i opowiedz mi, o co chodzi.

Widocznie jego słowa dotarły wreszcie do Jody'ego, bo jego uchwyt osłabł, i Oliver mógł go doprowadzić do drzwi.

- Przepraszam państwa na chwilę! - rzucił po drodze pozostałym zebrany. Szczęśliwie znalazł się w hallu, z takim uczuciem, jakby udała mu się ryzykowna ucieczka. Pocziwa pani Douglas w lot pojęła sytuację i zamknęła za nimi drzwi.

- Tak będzie dobrze? - spytała szeptem.

- Świetnie, dziękuję bardzo.

Kucharka wycofała się do swoich zajęć, mrużąc coś pod nosem. Oliver zaś usiadł na ozdobnym, rzeźbionym zydlu, który właściwie nie służył do siedzenia, i przyciągnął Jody'ego do siebie, przytrzymując go kolanami.

- Przede wszystkim wytrzymaj nos i spróbuj przestać płakać!  
- polecił.

Jody, czerwony i zapuchnięty od płaczu, próbował posłuchać, ale nie mógł powstrzymać łez.

- Nnnn...nie mmm...mogę...

- A co się właściwie stało?

- Karolina jest bardzo chora! Znów się jej zrobiło niedobrze, tak jak wtedy, ale jeszcze boli ją tutaj... - Jody brudną rączką pokazał na swój brzuch. - I to się robi coraz gorzej!

- Gdzie ona jest?

- W hotelu „Strathcorrie”.

- Ależ mieliście przecież jechać prosto do Londynu!

- To ja jej nie pozwoliłem! - wyznał przez łzy Jody. - Chciałem jeszcze raz spróbować, czy nie zastaniemy Angusa.

- Czy on już wrócił?

Jody potrząsnął głową i dodał: - Zostałeś nam tylko ty.

- Wezwałeś lekarza?

- Nnnn...nie wiedziałem, jjj...jak to zrobić. Chciałem... znaleźć ciebie.

- Myślisz, że ona jest naprawdę ciężko chora?

Jody znów uderzył w płacz, więc tylko skinął głową. Tymczasem Oliver usłyszał, jak za jego plecami drzwi od jadalni cicho otworzyły się i znów zamknęły. Kiedy się odwrócił, dostrzegł Liz, która od razu zaczęła wypytywać Jody'ego:

- Dlaczego nie pojechaliście do Londynu?

Chłopak nic nie odpowiedział, gdyż przeraził go jej gniewny wyraz twarzy.

- Przecież mieliście już wracać! - nie ustępowała Liz, a jej głos nabierał coraz bardziej agresywnego brzmienia. - Twoja siostra obiecała, że wrócicie do Londynu!

Oliver wstał, a wtedy Liz od razu umilkła, jakby przekręcił gałkę radia. On zaś ponownie zwrócił się do Jody'ego:

- Kto cię tu przywiózł?

- Tttt...taki pan w...w...w furgonetce.

- Więc idź do niego i poczekaj chwilę. Powiedz mu, że zaraz przyjdę.

- Ale musimy się spieszyć!

- Powiedziałem, że zaraz przyjdę! - powtórzył z naciskiem Oliver. Odwrócił Jody'ego w kierunku drzwi i lekko go popchnął. - Leć już i powiedz temu panu, że mnie znalazłeś.

Jody wyszedł z nosem na kwintę, mocując się z klamką ciężkich drzwi. Kiedy zamknęły się za nim, Oliver zwrócił się do Liz:

- Oni nie pojechali do Londynu, bo Jody chciał jeszcze raz spróbować zobaczyć się ze swoim bratem. Tymczasem Karolina zachorowała. I to byłoby na razie tyle. Przepraszam.

- Przeszedł przez hall, aby zabrać swoje okrycie.

- Nie jedź! - zawołała za nim Liz.

- Ależ muszę! - Obrócił się, zdziwiony.

- Zadzwoń do lekarza w Strathcorrie, a on już się nią zajmie.

- Liz, muszę tam pojechać.

- Czyżby ona znaczyła dla ciebie aż tak wiele?

Oliver już otworzył usta, żeby zaprzeczyć, ale nagle przyłapał się na tym, że właściwie wcale tego nie pragnie. Odpowiedział więc wymijająco, ubierając się równocześnie w płaszcz:

- Nie wiem, może i tak.

- A co będzie z nami?

- Muszę tam pojechać, Liz - powtórzył.

- Jeśli teraz odejdziesz ode mnie, to możesz już nie wracać.

Szantażowała go czy blefowała? Tak czy owak, nie miało to już dla niego znaczenia. Spróbował jeszcze uprzejmej perswazji:

- Nie mów takich rzeczy, żebyś później tego nie żałowała.

- To niby ja mam żałować? - wybuchnęła, krzyżując ręce na piersiach tak mocno, że aż zbieleły stawy jej opalonych na brąz dłoni. Wyglądało to, jakby nagle zrobiło się jej zimno lub jakby próbowała za wszelką cenę panować nad sobą. - Uważaj, bo jeśli się nie opamiętasz, sam będziesz żałował. Wiesz, że ona w tych dniach ma wyjść za mąż?

Nie przerywając zapinania guzików płaszcza, Oliver mruknął tylko:

- Czyżby?

Jego stoicki spokój omal nie wyprowadził jej z równowagi.

- Nie wspomniała ci o tym? To ciekawe! Więc żebyś wiedział, że we wtorek w Londynie ma się odbyć jej ślub z młodym, obiecującym maklerem giełdowym Hughem Rashleyem. Zabawne, że na to nie wpadłeś. No tak, nie miała na palcu pierścionka zaręczynowego, prawda? Próbowала mi wmówić, że był na nią za luźny i bała się go zgubić, ale to mi się wydaje zbyt grubymi nićmi szyte. Nie pytasz mnie nawet, skąd o tym wszystkim wiem?

- No więc, skąd o tym wiesz, Liz? - zapytał posłusznie.

- Od mojej mamy, która jest jedną z najlepszych przyjaciółek Diany Carpenter. Wczoraj dzwoniła do mnie i przekazała mi tę sensację.

- Muszę jechać, Liz! - powtórzył jeszcze raz Oliver.

- Jeśli zgubiłeś już serce - zaczęła ze sztuczną słodyczą - to przynajmniej nie trać głowy. Zobaczysz, że tylko zrobisz z siebie durnia.

- Przeproś ode mnie swego ojca. - Nie zwracając uwagi na jej słowa, otwierał już drzwi. - Opowiedz mu, co się stało, i przekaż, że bardzo mi przykro z powodu tego incydentu. Do widzenia, Liz.

Była pewna, że Oliver jeszcze zawróci, porwie ją w ramiona i zapewni, że kocha ją tak samo jak przedtem Charles, a Karolina Cliburn niech się sama o siebie troszczy... Tymczasem nie zrobił nic podobnego, tylko po prostu wyszedł.

Kierowca furgonetki okazał się krzepkim, rumianym farmerem w kraciastej czapce na głowie. Siedział w samochodzie przesiąkniętym odorem świńskiego nawozu i razem z Jodym czekał na Olivera.

- Przepraszam, że daliśmy panu czekać - usprawiedliwił się Oliver, wsadzając głowę przez okno.

- Nie ma sprawy, proszę szanownego pana. Mnie się nigdzie nie spieszy.

- Jestem panu bardzo wdzięczny, że przywiózł pan tu tego chłopca. Mam nadzieję, że za bardzo nie nadłożył pan drogi.

- Gdzieżby zaś! Tak czy siak miałem tędy jechać, bo do Strathcorrie wdepnąłem tylko na kielicha. Po prostu zrobiło mi się żal tego małego, bo wyglądał taki jakiś smutny! - Wielką i czerwoną jak szynka dłonią poklepał Jody'ego po kolanie. - No, uszy do góry, chłopcze! Przecież znalazłeś już pana Cairneya!

- Dziękuję panu bardzo! - powiedział Jody wysiadając z wozu. - Nie wiem, co bym zrobił, gdyby nie pan.

- Nie ma za co, mały! Może kiedyś ktoś zrobi to samo dla mnie, gdyby mi się przyszło dymać gdzieś piechotą? Grunt, aby siostrzyczka była zdrowa. Dobranoc szanownemu panu!

- Dobranoc i jeszcze raz panu dziękuję! - pożegnał się Oliver. Kiedy już tylne światła furgonetki znikły za zakrętem, wziął Jody'ego za rękę i poprowadził do swojego samochodu. - Jedziemy, bo nie ma czasu do stracenia.

Już w czasie jazdy, trasą, na której znał każdy zakręt, zwrócił się do Jody'ego:

- Teraz mi wszystko opowiedz.

- No więc Karolinie zrobiło się niedobrze, potem powiedziała, że ją brzuch boli i zrobiła się strasznie blada, i zaczęła się pocić... a ja nie wiedziałem, co robić, i wtedy...

- Chwileczkę - przerwał Oliver. - Zaczynaj od początku. Od tego, co się stało potem, jak napisała do mnie list, który znalazłem na biurku.

- Powiedziała mi, że wracamy do Londynu, ale przypomniałem jej, że mieliśmy poczekać do piątku, to może Angus zdążyłby wrócić.

- Dziś jest piątek.



- No właśnie, prosiłem ją, żebyśmy poczekali jeszcze do dzisiaj, ale ona powiedziała, że będzie lepiej dla nas wszystkich, jeśli wrócimy do domu. Jednak w ostatniej chwili ustąpiła i zgodziła się, żebyśmy zatrzymali się w hotelu „Strathcorrie”, ale tylko na jedną noc, a dziś mieliśmy już jechać prosto do Londynu. Pani Henderson dała nam pokoje i wszystko było w porządku aż do śniadania, bo wtedy Karolina powiedziała, że źle się czuje i nie będzie w stanie prowadzić wozu. Położyła się do łóżka, a kiedy spróbowała zjeść lunch, to zrobiło się jej niedobrze i wszystko zwróciła. Potem zaczął ją strasznie boleć brzuch.

- Dlaczego nie powiedziałaś o tym pani Henderson?

- Nie wiedziałem, co mam robić. Myślałem, że może Angus zaraz wróci i coś poradzi. Ale nie przyjeżdżał, a Karolinie robiło się coraz gorzej. Kolację zjadłem sam, bo ona nie chciała nic jeść, a kiedy wróciłem na górę, to była cała złana potem i wyglądała, jakby spała. Złakłem się, że może umrzeć...

Ton jego głosu zaczął już nabierać histerycznego zabarwienia, więc Oliver łagodnie wtrącił:

- Mogłeś przecież do mnie zadzwonić. Numer znalazłbyś w książce telefonicznej.

- Boję się telefonować! - wyznał Jody. Już to, że zdecydował się ujawnić swą od dawna skrywaną słabość, świadczyło, jak musiał być zdesperowany. - Nie słyszę wyraźnie tego, co mówi ten ktoś z drugiej strony, i zawsze pakuję palce nie w te dziurki, co trzeba.

- No więc co zrobiłeś?

- Zbiegłem na dół, a ten miły pan akurat wychodził z baru. Usłyszałem, jak mówił, że jedzie do domu, więc poszedłem za nim, powiedziałem, że moja siostra jest chora, i poprosiłem, żeby mnie podwiózł do Cairney.

- A mnie nie było wtedy w domu?

- No właśnie, ale kiedy ten pan dzwonił i dzwonił do twoich drzwi, i nikt nie odpowiadał, przypomniałem sobie o pani Cooper. Ten pan podwiózł mnie do niej, a ona mnie wyściskała i potem powiedziała, że pojechałeś do Rossie Hill. Pan Cooper chciał nawet mnie tam podrzucić, chociaż był już na w pół rozebrany, ale ten miły pan powiedział, że nie trzeba, że zna drogę i sam mnie zawiezie. Przepraszam, że popsulem ci zabawę.

- Nic nie szkodzi! - pocieszył go Oliver. Jody przestał płakać, ale przesunął się do przodu na samą krawędź siedzenia, jakby chciał w ten sposób przyspieszyć bieg samochodu.

- Nie wiem, co bym zrobił, gdyby ciebie tu nie było - wyrzucił z siebie.

- Ale grunt, że byłem i jestem z tobą - dokończył Oliver, przyciągając go wolną ręką do siebie. - Spisałeś się bardzo dobrze, zrobiłeś wszystko tak jak trzeba.

Tymczasem wjechali na wzgórze, a gdy minęli szczyt i szosa zaczęła opadać - w dole lśniły już światła Strathcorrie. Oliver powtarzał sobie w myślach, jakby nawiązywał więź duchową z Karoliną: „Już jedziemy do ciebie, Jody i ja!”

- Oliverze! - odezwał się nagle Jody.

- Słucham?

- Jak myślisz, co Karolinie właściwie jest?

- Nie znam się na tym - stwierdził Oliver - ale na mój chłopski rozum trzeba jej będzie usunąć wyrostek robaczkowy.

## Rozdział 8

Okazało się, że Oliver postawił prawidłową diagnozę. Miejscowy lekarz, wezwany pospiesznie przez panią Henderson, przybył po dziesięciu minutach i stwierdził ostre zapalenie wyrostka robaczkowego. Dał Karolinie zastrzyk przeciwbólowy, a sam zszedł do recepcji, aby stamtąd zadzwonić do szpitala i wezwać karetkę. Jody okazał się na tyle taktowny, że razem z nim opuścił pokój, toteż Oliver mógł zostać sam na sam z Karoliną, usiąść na brzegu jej łóżka i trzymać ją za rękę.

Karolina, lekko oszołomiona zastrzykiem, zaczęła sobie coś przypominać:

- Nie zauważyłam, kiedy Jody wyszedł. Nie miałam pojęcia, że poszedł cię szukać.

- Kiedy go zobaczyłem, to jakby piorun we mnie strzelił. Byłem pewien, że jesteście już dawno w Londynie.

- W ostatniej chwili doszłam do wniosku, że nie mogę jechać, dopóki nie dotrzymam obietnicy danej Jody'emu.

- I dobrze się stało, bo gdyby wyrostek pękł ci na środku autostrady, mogłoby być niewesoło!

- No, chyba tak! - przyznała z uśmiechem. - Myślę, że miałam to już od dawna i pewnie stąd się brały te moje ciągłe mdłości. Tylko nigdy nie przyszło mi do głowy, że to może być wyrostek. A we wtorek miałam wziąć ślub! - dodała, jakby dopiero teraz to sobie uświadomiła. - Obawiam się, że tego terminu raczej nie będziesz mogła dotrzymać.

- Liz powiedziała ci, prawda?

- Tak.

- Powinnam była sama ci o tym powiedzieć, ale jakoś nie mogło mi to przejść przez gardło, nie wiem dlaczego. To znaczy, wtedy nie wiedziałam.

- Ale teraz już wiesz?

- Tak - wyznała z całą otwartością.

- No więc posłuchaj, co ci teraz powiem - zaanonsował Oliver. - Nie chciałbym, abyś wyszła za kogokolwiek innego oprócz mnie.

- Jak to, więc nie zamierzasz ożenić się z Liz?

- Nie.

Karolina z poważną miną zastanowiła się nad tym, co powiedział.

- Ale się porobiło! - stwierdziła. - Zawsze muszę wszystko poplątać. Moje zaręczyny z Hughem to też było jedno wielkie nieporozumienie.

- Trudno mi coś o tym powiedzieć, bo nie znam Hugh'a.

- Ale gdybyś go znał, na pewno byś go polubił, bo to bardzo sympatyczny człowiek, uczynny i niezwykle zorganizowany. Czy Liz wspomniała ci, że to młodszy brat Diany? Owszem, czułam do niego sympatię, bo kiedy tylko wróciliśmy z Aphros, od razu zaopiekował się nami i wziął wszystkie sprawy w swoje ręce. Diana bardzo chciała, żebyśmy się pobrali, i zachęcała nas do tego, jak mogła. Podobała się jej ta wizja, bo uważała, że jeśli wyjdę za jej brata, to wszystko zostanie w rodzinie. Ja jednak nigdy nie myślałam poważnie o ślubie z nim, dopóki nie wdałam się w ten pechowy romans z Drennanem Colefieldem. Kiedy zaś Drennan mnie porzucił, byłam pewna, że już nikogo naprawdę nie pokocham, więc równie dobrze mógł to być Hugh, jak każdy inny. Czy to się trzyma kupy? - zakończyła, zmieszana i niepewna.

- Jak najbardziej.

- No więc poradź mi, co mam teraz zrobić.

- To zależy, czy kochasz Hugh'a. - Może na swój sposób, ale to nie jest prawdziwa miłość.

- W takim razie sprawa jest jasna. Jeśli to porządny człowiek, a zakładam, że tak, bo inaczej nie zgodziłabyś się chyba wyjść za niego - zrobiłabyś mu krzywdę wiążąc się z

nim bez miłości. W każdym razie we wtorek na pewno nie dasz rady wyjść za kogokolwiek. Będiesz wtedy najwyżej siadać w łóżku, wachać kwiaty, jeść winogrona i przeglądać ilustrowane pisma.

- Musimy jakoś zawiadomić o tym Dianę.

- Już ja to załatwię. Zadzwonię do niej, kiedy tylko karetka zabierze cię do szpitala.

- Będziesz musiał dużo jej wyjaśniać.

- Zwykle dobrze mi to idzie.

Karolina ścisnęła go za rękę, między jego palce wplatając swoje.

- Spotkaliśmy się akurat w odpowiednim momencie, prawda? - stwierdziła z zadowoleniem.

Oliver poczuł nagły ucisk w gardle, więc tylko nachylił się nad Karoliną i pocałował ją.

- Tak - potwierdził, głosem lekko zachrypniętym z wrażenia. - Zdążyliśmy w ostatniej chwili.

Oliver asystował sanitariuszom i miłej, pulchnej pielęgniarce, kiedy wnosili Karolinę do karetki. Miał przy tym wrażenie, jakby w ciągu ostatnich dni przeżył całe swoje życie. Odprawiał wzrokiem tylne światła sanitarki, w miarę jak oddalały się wzdłuż pustej ulicy. Kiedy już stracił je z oczu - cicho odmówił modlitwę. Poczul rękę Jody'ego wciskającą się w jego dłoń i usłyszał jego pytanie:

- Ona będzie zdrowa, prawda?

- Oczywiście, że będzie.

Obaj wrócili do hotelu z minami ludzi, którym udało się wiele osiągnąć.

- Co teraz robimy? - chciał wiedzieć Jody.

- Wiesz to równie dobrze jak ja.

- Dzwonimy do Diany?

- Otóż to.

W hotelowym barze Oliver posadził Jody'ego przy stoliku tuż obok kabiny telefonicznej, kupił mu butelkę coca - coli, a sam połączył się z Londynem. Po jakichś dwudziestu minutach, które upłynęły mu na składaniu długich i wyczerpujących wyjaśnień, wychylił się z kabiny, zawołał Jody'ego i przekazał mu słuchawkę, mówiąc:

- Twoja macocha chce z tobą rozmawiać.
- Bardzo zła? - dopytywał się szeptem Jody.
- Absolutnie nie. Chce się tylko z tobą przywitać.

Jody ostrożnie przyłożył do ucha słuchawkę znienawidzonego przez siebie urządzenia.

- Słucham? Cześć, Diano! - Stopniowo na jego twarz wpłynął uśmiech. - Dziękuję, u mnie wszystko w porządku...

Oliver zostawił go na chwilę samego i poszedł zamówić sobie największą whisky z wodą sodową, jaką serwowano w tym hotelu. Kiedy wrócił - Jody właśnie pożegnał się z Dianą, odwiesił słuchawkę i rozpromieniony wypadł z kabiny.

- Wiesz, że wcale się nie gniewała? - pochwalił się Oliverowi. - Jutro przylatuje do Edynburga.

- Wiem, powiedziała mi o tym.
- I prosiła, żebym przez ten czas został u ciebie.
- Czy ci to odpowiada?

- Jeszcze jak! - Na widok szklanki w rękę Olivera przypomniał sobie o czymś innym. - Jakoś mi strasznie zaschło w gardle. Mógłbym się jeszcze napić?

- Oczywiście. Idź i zamów sobie drugą colę.

Oliver sądził, że tego dnia wydarzyło się już wszystko, co mogło się wydarzyć, i że nie będzie już żadnych niespodzianek. Jakże się mylił! Zanim Jody dobiegł do bufetu - w tej samej chwili pod hotel podjechał samochód i zatrzymał się przed wejściem. Rozległo się trzaskanie otwieranych i zamykanych drzwi, dał się słyszeć gwar głosów i kroki wchodzących. W oszklonych, wahadłowych drzwiach

pojawiła się drobna, siwowłosa dama, elegancko ubrana, w różowy kostium, białą bluzkę i czółenka ze skóry krokodyla. Za nią postępował wysoki, barczysty młody człowiek dźwigający walizki pokryte materiałem w szkocką kratę. Nie miał wolnej ręki, więc napał na wahadłowe drzwi całym ciałem. Był długowłosym blondynem o słowiańskich rysach twarzy, wystających kościach policzkowych i szerokich ustach. Miał na sobie bladoniebieskie, sztruksowe spodnie i obszerną, włochatą kurtkę. Doniósł walizki aż do biurka recepcyjnego, gdzie z łoskotem postawił je na podłodze i sięgnął po dzwonek wzywający recepcjonistkę.

Nie zdążył jednakże zadzwonić, gdyż w tym samym momencie Jody wyszedł z baru. Jak na filmie zatrzymanym w kadrze, obaj spojrzeli po sobie i stanęli jak wryci. Potem, jakby ktoś na nowo uruchomił projektor, akcja nabrała tempa. Nowo przybyły młody człowiek wykrzyknął na całe gardło: „Jody!” i zanim ktokolwiek zdążyłby otworzyć usta, Jody jak pocisk wystrzelony z procy przemknął przez hall i rzucił się w ramiona brata.

Wieczorem wszyscy trzej wrócili do Cairney. Następnego dnia po obiedzie Oliver zostawił obydwu braci samych w domu i pojechał do Edynburga, aby oczekiwać przyjazdu Diany z Londynu. Czekał na nią w oszklonej hali przylotów lotniska Turnhouse, obserwując pasażerów schodzących po dostawianych schodkach. Rozpoznał Dianę od razu, ledwo wyszła z samolotu. Była wysoka i szczupła, ubrana w luźny, tweedowy płaszcz z szalowym kołnierzem z norek. Kiedy już szła po płycie lotniska, wyszedł jej naprzeciw. Przez szklaną ścianę widział, jak niespokojnie się rozgląda, więc gdy tylko weszła do hali, spytał:

- Pani Diana Carpenter?

Z bliska zauważył także jej blond włosy upięte w kok i szafirowe oczy. Wyczuł też, że gdy się do niej odezwał, niepokój znikł z jej twarzy, a pojawiło się odprężenie.

- Pan jest Oliver Cairney, prawda?

Wymienili uściski dłoni, lecz to nie wystarczało, gdyż Oliver poczuł nagle przemożną chęć, by ją pocałować.

- Co z Karoliną? - spytała w pierwszej kolejności.

- Byłem u niej dziś rano. Czuje się już dobrze. Niedługo będzie całkiem zdrowa.

Oliver już wczoraj powiedział Dianie przez telefon prawie wszystko, co miał do powiedzenia, ale w samochodzie, podczas jazdy przez most na Zatoce Forth, dodał jeszcze najświeższe wiadomości na temat Angusa.

- Przyjechał wczoraj wieczorem, tak jak planował, razem z tą Amerykanką, którą obwoził po całej Szkocji. Kiedy tylko wszedł do hallu, Jody od razu go dostrzegł i bardzo wylewnie się przywitali.

- To nadzwyczajne, że w ogóle się poznali. Nie widzieli się przecież przez całe lata!

- Jody jest bardzo przywiązany do Angusa.

- Tak, teraz zdaję sobie z tego sprawę - przyznała ze smutkiem Diana.

- Dopiero teraz? - Oliver starał się, by w jego głosie nie zabrzmiał cień wyrzutu.

- Widzi pan... - zaczęła. - Bardzo trudno jest być macochą. Z jednej strony wiadomo, że nie zastąpi się tym dzieciom matki, z drugiej jednak trzeba być dla nich czymś więcej niż tylko starszą koleżanką. No, a poza tym te dzieci różniły się znacznie od innych. Wychowywały się właściwie same, na luzie, mogły latać wszędzie na bosaka i robić, co chciały. Dopóki żył ich ojciec, wszystko szło dobrze, ale po jego śmierci sytuacja się zmieniła.

- Rozumiem.



- Dobrze, że przynajmniej pan to rozumie! Niech pan sobie wyobrazi, że musiałam, starając się nie tłumić ich indywidualności, jednocześnie dać im należyte przygotowanie do życia. Karolina była zawsze taka delikatna i wrażliwa, że próbowałam wyperswadować jej studia aktorskie. Bałam się, że załamie się, gdy tylko dozna pierwszego zawodu. I tak się rzeczywiście stało, więc tym bardziej cieszyłam się, kiedy zaczęła sympatyzować z Hughem. Miałam nadzieję, że on zaopiekuje się nią i uchroni przed dalszymi rozczarowaniami. Przyznaję, że próbowałam trochę wpływać na taki właśnie obrót spraw, jednak ręczę panu, że miałam najlepsze chęci.

- A czy powtórzyła pani Hughowi to, co powiedziałem pani wczoraj przez telefon? - Tak, zaraz po tym telefonie pojechałam do niego, aby osobiście mu to powtórzyć. Nie chciałam dzwonić, bo wydawało mi się to bezduszne.

- I jak on to przyjął?

- Po nim trudno jest cokolwiek poznać, ale odniosłam dziwne wrażenie, jakby spodziewał się, że to się tak skończy. Oczywiście nic nie mówił, bo jest na to zbyt dumny. Dzięki temu, że Karolina jest w szpitalu, sprawa się trochę przeciągnie, a z czasem wszyscy powoli oswoją się z faktem, że żadnego ślubu nie będzie.

- Mam nadzieję.

- Zaraz potem, jak załatwiłam sprawę z Hughem - opowiadała dalej Diana już innym tonem - pojechałam do tego starego durnia Caleba. Jak mógł być tak nieodpowiedzialny, żeby pożyczyć tym dzieciakom wóz w takim stanie? Łaska boska, że nie rozleciał się jeszcze przed Bedfordshire! I nawet nie pisał mi o tym ani słówka. Myślałam, że go uduszę!

- Ależ on też miał najlepsze chęci!

- Żeby przynajmniej najpierw oddał wóz do przeglądu!

- On chyba jest bardzo zaprzyjaźniony z Jodym i Karoliną.

- Tak, przyjaźnił się i z nimi, i z ich ojcem, i z Angusem. Widzi pan, po śmierci ich ojca chciałam, aby Angus został z nami, ale on nie akceptował mojego stylu życia ani tego, co mogłam mu zaoferować. Był w końcu pełnoletni, więc nie mogłam mu zabronić tej idiotycznej podróży do Indii. Liczyłam tylko, że może z czasem wywietrzeją mu z głowy głupie pomysły, wróci do nas i zacznie żyć normalnie. Jednak nic z tego nie wyszło. Pewnie Karolina powiedziała panu o tym.

- On sam mi to powiedział - sprostował Oliver. - Wczoraj przegadaliśmy całą noc aż do białego rana. Z kolei ja powtórzyłem mu, czego Jody oczekiwał od niego - żeby wrócił do Londynu i zamieszkał z nim. Wtedy Angus zwierzył mi się ze swoich planów. Miał zamiar wracać na Aphros, gdyż otrzymał propozycję pracy w firmie zajmującej się wynajmem jachtów śródziemnomorskich.

- Czy Jody wie o tym? - Jeszcze mu nie mówiłem, bo chciałem najpierw porozmawiać z panią.

- O czym tu jeszcze rozmawiać?

- Ano o tym... - zaczął Oliver, czując, że wszystkie części układanki idealnie się do siebie dopasowały - ...że mam zamiar ożenić się z Karoliną. Weźmiemy ślub jak najszybciej, gdy tylko wyzdrowieje. W Londynie mam pracę i mieszkanie, w sam raz odpowiednie. Jody także może zamieszkać z nami, jeśli tylko państwo wyrażicie zgodę. Miejsca wystarczy dla nas wszystkich.

Diana nie od razu zorientowała się, o co mu chodzi. Dotarło to do niej dopiero po dłuższej chwili.

- To znaczy, uważa pan, że nie powinniśmy zabierać go do Kanady?

- On wcale nie chce tam jechać. Lubi swoją szkołę, kolegów i nie chciałby rozstawać się z siostrą.

- Że też nie domyśliłam się tego! - Diana aż pokiwała głową ze zdziwienia.

- Jody krępował się powiedzieć pani o tym wprost, bo nie chciał robić pani przykrości.

- Będzie mi go bardzo brakowało.

- Ale pozwoli mu pani zostać z nami?

- Jeśli pan naprawdę tego chce...

- Wszyscy tego chcemy.

- Hugh nigdy nie zgodziłby się na to! - roześmiała się Diana. - Nie był przygotowany do podjęcia opieki nad małym chłopcem.

- Ale ja jestem na to przygotowany, jeśli tylko pani pozwoli. Straciłem jedyne go brata, jakiego miałem, i chciałbym, aby Jody mi go zastąpił.

Oliver przywiózł Dianę do Cairney, gdzie przy wejściu czekali na nich Angus i Jody jako dwuosobowy komitet powitalny. Diana jednak wcale nie chciała przybierać pozy dostojnego gościa, tylko wyskoczyła z samochodu, zanim się jeszcze na dobre zatrzymał. Porwała Jody'ego w objęcia, a ponad jego rudą głowę spojrzała prosto w twarz Angusa. W tej twarzy nie było niechęci, najwyżej ostrożność. W końcu właściwie prawie nigdy nie spotkali się oko w oko, dorastał poza zasięgiem wpływów Diany i teraz też nie miała nic do niego. Nawet odpowiadał jej taki układ.

Uśmiechnęła się więc i poddała z kolei niedźwiedzim uściskom Angusa.

- Ty niepoprawny uparciuchu! - przywitała go wesoło. - Jak to miło znów cię widzieć!

Przede wszystkim jednak Diana chciała zobaczyć się z Karoliną, więc Oliver czym prędzej wyładował jej bagaż, a potem dał Angusowi kluczyki od samochodu i poprosił, aby zawiózł Dianę do szpitala.

- Ja też chcę jechać! - upierał się Jody.

- Nie, my tu na razie zostaniemy.
- Dlaczego? Chcę zobaczyć Karolinę!
- Później.

Po odjeździe samochodu Jody ponowił pytanie.

- Dlaczego nie pozwoliłeś mi jechać z nimi?  
- Ponieważ na pewno będą chciały być z sobą bez świadków. Nie widziały się już od dłuższego czasu i mają sobie dużo do powiedzenia. Poza tym ja też mam ci coś do powiedzenia.

- Coś miłego?  
- Myślę, że tak. - Otoczył Jody'ego ramieniem i delikatnie skierował go do wnętrza domu. - To będzie nawet bardzo miłe!